

PROBLEMY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WIEDZY I ŻYCIA



1

9

4

6

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELIK”

NR 7

PROBLEMY

Miesięcznik poświęcony zagadnieniom wiedzy i życia

Rok II

październik 1946

Nr 7 (8)

TREŚĆ

ZAGADNIENIE REALIZMU I PATRIOTYZMU W POLITYCE Refleksje w rocznicę Kościuszkowską	Aleksander Bocheński . . . 2
Co dały nam narodowe powstania? Blaski i cienie „religii poświęcenia”. Martyrologia narodu wczoraj i dziś. Zrewidujmy swój stosunek do Stanisława Augusta. Rozsądek czy poświęcenie? Którędy droga?	
LEGENDA I PRAWDA O ŚMIERCI	Franciszek Ksawery Walter . . 9
Gen śmierci wszechpotężnym władcą. Śmierć jest bezbolesna. Dlaczego umieramy? „Przedsionki śmierci”. Czy żywcem pogrzebani?	
JAK POWSTAJĄ KULTURY?	Kazimierz Michałowski . . 22
Zamarłe kultury przeczą teorii ewolucji. Geneza kultury. Cykle kulturalne. Nawarstwianie się kultur. Kręgi kulturowe. Wartość kultury.	
O ANTYCZNYM POCHODZENIU MAKSYM I PRZYSŁÓW POLSKICH	Tadeusz Sinko 31
Czy wiemy, że używając przysłów posługujemy się mądrością odległej starożytności? U źródeł przysłów i maksym. Greckie „Bajki Ezopa” i rzymskie „Katonowe wiersze obyczajne” natchnieniem średniowiecza. Zbiory przysłów w Polsce, ich dzieje i wątek. Antyczne przysłowia i sentencje w przeróbce wieków.	
ZIELONY KOŃ (Czyli coś nie coś o poglądzie na świat) . . .	Zygmunt Mysłakowski . . 37
Jak powstaje pogląd? Pogląd a środowisko. Spór o zielonego konia. Obserwowanie rzeczywistości nie jest sprawą prostą. Pogląd potoczny a pogląd rewolucyjny.	
PRZYJEMNOŚCI I WZRUSZENIA	Władysław Tatarkiewicz . . 42
Wzruszenia przyjemne a zarazem przykre. Analiza wzruszeń moralnych. Plastyka, poezja, muzyka źródłami wzruszeń dwójakich. Poszukiwanie smutku dla przyjemności.	
NARÓD NIEMIECKI W ŚWIELE PSYCHOPATOLOGII . . .	Maria Grzywo-Dąbrowska . 52
Czy naród, który wydał w jednym pokoleniu tylu morderców, jest narodem normalnym? Buta i okrucieństwo tkwią w narodzie niemieckim od wieków. Hitleryzm szkołą zezwierzęcenia człowieka. Czy Hitler cierpiał na obłąd pierwotny? Nauka w służbie zbrodni. Czy istnieje możliwość powrotu Niemiec w szeregi narodów świata?	
ARTYKUŁ (niepoważny) O PLANECIE ZIEMI I O LUDZIACH JĄ ZAMIESZKUJĄCYCH	Włodzimierz Zonn 62
Jak wpływać na ruchy ziemi i gwiazd? Jak tworzyć nowe księżyce? Jak skracać i wydłużać pory roku? Jak zmieniać dowolnie wagę swego ciała lub przekształcać go w meteor? Jak wykorzystać obrót ziemi dla celów wojennych? Jak powtórzyć cud Mojżesza z rozstąpieniem się morza? Jak uczynić wieczną wiosnę?	
„ELEKTROSILA”	Dymitr Jefremow 67
Największe turbogeneratory świata; agregat wielkości areny cyrkowej.	
AMERYKANIN DO ANGLIKA O ANGIELSKIM CHARAKTERZE	Lewis Mumford 69
FIZYKA NA TROPIE NOWEGO ŹRÓDŁA ENERGII	Władysław Mościcki . . . 71

ZAGADNIENIE REALIZMU I PATRIOTYZMU W POLITYCE

REFLEKSJE W ROCZNICĘ KOŚCIUSZKOWSKĄ

ALEKSANDER BOCHEŃSKI

Dwa są tytuły do sławy i miłości, jaką polskie zbiorowisko narodowe od półtora wieku otacza pamięć Kościuszki: pierwszy — to wykrzesanie, z uspionych jeszcze wówczas serc polskich, elementu bohaterstwa, poświęcenia bezgranicznego dla sprawy wolności narodowej. Drugi—to śmiała próba rozwinięcia, jeżeli nie rozwiązania sprawy społecznej: obdarzenia wolnością i równouprawnienia mas chłopskich, i tym samym unarodowienia tych mas. Oba te zamierzenia były ściśle ze sobą związane. Przez udział w powstaniu chciał Kościuszek lud uwolnić.

Kościuszek wywołał pierwsze w Polsce powstanie. Zwycięstwem pod Racławicami, skuteczną obroną Warszawy, nauczył, że powstańcy mogą zwyciężyć. Lekcja, której konfederacja barska po sobie nie zostawiła. Niewiadomo co więcej: czy żywy przykład walk kościuszkowskich, czy jego broszura pisana na emigracji w roku 1800 pt. „Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość“ — sprawiła, że Kościuszek stał się patronem wszelkich, na 150 lat poczyniń powstańczych. „Patrz Kościuszek na nas z nieba“, — to była nie tylko piosenka powstańcza, ale i rzeczywiste odwołanie się późniejszych naśladowców do wielkiego prawzoru.

Być może, epopeja napoleońska zaćmiła swoim blaskiem sławę zwycięstw kościuszkowskich. Ale oto poza zwycięstwami znalazły się inne elementy przekazane nam niepisany testamentem bohatera Insurekcji. Elementami tymi były klęski, prześladowania, męczeństwo dla sprawy narodowej.

W okresie niewoli naszego zbiorowiska w XIX wieku te tradycje męczeńskie były podwójnie aktualne. Był to wiek liberalizmu tak wielkiego, jak to mało kiedy, może nigdy, na kuli ziemskiej nie widziano. Wiek, w którym ludzkość, uwierzywszy w wielkie ideały, zawarte już dawno w Ewangelii, a podane w nowym stylu przez rewolucję francuską, nie chciała prześladowań, ani krwi, ani znęcania się nad bezbronnymi, ani gnębienia zbiorowisk. W wieku tym cały szereg narodów wybił się na wolność, od Grecji począwszy, na Irlandii skończywszy. Wymowa poświęcenia polskiego, wymowa męczeństwa powstaniowego i popowstaniowego była silna. Polska, sumienie Europy, albo raczej wyrzut sumienia Europy, nie dawał spać wszystkim, którzy czuli się odpowiedzialnymi za swoją generację, za wiek, w którym żyli, za drogę, którą cywilizacja kroczyła. Stąd hasło wolności Polski było na ustach wszystkich rewolucjonistów

Rozum i wiara, realizm i idealizm — to dwa elementy rzeczywistości, w której żyjemy i którą tworzymy. Utrzymać harmonię między realizmem a idealizmem jest naszym obowiązkiem względem narodu i siebie. Brak równowagi jest dziś groźniejszy, niż kiedykolwiek w naszej historii.



i wszystkich rewolucyj. Stąd polska lewica społeczna wierzyła mocno, że drogą rewolucji ogólnej naród nasz odzyska wolność, i nie można zaprzeczyć, iż miała poważne dane, aby na to liczyć.

Ale wykazywanie się ranami, męczeństwem i krwią, nie tylko niosło w sobie tę poważną funkcję międzynarodową, nie tylko szarpało sumieniem Europy, dla obudzenia współczucia. Męczeństwo miało jeszcze funkcję inną, bodaj

(fot. z „ECHANGE”)

czy nie ważniejszą, skoro tamta w rzeczywistości zawiodła, i niepodległość przyszła raczej drogą klęsk militarnych zaborców, jak rewolucyj społecznych. Funkcją drugą religii poświęcenia narodowego, było:

skrzepnięcie, przy wierności zbiorowisku, — sił Polaków uświadomionych, pozyskanie dla niej sił społecznych ledwie rozbudzonych: proletariatu wiejskiego i miejskiego.

Poniżej, gdy ujmujemy w punkty, zbieżności i rozbieżności zasadniczych elementów naszego położenia zbiorowego wówczas i teraz, ukazuje się jasno postęp, jaki został przez tych 150 lat dokonany

na polu unarodowienia mas. Tu dodajmy jeszcze, że nie tylko masy, ale i warstwa wykształcona ówczesnego społeczeństwa nie była bynajmniej w tej samej mierze patriotyczna, to jest solidarna i gotowa do poświęceń za zbiorowisko, jak jest nią teraz. Polska wychodziła z okresu saskiego, w którym Polak nie był synonimem patriotyzmu, — był raczej jego odwrotnością. Stąd wielkość zasługi Kościuszki i jego tradycy, zarówno bojowych jak i męczeńskich.

Funkcja wewnętrzna „religii poświęcenia“ była nader poważna. Żeromski wykazał w „Urodzie życia“ ledwie wyczuwalne, podświadome niemal drogi, jakimi krew męczenników werbowowała wszystko, co było szlachetnego i młodego w zbiorowisku na wielki ołtarz całopalenia za Ojczyznę. Każda generacja spieszyła złożyć hekatombę na tym ołtarzu. Z krwi poległych i zamęczonych rodził się



WCZORAJ

Wybite okno i kilka kamieni wyrwanych z bruku było symbolem tragedii. Trzeba było rekwizytów teatralnych w postaci wyjącego psa, by tę tragedię nieudanego czynu urealnić. (Grottger, Plac Zamkowy z cyklu „Warszawa II“, wiek XIX).

ści niepozyskanych. Dobra książka, powiedział Skalkowski, byłaby dała to samo. To samo znacznie ostrzej wyrazili przedtem stańczycy.

Wydaje się nam, że w ciągu wieku XIX i w tym szczęśliwym ułamku XX, w którym pisał Skalkowski teza jego nie była zupełnie słuszną, i straty spowodowane przez powstania nie były nie do powetowania, przynajmniej jeżeli idzie o wyniszczenie najcenniejszego patriotycznego elementu ludzkiego. W powstaniu kościuszkowskim oprócz strat wojskowych, zginęło tylko kilka tysięcy ludności polskiej. W listopadowym mieliśmy wyłącznie do zanotowania ludzi, którzy padli na placu boju, a więc hekatombę nie większą od tej, jaką złożył każdy naród prowadzący wojnę. Styczeń dało nam wygnanie ok. 20000 młodzieży naprawdę najwartościowszej, na Syberię. Murawiew, ten słynny „wieszatel“, który przez sto lat był postrachem Europy, wykonał około

stokrotnie liczniejszy zastęp mścicieli, a jeżeli nie mścicieli, to w każdym razie nowych ofiarników: Poezja romantyczna, nasi trzej wieszczowie religii tej stali się ewangelistami. Kościuszkowski był jej prokiem.

W wieku już XX prof. Adam Skalkowski zaprzeczył tytułu do sławy i gloryfikacji wszystkim usiłowaniom powstańczym, z Kościuszkowskim włącznie. Oświadczył, że cena powstań krwawych,

beznadziejnych była za wysoką jak na to, co Polska wzamian otrzymała: utrzymanie wysokiego poziomu patriotyzmu, unarodowienie licznych elementów z pośród warstw dotąd dla polsko-

400 wyroków śmierci. Teraz stwierdzamy, że takie męczeństwo rzeczywiście mogło przynieść li tylko korzystne rezultaty w sumie sił narodowych. Ginęli wprawdzie najlepsi, ale ginęli tak nielicznie, że wielu ich towarzyszy zajmowało opuszczone miejsca w szeregach — a szeregi mnożyły się w nieskończoność.

Stąd głębokie uzasadnienie gloryfikacji męczeństwa. Stąd możliwość pisania i deklamowania — bez groźby wyniszczenia narodu — takich wierszy, jak do Matki Polki, Kordian, albo Lilla Weneda. Stąd Norwidowskie:

*Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica,
Tam jest mój środek dziś, tam ma stolica,
Tam jest mój gród.*

Ale stąd też tylko krok do apoteozy klęski, jako źródła męczeństwa. Maciejowice zaczynają zajmować nie mniejsze miejsce w rzędzie wielkich czynów narodowych, jak Racławice. Bo Maciejowice, to wstęp do klęski i męczeństwa. Powoli zatracą się różnica w uznawaniu i sławieniu więzienia, w którym więzień niezłomny odrzuca warunki upadające, cierpi, bo nie chce zmienić narodowości (jak mę-

czennicy chrześcijańscy cierpieli, bo nie chcieli podpisać odstępstwa od wiary), — a więzienia ponoszonego bez winy i bez zasługi. Każde więzienie jest legitymacją na patriotyzm, każde tytułem do sławy. Nastawienie to uległo dalszemu jeszcze przerostowi po 1918 roku, a zwłaszcza po zamachu majowym. Wówczas elita sanacyjna pragnęła legitymować swoje wyłączne prawo do rządów zasługami „niepodległościowymi“, częściowo walkami rewolucyjnymi, zazwyczaj zasługami biernymi: wspomnieniami z więzień lub wygnania. Elita ta nie zawahała się przed usilną propagandą swojej przeszłości i sugerowała młodzieży, jakoby późniejsze zdobycie niepodległości miało być rezultatem tych walk i co dziwniejsze tego cierpienia. W rzeczywistości niepodległość przyszła w wyniku korzystnej koniunktury międzynarodowej. Pozostała trwała zasługa unarodowienia mas proletariackich. Czy nie

można było osiągnąć tego unarodowienia tak, jak to uczynili Czesi i inne nowo-przebudzone nacjonalizmy, — propagandą, o to mniejsza. Osiągnęliśmy to tradycjami, koszty zaś w ilości ludzi poległych nie były tak duże, by się nie dały powetować.

W okresie 1918—1939, mimo odzyskania niepodległości, mimo dokończenia procesu unarodowienia mas, gloryfikacja klęski, ofiary i męczeństwa trwała nadal. Poświęcono tej gloryfikacji wiele sił i środków. Wychowano wszystkie dojrzewające roczniki młodzieży szkolnej w mniemaniu o korzyści dla Polski, wynikłej z ofiar i prześladowań. Nie jest przypadkiem, że Sejm uchwalił (a nawet częściowo wykonał) wydanie dzieł Mickiewicza, jako-

by największego najpotrzebniejszego autora polskiego. Kto wie nawet, czy kult Mickiewicza nie jest tak wielki, że wyraz „autor“ uważany będzie za bluźnierstwo. Mickiewicz jest „wieszczem“, nie autorem, jest nauczycielem narodu. Nauczył go bowiem poświęcenia i ofiary, wychował w mistycznym przekonaniu, że dzięki tym ofiarom Polska odzyska wolność, a nawet, że im więcej poniesie o-

fiar, tym bardziej będzie potężna.

Równoległe z takim wychowaniem młodzieży polskiej rozwijał się inny proces w pojęciach i metodach etyki zbiorowości. Od czasu upadku liberalizmu, przykazania chrześcijańskie, w szczególności piąte przykazanie Boże, powtórzone w innej formułce w hasłach rewolucji francuskiej, dziwnie straciło wartość w oczach ludzkości. Czy było to koniecznym a przejściowym kataklizmem, z którego wyjdzie lepsza biologicznie forma współżycia i współgospodarowania rodu człowieczego, czy tylko poprostu skutki odwrócenia się od nauki Chrystusa i od zasad liberalizmu dziewiętnastego wieku, na to nie umiemy odpowiedzieć. Faktem jest, że równoległe z coraz większą apotezą ofiar i męczeństwa w Polsce, świat bez wahania wchodził na drogę eksterminacji i wysiedleń masowych, dokonywanych w takich rozmiarach i z taką szybkością, iż



DZIŚ

Czasy zmieniły się. Rekwizyty są zbędne. Cena nieudanych walk jest większa. (Plac Zamkowy, fot. Mizerski, wiek XX).



*Były kiedyś czasy barbarzyńskie,
w których mordowano całe narody.*

(scena ze Starego Testamentu, sztych Dorego)

czasy Murawiewa z jego 400 wyrokami śmierci, zdawać się nam mogły rzeczywiście idyllą.

Por tym co powyżej napisałem, łatwo już zrozumieć, jak byliśmy przygotowani do przeżycia okupacji 1939—1944. Rozwojowi metod przesiedlania i tępienia w Europie wyszedł na przeciw rozwój apoteozy męczeństwa w Polsce. Niemcy uważali, że będzie leżało w ich interesie, gdy wytępią i pozbawią majątku możliwie największej Polaków. Polacy dziwnym zbiegiem koliczności wierzyli głęboko, że im więcej poniosą ofiar, tym większą i potężniejszą będzie Polska później. Nie wiem, czy za sto lat ktokolwiek uwierzy, że tak było. Zapewniam na podstawie moich licznych rozmów i z tymi, którzy ginęli i z tymi, którzy pobudzali, przynajmniej w prasie tajnej, do ofiar, że było to ogólne przekonanie i zdanie przeciwne uważane było za nonsens, czasem za zdradę. Najważniejszy, istotny element pojęcia walki, to jest zadawanie strat nieprzyjacielowi, uległo zaciemnieniu. Glorifikacji podlegali, może nie tyle — partyzanci, którzy zabijali Niemców, jak ci, którzy zupełnie bezbronni i niewinni padali pastwą zżęcania się przeciwnika.

Nie wiem, czy różnice między prześladowaniami, jakie nas spotykały w XIX wieku, a tymi, które zyskały prawo obywatelstwa w XX w. są już dość wyraźnie zrozumiałe przez ogół. Niemojewski, powstaniec 1831 roku, opisuje swój pobyt w więzieniu pruskim. Ponieważ lubił grać na fortepianie, poprosił, żeby mu do celi wstawiono fortepian. Komendant więzienia przychylił się do tej prośby i kazał zanieść mu żądany instrument. Mniej muzykalnym okazał się zastępca komendanta,

i raz w niegrzecznej formie poprosił Niemojewskiego, by mu nie przeszkadzał grą w pewnych godzinach pracy. Rozgniewany powstaniec złapał za szczapę drewna leżącą pod piecem i dalej na Niemca. Niemiec w nogi, powstaniec za nim. Tak obiegli całe podwórze. Komendant, gdy dowiedział się o tym incydencie, zbeształ mocno swego zastępcę; odtąd Niemojewski mógł spokojnie parę godzin dziennie oddawać się muzyce.

W takim wieku mógł bezpiecznie nawoływać Staszic do naśladowania Kartagińczyków. Niechby Polacy wyginęli wszyscy, pisał przynajmniej wieczna sława okryje ich imię. Mógł tak pisać dlatego, że nie było najmniejszej obawy, by Polacy wyginęli wszyscy. Była natomiast obawa poważna, że Polacy będą wszyscy żyli, ale rozluźniona więź patriotyzmu rozsyple się zupełnie i naród nasz straci swoją odrębność. Ale czy dzisiaj stoimy wobec tej samej obawy? Czy prześladowania wieku XX są podobne prześladowaniom, które znosili nasi przodkowie?

Nie, nie żyjemy w epoce tych „prześladowań“ XIX wieku. W jakich czasach żyjemy? Aby to sobie dobrze uprzytomnić, trzeba zajrzeć do historii zburzenia Jerozolimy, pisanej dwa tysiące lat temu przez Flawiusza. Była to epoka, w której zginął — i zaginął cały szereg szczepów narodowych i cały szereg narodowości nawet o dość wysokim stopniu rozwoju kulturalnego. Teoria, że naród nie może drogą wytępienia aktywu i rozproszenia wyginać, jest przesądem XIX wieku. W rezultacie ciągłych, irracjonalnych zupełnie powstań żydowskich przeciw Rzymianom, wszystko co było aktywnym, co było dzielne, ofiarne i patriotyczne, a możemy wierzyć Flawiuszowi, że patriotyzm był na miarę Polski, — zostało wytenione. Żydzi wierzyli niezłomnie, że z tych ofiar i z jej krwi urodzi się ich wielkość i ich potęga, byli przekonani, że „siłą ducha“ pokonają wszystkich wrogów, stąd ta ich pochopność w walkach bohaterskich. Tymczasem wytępienie aktywu i rozproszenie reszty odebrało im na 2 tysiące lat ochotę i możliwość walki, odebrało wszelkie możliwości obiektywne i subiektywne działania zbiorowego. Cały ich wysiłek musiał być obrócony wyłącznie na utrzymanie odrębności. Nie ulega wątpliwości, że ta groźna ewentualność stanęła i przed naszym narodem w drugim trzdziestoleciu XX wieku.

Renesans barbarzyństwa przypadkiem zbiega się z wymiarem wszelkich funkcji dodatnich mitu męczeńskiego. Jako argument dla wywołania współczucia zagranicy, nie odgrywa już poważnej roli. Jako czynnik stymulujący patriotyzm mas jest niepotrzebny, skoro masy są już głęboko polskie i patriotyczne, często bardziej od sfer wykształconych. W tym stanie rzeczy trzeba przyjąć, że dodatkich

skutków romantyzmu i ofiarnictwa nie ma żadnych. Zaczynają się jednak skutki ujemne. Tymi ujemnymi skutkami są po pierwsze — zubożenie narodu przez utratę najcenniejszego materiału ludzkiego, i — co za tym idzie — selekcja w kierunku zachowania oportunistów, po drugie — groźba wyćpienia i wysiedlenia całego narodu, jako jedyny już sposób dla sąsiadów dojścia do ładu z narodem, powodującym się motywami wyłącznie irracjonalnymi i wierzącym, że ciągle walczenie przeciw przemocy uczyni go kiedyś potężnym i wielkim.

Oto cykl, w jakim ewoluowała aktualność hasła Kościuszkowskich. Poważne funkcje w polityce zagranicznej, bardzo poważne zadania w dziedzinie unarodowienia zostały spełnione. Minimalne lub niewielkie straty faktyczne zamieniły się natomiast w hekatombę tak wielką, że mogła w niej skonać cała przyszłość narodu.

Powiedzieliśmy, że powstania ubiegłego wieku były w swoich skutkach idyllą w stosunku do tego, czym stała się walka z przemocą dzisiaj. Tym niemniej po najboleśniejszym upadku, po powstaniu 63 roku, nastąpiła reakcja. Społeczeństwo, zubożałe o wszelkie elementy aktywne, przystąpiło do pracy i odwróciło się od zasady walki z przemocą, walki bez realnych możliwości zwycięstwa. Powstały też dzieła określające nareszcie położenie polityczne naszego narodu i cele jego działań zbiorowych. Nareszcie Polska zareagowała na klęskę myśleniem, a nie tomem wierszy. Jest wielkim nieszczęściem, że dzieła te nie zostały opracowane przez myślicieli naszej lewicy społecznej, lecz przez Koźmiana i Dmowskiego, — dzięki temu lewica zwracała się długo z aprioryczną nieufnością do prac tych autorów. Poszły one, jeżeli idzie o Koźmiana w zapomnienie, a jeśli idzie o Dmowskiego, uległy w umysłach młodszej generacji modyfikacjom, pozwalającym łączyć wskazania jego z dawnym romantyzmem powstańczym.

Jeżeliby ująć w punkty najważniejsze elementy naszego położenia za czasów kościuszkowskich i potem, z jednej strony, a dzisiaj z drugiej, mielibyśmy obraz następujący:

a) przedtem:

1) stosunek sił do sąsiadów dający tylko małe nadzieje na walkę zwycięską,

2) masy ludu słabo uświadomionego narodowo,

3) międzynarodowe metody walki, nie dające powodu do obaw o wyniszczenie całego zbiorowiska.

b) obecnie:

1) stosunek sił nie dający żadnych nadziei na walkę zwycięską,

2) masy ludu niemal zupełnie uświadomione,

3) ogólnie przyjęte metody walki międzynarodowej grożą wyćpieniem zupełnym narodu.

To proste zestawienie oparte na powszechnie znanych cyfrach i faktach, nie wzbudzi zapewne protestów. Można by dodać jeszcze dwa punkty, zresztą dotąd niezmiennione; jeden dotyczyłby naszego ubóstwa, braku narzędzi produkcji wogóle, a produkcji broni w szczególności; drugi — wiary w bezinteresowną pomoc mocarstw zachodnich. Aby nie wywołać dodatkowych dyskusji, pozostawmy je na boku.

Jak ustosunkował się obóz lewicowy po objęciu władzy do problemów Kościuszkowskich, tj. do zagadnienia powstańczego? Najpierw były próby wywołania otrzeźwienia, oparcia polityki na myśleniu i rozsądku, miast na sentymentach i frazesach. Balicki i Putrament pisali nawet dość ostro przeciw neomesjanizmowi. *). Gdy jednak przyszło do zajęcia stanowiska wobec powstań, przeszkoda okazała się zbyt wysoka i cały impet uległ załamaniu.

Jest to jeden z wyjątkowych wypadków, że prasie rządowej wtóruje wiernie, ba, nieraz się z nią przelicytowała prasa opozycyjna. A przecież te wszystkie słowa rzucane w bujną głębię ducha naszej młodzieży, ciałem się

*Oto renesans barbarzyństwa.
Widok od 2000 lat niewidziany.
Tędy przeszli ludobójcy XX wieku.*

(scena z obozu koncentracyjnego)



*) Pisałem to przed artykułami Osmańczyka i Kotta w „Przekroju”.

stają, przynoszą konsekwencje wcale nie słowne, ale rzeczowe, tak samo, jak sześćioletnia podziemna propaganda prasowa przynosiła konsekwencje wcale nie wyłącznie z dziedziny ducha, ale z dziedziny faktów.

Aktualność problemów Kościuszkowskich jest wielka, choć nie tak interpretowana, jak to czynią potocznie nasi publicyści, a nawet nasi historycy. Problemy te jednak zajął się jedno z drugimi i wykrystalizowanie jednych, bez przypomnienia drugich daje nam obraz fałszywy, jakiego nam pozostawiły dzieje Kościuszki. Poświęciliśmy nieco miejsca analizie różnic, wynikłych z biegiem czasu w metodach walki między zbiorowiskami ludzkimi. Zazwyczaj nacisk w artykułach Kościuszkowskich pokładany bywa na inną okoliczność. Na próbę uwolnienia mas chłopskich, na nieudanie tej próby i wynikły stąd upadek powstania. Okoliczność ta znajduje swoje potwierdzenie w świetle prawdy historycznej. Natomiast nie udało mi się nigdy czytać przy tej okazji, że moc ogromna, jaką mogło nam dać wówczas powstanie ogólnie - chłopskie, osiągalna była tylko dlatego, że stosunek naszej liczebności narodowej do naszych sąsiadów był jak 1 : 2, a w najgorszym razie jak 1 : 3. Obecnie stosunek ten jest gorszy, niż 1 : 10. Jest to, jak powiedzieliśmy, problem cyfrowy, nad którym dyskutować nie można. Ale społeczeństwo nasze zachłystywane mirażami XVIII w., skłonne jest nieraz zapominać o tym memento i bez dyskusji je pomijać.

Łączy się z tym element naszych działań międzynarodowych, pominięty dotąd celowo, by nie odwracać uwagi czytelnika od antynomii: unarodowienie mas — wyniszczenie aktywu. Elementem tym jest stosunek zamierzeń i działań zbiorowych do możliwości osiągnięć, zwłaszcza w dziedzinie utrzymania względnie pozyskania form niepodległości. Tu już zarzuty Skałkowskiego wydają się słuszne. Powtarzał on zresztą tylko tezę Koźmiana. Koźmian twierdził, że nasza działalność powstańcza mniej nam pomogła w dziedzinie rozwoju ducha narodowego żywym przykładem i tradycjami, jak zaszkodziła, powodując zamknięcie szkół i likwidację resztek naszego rządu.

Pewne pismo tajne, jedno chyba z najbar dziej wytrwale ukazujących się, i nader donioślejszych w swoich konsekwencjach faktycznych, podawało co tydzień licznym rzeszom swoich czytelników motto z Jasińskiego: „Starczy, by lud rzekł: chcę być wolnym, — by się wolnym ostał!” Rzecz prosta hasło to jest fałszem. Nie wystarczy rzec „chcę być wolnym“, aby wolność natychmiast się zjawiała. Deklamowaliśmy wszak o wolności 150 lat — napróżno! Wprost odwrotnie, zdarza się

nieraz, że ci właśnie, którzy głośno nie krzyczą o wolności, są jej autorami i wybawcami, tamci zaś — w najlepszej choćby wierze pracujący — grabarzami. Uważam, że rocznica Kościuszkowska nie spełni swego zadania, jeżeli nie będzie jej towarzyszyć jednomyślna i zupełna już rehabilitacja króla Stanisława Augusta, nie jako mecenasa, artysty i krzewiciela nauk, ale poprostu jako jednego z wielu na przestrzeni naszych dziejów polityka, który potrafił dostosować swoje działania do istniejących wówczas możliwości. Możliwości te nie były wielkie. Polska, wychodząc z okresu długiego marazmu, nie była uzbrojona do walki z Prusami ani z carską Rosją. Powstanie ludowe mogło, rzecz prosta, dać siły do takiej walki. Ale samo wywołanie powstania, przy konieczności oparcia się, choćby w sztabach, na szlachcie, przy wielkim zacołaniu gospodarczym i oświatowym mas chłopskich ówczesnych, było znacznie trudniejszym. Stokroć bardziej pewnym sposobem utrzymania państwowości i rozwoju gospodarczego i oświatowego mas, było oparcie się właśnie o Rosję carską, i to realizował Stanisław August. Nie wiem już, dlaczego ta prosta prawda, przyjęta ogólnie przez historiografię zagraniczną, nie ma u nas powodzenia. Wychowuje się młódzież w mniemaniu, iż gdyby sejm rozbiorczy składał się tylko z Rejtanów, byłaby Polska uratowana, a gdyby sejm czteroletni liczył tylko targowiczian, byłaby znacznie szybciej zginęła. W rzeczywistości byłoby wprost odwrotnie. Tam, gdzie decydowała armia i broń, żadnym frazesem nie można było uratować sytuacji. Można ją było ratować na drodze znalezienia wspólnych interesów z mocarstwami, pod których kuratelą na pewien okres dziejowy, znaleźliśmy się. Każde wspólne z tymi mocarstwami działanie, rozbiory opóźniało. Każde powstanie czy ruchawka, przyspieszało je.

Czy kult rozsądku i rozumu politycznego powinien zastąpić kult poświęcenia i bohaterstwa? Tego nie uważam. Ale wydaje mi się, że jeżeli nie mamy wychować młodszych generacji, tak jak dwudziestolecie wychowało nas na orszak zapaleńców grzebiących stolicę, jej skarby i jej młodzież w imię nadziei, że ta ofiara wzruszy kogokolwiek na świecie, jeżeli mamy przetrwać ciężkie chwile, jakie stoją przed naszym narodem, i resztki tego co zostało uratowane donieść do generacji następnych, jeżeli chcemy, żeby po nas pozostało zbiorowisko myślące i pracujące, nie zaś tylko piękny zbiorek poezji, czy książka Kossak - Szczuckiej jako wynagrodzenie za nasze straty i klęski — to musi kult rozumu iść w parze z kultem bohaterstwa. Oto największa aktualność problemów Kościuszkowskich.

LEGENDA



I PRAWDA O ŚMIERCI

FRANCIŚZEK KSAWERY WALTER



otężna wizja malarska Jacka Malczewskiego stworzyła między innymi dwie personifikacje śmierci, **Thanatos** I i II. Ból i cierpienie po stracie najbliższych i najdroż-

szych, natchnęły tak niezwykle oryginalną twórczą wyobraźnię artysty do stworzenia wspaniałych postaci śmierci. Wspomnienia greckiego antyku znalazły twórczy oddźwięk w wyobraźni artysty. Na płótnach Malczewskiego pojawia się **Thanatos**, nie jako młodzieniec uskrzydłony z wyobraźni Greków, z pochodnią odwróconą w dłoń, ale jako malarsko-piękna kobieta - Muza, tak stale się przejawiająca w różnych postaciach w jego dziełach. Obie śmierci z tych dwóch odmiennych wariantów stoją przed wiejskim dworem, zjawiają się w jasną noc, jako dziwny groź-

ny gość, przez jednych niepożądany, przez drugich upragniony. Przybywa piękna **Thanatos**, poseł śmierci. Zielonym spiżem błyszczą jej ciało uskrzydłone, w ręku kosa, którą ostrzy, gotowa do szybkiego, bezbolesnego ciosu. Postać druga przebłyскуje wśród seledynowej zieleni spiżem, palcami próbując ostrza kosi.

Starożytni często przedstawiali temat śmierci w swych dziełach plastycznych, personifikując ją nie w postaci złowróżącego demona, ale w postaci dobroczynnego, zsyłającego błogosławieństwo snu młodzieńca. **Thanatos** Greków, syn czarnej nocy, bliźniaczy brat **Hypnosa** - snu, to młodzieniec lub chłopiec, z pochodnią jeszcze płonąca, którą trzyma w dłoni odwróconą w dół.

*) Garść uwag z przygotowanej do druku książki: „Przyjaciół **Thanatos**, *Legenda i Prawda o śmierci*”.



hanatos zbliżał się dobrotliwie do wybrańca, aby gasząc łagodnie pochodnię jego życia, chwile rozstania rozstającego się ze światem uczynić łagodną i wyzwala-

jącą bezboleśnie duszę i ciało z ziemskich cierpień.

Jakże odmiennie sztuka późnego średniowiecza upersonifikowała greckiego dobroczyńcę. Poseł śmierci, to grozę i odrazę budzący szkielet, często dosiadający kościstego konia, z kosą lub sierpem w dłoni. Niekiedy wjeżdżał na triumfalnym rydwanie, szyderczo naigrawając się z ostatnich chwil umierającego. **Thanatos Orcagni**, malarza włoskiego Odrodzenia, to straszliwa niewiasta ze skrzydłami nietoperza, z długim, rozwianym jakby od podmuchów wichrów włosem, dzierżąca w dłoni wysoko wzniesioną kosę. Życie przekształciło Thanatosa w grozę budzący szkielet, który powiedzie w zaświaty, w tańcu śmierci wszystkie stany, papieży, cesarzy, książąt, wojowników, rycerzy, bogatych i nędzarzy w obłądnym płasie śmiertelnym, wiodąc ich w świat nieznany a straszny.

Czy tak należy sobie wyobrażać śmierć, jako nie przyjaciela, ale jako wroga ludzkości, skracającego jej życie, niszczącego boleśnie sens piękności życia. Nie. Nasz przewodnik w krainę wiecznego snu to młodzian piękny, **Thanatos** lub kobieta - śmierć, którzy powiedzą nam w zapomnienie, wabiące błogosławieństwem snu wiecznego i niepamięci. Sens naszego życia jest piękny i pięknym też powinno być pożegnanie się z nim. Sam moment śmierci nie jest straszny, bo jest bezbolesny, zjawiający się w chwili błogosławionej nieświadomości i nieczułości.

A przecież umieranie, to dla nas ponure słowo, spowite w strach i tajemniczy smutek i żal. Umieranie to wyobrażenie tak pełne powagi, że tylko tępi umysłowo, mogą je uważać za obojętne. Mężne serca znoszą je bez trwogi, wierzące — w kornym poddaniu się woli Najwyższego. A przecież umieranie to niszczenie naszego życia, a pęd do życia to inmanentna właściwość natury ludzkiej. Za naszym życiem stoi śmierć. **Każdy z nas, jak każda żyjąca istota przynosi na świat grot, który w nim tkwi ustawicznie, fatum niezmiennie, śmierć.** Od chwili urodzenia krąży ona obok nas, gotowa zmiażdżyć nas każdej chwili. Pragnie nas pozbawić tego, co było skarbem naszym, co kochaliśmy i ubóstwiali, co było pełne blasku, piękności i życia.

Śmierć kiedykolwiek ma się zjawić, niestety przeważnie zjawia się zbyt wcześnie. Ludzkość wszystkich czasów pragnęła i pragnie przesunąć datę śmierci, przypuszczając, że mimo wielu trudności, wyczerpania, niepowo-

dzeń i złudzeń życie ma wiele uroku. Człowiek stworzył wiele teologicznych i filozoficznych myśli w odniesieniu do możliwości istnienia życia pozagrobowego, bo myśli te związane są z jego własnym interesem dążenia do nieśmiertelności i pragnienia wiecznego życia. Wiedza nasza nie wie co się dzieje po śmierci, zjawiska, które mogą być badane przez biologa to tylko akt śmierci, będący częścią ogólnych zagadnień natury i skutków starzenia się. Istnieją różnice w trwaniu życia różnych gatunków i istot żyjących, jednak wiek i śmierć tych gatunków oznaczone są od dawna w sposób niemal matematyczny. Jednokomórkowe istoty żyjące, tak różne od wielokomórkowych ustrojów, właściwie nie umierają śmiercią naturalną, jeżeli tylko żyją wśród odpowiednich warunków otoczenia. Przechodzą do nowego życia przez prosty podział. Indywidualne komórki wielokomórkowych ustrojów są w tym samym znaczeniu nieśmiertelne. Przyjąć więc musimy, że istnieją zasadnicze różnice w ustrojach jednokomórkowych i wielokomórkowych, w odniesieniu do starzenia się i śmierci. Śmierć jest ceną, którą wyżej organizowane ustroje, płacą za wysokie zróżniczkowanie swych ustrojów, jest tylko nagłym zaprzestaniem indywidualności osobnika w miarę trwania gatunku.

Śmierć jest niepokonalna, jednak każda żyjąca istota nie łatwo rozstaje się z życiem. U wyższych zwierzęcych ustrojów, uwidoczni się silny popęd zachowania życia. U człowieka popęd ten jest tak potężny i wszystko owładający, że z wielką trudnością godzi się człowiek na myśl pożegnania się z życiem. Świadomość śmierci jest przede wszystkim własnością ludzi. Świadomość ta niezbyt wyraźna w początkach życia, ujawnia się jednak znacząco już u małych dzieci. U ludzi młodych ten zachowawczy instynkt, połączony ściśle z wrodzonym lękiem przed śmiercią, nie jest jeszcze silnie rozwinięty. Niekiedy dopiero wywołują go pewne okoliczności niezwykle i przypadkowe, jak niebezpieczeństwo w chwili grożącego wypadku, w czasie trwania choroby lub w czasie wojny. W warunkach zwykłych ten samozachowawczy instynkt u ludzi młodych nie występuje dość wyraźnie i z tych to powodów młodzież stawia swe życie nieraz lekkomyślnie na kartę, narażając się na niebezpieczeństwo jego utraty. Człowiek, który doszedł do pewnego wieku, zasobny w swe własne doświadczenie życiowe, ceni wysoko szczęście i urok bytu.

Życie od dawna jest nierozwikłaną zagadką, pełną bezgranicznego podziwu i wielkiej niezbadanej tajemnicy.



le równocześnie z nim i obok niego stoi jako niezbadany problem, zagadnienie śmierci. Im potężniej i im więcej zagadkowo rysuje się przed nami tajemnica życia, tym potężniej wstrząsa nami dramat śmierci. Śmierć jest zaprzeczeniem wszystkiego, cokolwiek wielbiliśmy i podziwiali, jak geniusz, piękno, dobroć, władza. Gdybyśmy uświadomili sobie, czym jest nasze istnienie, nasze dążności, rozkosze sławy i potęgi wobec konieczności śmierci, to myśl ta powinna graniczyć z rozpaczą.

Trwałość życia poszczególnych istot jest ograniczona. Każda żywa materia każdego żyjącego na ziemi tworu ma pewne swoje właściwości, które ujawniają się kształtem, chemizmem, cechami fizycznymi, lub wreszcie znamionami czynnościowymi i odróżniają ten ustrój od wszystkich innych.

W biegu trwania okresu życiowego, ulegają właściwości ustroju pewnym przemianom charakteryzującym wiek osobnika, jego okres embrionalny, młodość, pełny rozkwit starości, po której następuje śmierć.

Wszystko co żyje od najniższych jednokomórkowych istot, poprzez cały świat zwierząt i roślin aż do człowieka, charakteryzuje dążność do utrzymania życia jak najdłużej. Są pewne zdolności regulacyjne, które mogą naprawić uszkodzony organizm, — co zapewni mu zdolność podtrzymania życia. Śmierć niszcząc jednego osobnika nie niszczy gatunku, istnieje jeszcze pewna czynność regulacyjna, właściwa każdemu ustrojowi, a jest nią rozród. Z oddzielonej od ustroju cząsteczki żywej materii wyposażonej w potężną moc trwania, odradza się nowe pokolenie. Życie znamion pewnej indywidualności sięga nieporównanie dalej w czasie, niż trwałość jednego pokolenia, — i płynie przez długie szeregi generacji, osobniki więc mogą być śmiertelne, ale to nie przeszkadza nieśmiertelności indywidualności.

Od dawna zajmowano się zagadnieniem śmierci. Ludzkość czuje obawę przed śmiercią — ale tylko dla tego, jak powiada Tolstoj w swym dziele o obawie śmierci, że przedstawia ją sobie jako ciemną próżnię i że nie widzi życia. Śmierci człowiek nie powinien lękać się więcej, niż jakiegokolwiek innej zmiany, której ulega stale podczas swego bytu. Nikt nie boi się zasnąć, a jednak podczas snu wszystko tak się odbywa, jak podczas śmierci, następuje bowiem utrata świadomości. Żyjemy więc poto aby umrzeć, ale żyjąc przecież nie powinniśmy spostrzegać w tym ostatnim akcie czegoś takiego, coby śmierć mogło uczynić nienawistną.

Natura ludzka tak doskonała i wzniosła pod pewnymi względami, przedstawia jednak liczne i doniosłe rozdzwigi, źródła naszych cier-

pień. Niewyczerpanym źródłem naszych cierpień jest właśnie śmierć. Ludzkość znalazła wszakże pociechę. Dla Platona było jasne, że prawdziwy filozof pracuje przez całe życie, aby przygotować się na nadejście śmierci: „Byłoby śmieszne — powiada — abyśmy po ustawicznym dążeniu do celu doszli do tego, żeby się cofać i obawiać, gdy śmierć staje przed nami“. Śmierć należy przyjąć z rezygnacją jako jedną z tych rzeczy, których żąda sama natura. Śmierć naturalna to obowiązkowe rozplnięcie się samoczynne ustroju, a nie z zewnątrz zjawiające się zniszczenie. Ustrój bowiem żyjący jest całością, ale jest nią tylko w czasie, a każda całość, która jest w czasie, miała swój początek i musi mieć swój koniec tj. śmierć.

Czym jest właściwie śmierć? Znamy ją wszyscy, ale naprawdę nic o niej nie wiemy. Znamy ją tylko z obserwacji, ale nie z doświadczenia. Czy może więcej o niej wiedzą umarli? Medycyna poucza nas co się dzieje z materią organiczną w chwili śmierci, jakie są objawy poprzedzające zgon, na czym polega ostatnia walka ze śmiercią, z której śmierć wychodzi zwycięsko, że w końcu jest to proces przemiany ciała i powrót do prochu ziemskiego, do pramaterii, z której ciało było utworzone i że dalej zasilać będzie materię składnikami swego ciała. Co się dzieje z motorem życia, ożywiającym życie, nie wiemy. W chwilach zapasów z trawiającą człowieka ciężką a niebezpieczną chorobą, słabnie siła duszy, traci ona władzę nad czynnościami życiowymi. Ale jakżeż często ta potężna siła ducha zwycięża chorobę i życie podsypane paliwem, płonąć będzie nadal. Czy to sprawia energia życiowa czy siła ducha, czy siła woli, czy wreszcie cała nasza osobowość — o tym sądzić nie możemy. My lekarze nie zaprzeczamy współdziałania ducha w chorobie ciała, wierzymy w niego. Ale jak daleko sięga moc ducha, jaki jest zakres jego działania, za mało w tym kierunku poczyniliśmy doświadczeń.

Nauki lekarskie zdziałały wiele dla życia i zdrowia, zdołaliśmy przedłużyć je i utrzymać wiele jestestw ludzkich przy życiu, skazanych bez naszej nauki i sztuki na zagładę. Ale czy zdziałać możemy więcej? Czyż ludzkość powinna ovladnąć śmiercią, bo przecież jest ona zaprzeczeniem istoty życia? Niestety nie! Śmierć jest naszym przeznaczeniem, naszym fatum, które przynosimy ze sobą na świat ukryte w drobnych komórkach rozrodczych, w genach. Gen śmierci jest wszechpotężnym władcą; nie może go nigdy zabraknąć w zapłodnionej komórce i próżne jest nasze oczekiwanie zbawczej pomocy medycyny. Utrzymać życie w dzisiejszej postaci jest niemożliwością.



jest to może dziwne, że uznać musimy, iż życie, które kochamy, stworzone zostało przez śmierć. I mimo, że uważamy ją za wroga, jest ona przecież naszym dobroczynią.

A jednak myśl o życiu ma dla nas czarowny wdzięk. Nic silniej na nas nie działa, nic do większych nie zniewala poświęceń i nic nie rozwija szerzej naszych sił, jak niebezpieczeństwo życia. Nawet człowiek ogołocony z wszelkich powabów życia, oplakujący na zawsze utraconą wolność, jeszcze w wyobrażeniu życia znajduje powab. Bo życie jest nieustannym przyjmowaniem wrażeń i myśli o stałej mieszaninie śmierci i tworzenia. Ten, kto obawia się śmierci, wyrzeka się niezawodnie szczęścia. Żadna rozkosz nie będzie dlań pełna, bo zawsze dołączy się do niej ponury obraz śmierci. Należałoby więc oswoić się z wyobrażeniem śmierci i stać się wobec niej obojętnym. Lecz ci, którzy może nie obawiają się śmierci, ale samej chwili umierania, powinni wierzyć, że nikt nie czuł samej chwili śmierci, w chwili tej bowiem giną władze ducha i świadomości. Sam akt śmierci jest bezbolesny, i przechodzący bez wrażenia, bo jest bezwiedny. Platon przez usta Sokratesa kreśli te chwile z niezwykłą prawdą: „A zastanówmy się i nad tym, jak wielka jest nadzieja, że to coś dobrego. Otóż jednym z dwóch jest śmierć. Bo albo tam niejako nic nie ma i człowiek po śmierci nawet wrażeń nie odbiera, albo jest to jak mówią przeobrażenie jakieś i przeprowadzka duszy na inne miejsce. Jeśli to brak wrażeń, jeśli to coś jak sen, kiedy ktoś śpiąc nawet widział sennych nie ogląda żadnych, to przedziwnym zyskiem byłaby śmierć. Bo zdaje mi się, że gdyby ktoś miał wybrać w myśli taką noc, w której tak twardo zasnął, że nawet mu się nic nie śniło i inne noce i dni własnego życia miał z nią zestawić i powiedzieć, ile też dni i nocy przeżył lepiej i przyjemniej od tamtej, to myślę, że nie jakiś prywatny człowiek, ale nawet wielki król znalazłby, że na palcach policzyłby je można w porównaniu do tamtych innych dni i nocy“.

Emil Zegadłowicz w dniu swej śmierci 24 lutego 1941 roku drżącym piśmem zanotował ostatnie swe przedśmiertne wrażenia: „Ochodzę bez lęku, spokojnie, jakby w ciszę wielkiego lasu, prawie z radością“.

Są osobnicy, u których najdokładniejsze badanie kliniczne i anatomo-patologiczne po śmierci nie wykazuje żadnych zmian, które by można uważać za przyczynę śmierci. Bywali zawsze zdrowi i usnęli na zawsze zmuszeni do tego starością. Dlaczego umarli? Dlaczego serce przestało bić, chociaż biło przez lata bez przerwy? Tu się kryje wielka zagadka życia.

Dla laika jest ona może prosta, dla biologa nie zawsze. Sprawa ta pozostaje niewyjaśniona i za du Bois-Reymondem, wybitnym fizjologiem musimy powtórzyć: **Ignorabimus**.

Jaka jest ostatnia droga umierającego i jakie są ostatnie chwile przedśmiertne — to starałem się w sposób bardzo zwięzły przedstawić. Niepokoić umierającego może tylko niepełność tego, co go oczekuje. Wielu streszczało to w słowach: „Chcemy wiedzieć, czy umieranie jest fizycznie bolesne. Czy możemy to wiedzieć? Nikt przecież nie powraca po śmierci“. Możemy jednak na to pytanie znaleźć odpowiedź, nie przy pomocy twórczej wyobraźni lub nadziemskiej wizji, ale tylko przez obserwację natury. Wiemy, że śmierć nagle jest bezbolesna. Śmierć zgilotynowanego musi być również bezbolesna. Świadomość istnieje tylko wówczas, gdy tlen dopływa z krwią do mózgu. Można by myśleć, że ścięta głowa może myśleć i cierpieć fizycznie choćby przez krótką chwilę, kiedy komórki nerwowe mózgu jeszcze nie zużyły swego zapasu tlenu. Ale przypuszczenie to usuwa wiedza. Kiedy rdzeń kręgowy zostaje przerywany siłą, to bezpośrednio zawieszona zostaje czynność nerwów i nawet niezależnych od naszej woli odruchów. Wskutek nagłego urazu elementów nerwowych, zjawiają się silne mechaniczne wstrząsy, tak że ich czynności przejściowo są porażone. Analogicznie możemy sobie wyobrazić podobny proces w mózgu uciętej głowy. Następuje przejściowe zawieszenie czynności mózgu, a przez ten czas zanika tlen w mózgu, a człowiek i jego głowa są już martwe.

Mimo istnienia śmierci jako dziejowej konieczności życia ludzkiego, nad całym żyjącym światem roztoczyć musiała swą władzę potęga nieśmiertelności, bez której nie mogłoby się utrzymać życie, przez tyle tysięcy lat. Śmierć jest następowym obciążeniem państwa żyjących istot. Im więcej zróżnicowania jest istota żyjąca, tym pewniej i łatwiej ulec musi śmierci. Mózg jest najczulszą i najważniejszą częścią składową ustroju i łatwo ulegają śmierci mózgowej obdarzone nim istoty. Istoty bezmózgowe żyć mogą długo. Za cenę duszy i jej siedziby, mózgu — stracił człowiek swą długowieczność, a może nieśmiertelność. Nieśmiertelną cząstkę człowieka ochrania ciało i żywi ją, i chroni przed groźącą katastrofą. Ciało spełnia swoje zadanie, jeżeli zdoła wysłać w świat swą część nieśmiertelną, komórkę rozrodczą, która przedłuży jego życie. W tym leży możliwość utrzymania życia na ziemi.

W świecie bowiem zwierząt i roślin istnieją komórki, które od praczasów zachowują nieśmiertelne cząstki ustroju, ale one i tylko one mogą nucić pieśń nieśmiertelności. Inne komórki zapewnić muszą tylko warunki istnienia, nowemu, z nich powstającemu potomkowi.



tarsze pokolenia muszą tak długo trwać przy życiu, aż zapewnią utrzymanie się przy życiu ich rodzin.

Dlaczego ciało umiera, a komórki rozrodcze są nieśmiertelne? Uczeni jak Weissman widzą w tym zastosowanie się do natury; niedołączne ciało musi umierać. Każda czynność życiowa i każdy narząd potrzebny do życia musi zginąć, jeżeli stanie się niepotrzebnym dla niego. Ratuja się z ogólnej zagłady komórek ciała, nosiciele życia, komórki rozrodcze. Dzielą się, aby dać życie i postać nowemu ustrojowi, podobnemu do rodzicieli. Wiele z nich ginie zarówno wewnątrz, jak też i zewnątrz ustroju, bez osiągnięcia celu, ale w jednej, która przetrwa i osiągnie cel, istnieć będzie życie i właściwości rodziców i przodków. Komórki rozrodcze chronione są przed starzeniem się, mają wieczną młodość i nieśmiertelność. Ustrój umarły żyje w nich nadal, albo z nich powstałych nowych osobnikach. Zachowanie gatunku jest więc w ten sposób zapewnione. Plemniki giną masami, żyją krótko, ale posiadają właściwości nieśmiertelne, potencjonalne. Nieśmiertelna jest plazma ich jąder, chociaż plazma samej komórki jest śmiertelna. Kiedy jednak nieśmiertelna plazma zarodkowa nie znajdzie obok siebie nowej plazmy po akcie zapłodnienia, musi ginąć.

Każdy z nas, który obecnie żyje, żył również od początku życia. Każda cząstka naszego ciała jest częścią komórek, które już istniały w przeszłości. Łańcuch życia naszego trwa nieprzerwanie. Pozostają tylko po drogach naszego życia wielkie masy komórek zużytych, niepotrzebnych już dla nowych generacji i to nazywamy śmiercią przeszłych osobników. Nasze ciała nie powstały przez podział tych zużywających się komórek, ale są dalszym ciągiem komórek, które zachowały się przy życiu, bo były nieśmiertelne i mnożyły się od najwcześniejszych czasów. Śmierć nie jest własnością indywidualnej komórki, lecz jest losem skomplikowanych ustrojów, w których różne typy komórek i tkanek zależą czasem od siebie. Być śmiertelnym, to fatum nasze i nakazy, które otrzymujemy przy poczęciu, ale rozradzać się, to jest oddawać nasze części żywe dla zachowania ciągłości życia ludzkiego, to również nakaz z poprzednim ściśle złączony. Śmiertelność wszystkich istot żyjących nie jest wcale przeszkodą dla ciągłości życia i rozwoju dalszego, a nawet była konieczna dawniej, aby wytworzyć dzisiejszy świat istot żyjących. Śmierć to cena, którą zapłaciły wyższe ustroje za wysoką specjalizację swej budowy i za czynności życiowe, a my ludzie — za cenę naszego mózgu i naszej duszy.

Człowiek wie, że umrze. Naukom przyrodniczym pozostaje tylko pytanie, czy to musi być — a następnie dlaczego to musi być. Naukę o życiu biologię — kończy ostatni rozdział. Jest to nauka sobie właściwa oparta na badaniach wszystkich istot żyjących świata zwierzęcego i roślinnego. Nie wszystkie istoty żyjące umierają w sposób jednakowy.

Jednakże dla ludzkości słowo śmierć pozostanie zawsze spowite w strach i tajemniczy żal. Myśląc o niej obwiniamy ją o zdradę, w niej — mówi Maeterlinck — „odnajdujemy każde złe i każdy krzyk cierpienia, które stanowi tu oskarżenie. Ona ponosi winę za każdy błąd natury czy bezsilności wiedzy, która daremnie przedłużałaby cierpienia. W ich imię przeklinamy śmierć, kładąc im kres ostateczny“.

Skąd wzięła się obawa przed śmiercią? Dziecko śmierci się nie lęka, młodzieniec mniej niż dorosły, a dorosły mniej niż starzec. Kto im wpoił w mózgi obawę przed zgonem? U ludzi natury, u ludzi prostych śmierć jest zjawiskiem prostym, odbywa się na scenie ziemskiej bez dramatu i bez nerwowych wstrząsów. Starożytny świat może lepiej od dzisiejszego zaznajomiony z konfliktami duchowymi, był bardziej spoufalcony ze śmiercią. Ludzie współcześni mniej o niej myślą, toteż więcej się jej lękają. Wewnętrzny lęk starają się stłumić szaleńcem pracy lub uciech.

Od rasy, zawodu, wychowania zależy zachowanie się wobec śmierci. Inaczej myśli o niej Azjata, inaczej Europejczyk, inaczej człowiek natury, inaczej wychowany w kulturze, inaczej chłop pracujący na roli, inaczej neurasteniczny mieszczanin. Śmierci we śnie, w gorączce, w chorobie, człowiek nie lęka się, bo wie, że nie będzie świadom tych chwil ostatnich, ale gdy nadejdzie moment przeczuć, gdy pewny jest, że umrze, wówczas zjawia się lęk przedśmiertny. „Jesteśmy dzierżawcami życia — pisał Lukrecjusz — bo ono nie jest naszą własnością“. O niej z odwagą a nawet z miłością wyrażali się Seneka, Ciceron, Kato, o niej to pisał ze zrozumieniem jej istoty nasz Jan z Czarnolasu:



nie wiem za co na tę śmierć tak narzekamy

Wszakże my nic innego na ziemi nie znamy,

Bo na koniec i Państwa szerokie ustają

Za cóż by się człek mniemał godniejszym żywota
Którego ulepiono nie wiem jako z błota
Co niesie przyrodenie, zbraniać się nie godzi



*człowiek aby raz umarł, z tem
się na świat rodzi
A jeśli jeszcze ku temu śmierć
na czas trafiła
Rychlej dobre, niżli złe słowo
o sobie zasłużyła.*

Rozmyślania o śmierci niewątpliwie muszą być inne w spokoju, a inne w afekcie, lecz napewno stojąc z nią oko w oko pozbawiamy się lęku i przyjmujemy ją spokojnie. Dowodzą tego liczne spostrzeżenia lekarzy tak często asystujących przy śmierci. Moment śmierci nie jest groźny, bo nadchodzi w chwili ogólnego znieczulenia i wyczerpania. Ból towarzyszący umierającemu na łożu śmierci, jest tylko wyrazem nierozstrzygniętej walki życia ze śmiercią. Istnieje przecież podobny stan bezwiednie odbywający się, to wejście w świat żyjących, nasze narodziny. Jest więc zgodność w mechanizmie rodzenia i śmierci. Oba te stany leżą poza naszą świadomością.

Pojęcie śmierci przedstawia dla biologa prostą definicję. Jest to zupełne, nieodwracalne zaprzestanie wszelkich czynności życiowych. Stopniowe przechodzenie z życia w objęcia śmierci nazywamy umieraniem. Poprzedzają je zaburzenie czynności życiowych, a zwłaszcza pewnych czynności narządów. Cykl ten kolejnego zamierania narządów spotykamy tylko w przypadkach śmierci naturalnej. Śmierć gwałtowna, sprowadza momentalny zastój najważniejszych czynności życiowych, jak oddychanie i krążenie krwi.

Życie w przyrodzie trwać będzie stale niezmiennie, chociaż poszczególne ustroje są śmiertelne. Gdy współczynność wszystkich narządów i części składowych ciała ustaje, zjawia się wówczas śmierć, rozpad niegdyś ożywionej substancji. **Ale nie sama materia ciała jest śmiertelną, śmiertelną jest harmonia czynnościowa materii, życiowy związek wszystkich narządów ustroju.** Śmierć wobec tego oznacza bezpowrotny zanik życiowych zdolności czynnościowych naszej indywidualności. Śmierć wbrew poetyzującym pisarzom, opisującym jakoby własne przeżycia ostatnie, jest zawsze spowodowana zanikiem czynności mózgu lub serca w skutek nieodwracalnego uszkodzenia, tzw. węzła śmierci w mózgu lub w sercu. Od szybkości ustania ich czynności zależy zaistnienie śmierci naglej lub długiej walki ze śmiercią, agonii. Ta rzekoma walka istnieje jednak tylko w oczach i myślach towarzyszących zjawisku śmierci. Umierający niczego nie przeżywa, bowiem świadomość jego jest zazwyczaj zamacona. Tylko żyjący odczuwa śmierć. Do mitów należą opisy powtórnego a szybkiego przeżywania zdarzeń swej przeszłości, jak to niejednokrotnie czytamy w opisach niebezpieczeństwa śmierci z utonięcia. Tylko choroba powoduje

ból, śmierć sama—nie. Zawieszenie kary śmierci, jest tylko zawieszeniem kary trwogi dla skazańca przed śmiercią.

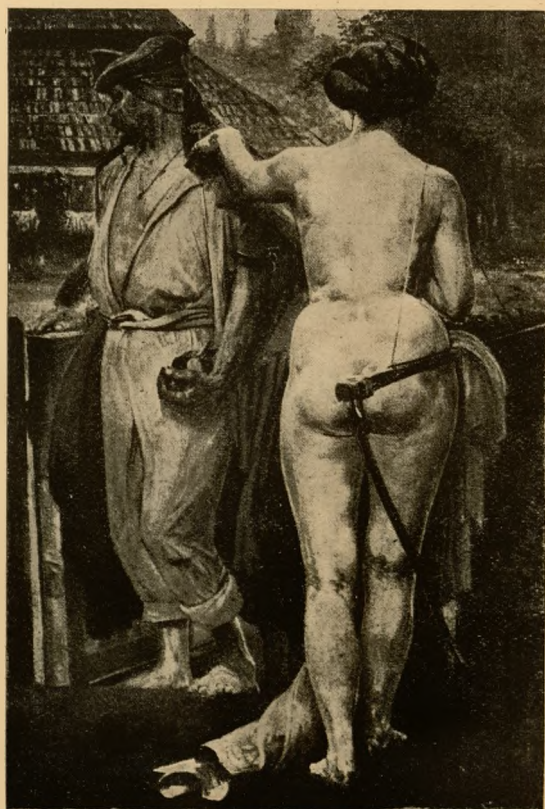
Rodzaj i obraz śmierci zależy głównie od tego, jakie warunki wewnętrzne spowodowały w ostateczności śmierć. Ruchy niespokojne umierającego otoczenie zazwyczaj tłumaczy usiłowaniami odpędzenia zbliżającej się śmierci. Świadomość umierającego w chwili agonii zanika, niekiedy tylko, gdy nagle napłynie więcej krwi do mózgu, umierający ożywia się, słyszy szmery i rozmowę toczącą się przy jego łożu. Słuch bowiem zanika jako ostatni ze zmysłów. Tętno słabnie, staje się drobne, nitkowate, oddech jest przyspieszony, umierający rzezi, zmieniają się rysy twarzy, która przyjmuje nieprzyjemne wejście, mięśnie mimiczne układają się w grymas smutku lub zdziwienia. Słusznie pisał Szyller, że geniusz śmierci z pochodnią gasnącą w rękę wprowadzie mile wygląd, lecz estetyczną śmierci bynajmniej nazwać nie można.

Śmiercią nagłą umierają wybrańcy. Axel Munthe twierdził, że największą łaską Wszchemogącego, jakiej człowiek w ogóle może w życiu dostąpić, jest śmierć w czasie snu. Poeta Pindar zasnął na zawsze w czasie przedstawienia w teatrze.

Moment naglej śmierci następuje szybko — a sam akt trwa bardzo krótko.

J. Malczewski

ŚMIERĆ





jawia się stan nagłego ostatecznego, zbliżony do stanu omdlenia, chory błędnie, chwytając się za okolicę serca, wykonuje kilka ruchów i drgnień, wzrok staje się szklisty, z ust wydobywa się kilka ochrypłych dźwięków i chory pada bez życia.

Różne bywają przyczyny nagłej śmierci. Schorzenia serca, mózgu, płuc, a przede wszystkim zaczopowanie ważnych dla życia tętnic. Są śmierci przyczyny anafilaktycznej np. w przypadkach nieznoszenia leków, są śmierci, których przyczyną są schorzenia tzw. gruczołów dokrewnych, śmierci ze wzruszenia, wskutek nagłych zmian meteorologicznych lub z przegrzania ustroju (porażenie słoneczne); czynnikiem usposabiającym do tego rodzaju nagłych zgonów jest niezwykle silne napięcie nerwu błędnego. Jednak zasadniczo przyczyną ostateczną tych zgonów jest śmierć pochodzenia sercowego.

Naturalna śmierć starców jest zazwyczaj pogodna i bezbolesna. Fontenelle przed śmiercią zapewniał otoczenie, że nie czuje właściwie nic innego, jak to, że jest mu bardzo trudno żyć. Ernest Renan w godzinie śmierci oświadczył: „Niema nic naturalniejszego, jak umrzeć. Chylmy czoła przed prawem Wszechrzeczy. Moje zadanie skończone, umieram szczęśliwie, niebo i ziemia pozostają”. Zmarły mój kolega, wybitny profesor wydziału lekarskiego U. J. umierał niezwykle przytomnie, śledząc sam na sobie objawy zbliżającego się zgonu. Na godzinę przed śmiercią filozofował z otaczającymi go, mówiąc: „Jakże słuszne jest zdania Tomasza à Kempis: — życie jest snem, a śmierć jest przebudzeniem, chociaż tak często bywa wyszydzane”.

Czynności życiowe starców posuniętych w latach powoli zanikają, toteż starcy ci gasną zwolna, pełni rezygnacji. *Non moriuntur sed vivere cessant, uti lampes extinguente oleo.* Jeżeli giną z powodu chorób ostrych, gorączkowych, nie czują swego stanu. Przetwarzanie krwi dwutlenkiem węgla, powodujące duszności, znosi ból. Znikają troski i zainteresowanie się otoczeniem — proces bowiem myślenia gaśnie. Umieranie może być bolesne z powodu różnych chorób: dusznicy, raka, gruźlicy krtani ale nie sama chwila śmierci, w której zjawia się nieświadomość i zamroczenie.

Długotrwałe umieranie, *kakothanasia* zjawia się u chorych ginących w stanie ogólnego wyczerpania i charłactwa. Śmierć wówczas czyni niezwykle przykre wrażenie na otaczających *Euthanasia*, sztuka niesienia ulgi w ostatnich godzinach a nawet dniach, poprzedzających zgon skazanych na śmierć wśród nieustających bólów, nie znajduje uznania wśród lekarzy. W latach przedwojennych społeczeństwo angielskie poczęło się interesować za-

gadnieniem śmierci dobrowolnej. Wypracowano nawet projekt ustawy, która miała swego czasu widoki przyjęcia. Postępowanie w takim wypadku było bardzo formalne, ustalone dokładnie przez przepisy, a pozwolenie na śmierć dobrowolną — wydawane przez ministra zdrowia publicznego, który miał sprawdzić, czy spełniono wszystkie przepisowe warunki i wskazać lekarzy zdolnych do wydania upoważnienia na ten rodzaj śmierci. Jednak do przyjęcia powyższej proponowanej ustawy nie doszło.

Gdybyśmy chcieli określić właściwy i definitywny moment śmierci, to zdawać się nam może, że jest to rzecz łatwa. Znamy bowiem naukowo określone zjawiska śmierci, jak ustawianie akcji serca, omdlenie, zapad, duszenie się, pęknięcie naczyń krwionośnych w mózgu itp. Określamy czas umierania jako nagły lub powolny, zjawiający się w końcowych okresach choroby, ale czasu rozpoczynania się aktu umierania nie możemy dokładnie określić. Godzina walki ze śmiercią, chwila agonii jest nam już dokładniej znana, początek jej jest widoczny, przebieg powolny lub nagły. Twórca medycyny Grek Hippokrates, żyjący w IV w. przed Chrystusem pozostawił nam obraz niezwykle wierny, ostatniego wejrzenia umierającego: „Skóra na czoie napięta albo pomarszczona, zimna, łodowata, sucha, oczy zapadłe, przyćmione, ponure, omdlewające, zagaste, płaczliwe, brudne i na pół przymknięte; powieki blade, sine, zakłęste, nieruchome, nie zakrywają szczelnie oczu, tak, że można widzieć białkówkę; nos wyciągnięty i szpiczasty, skutkiem przylgnięcia skrzydeł nosa do przegrody środkowej, skronie zakłęśnięte i pomarszczone, wargi blade, bezbarwne, sine, ołowiane, zwiędłe, zimne, obwisłe i drżące; skóra na twarzy sucha, ziemista, pokryta niekiedy zimnym potem, cera sina, ołowiana, brudna, żółtawa, broda pomarszczona, szpiczasta”.

Porażenie nerwów naczynio - ruchowych, powoduje lepki, chłodny pot. Ruchy stają się bezwiedne, palce rąk wykonują często akt jak gdyby skubania, o czym również i Hippokrates wspomina, oddech staje się rzęzącym, czasami zatrzymuje się, to znów przechodzi w głęboki wdech, uderzenia serca słabną, tętno zanika, wreszcie oddech ustaje na zawsze.

Wydaje się nam, że śmierć ciała następuje z ostatnim wydechem i z ostatnim uderzeniem serca a przecież wiemy, że w pewnych przypadkach np. uduszenia lub utopienia, przez pewne zabiegi, jak sztuczne oddychanie możemy przywrócić pozornie umarłemu czynność oddychania i krążenia, a tym samym przywrócić mu życie. Jednak, gdy stan ten trwa zbyt długo, następują nieodwracalne zmiany w ustroju i powrót do życia jest niemożliwy.



dy serce przestaje bić, możemy naśladować czynności serca przez mięsienie tj. rytmiczne uciskanie okolicy serca, przywrócić mu zdolność uderzania i przywołać z powrotem ulatujące życie.

Więc zatrzymanie oddechu i akcji serca, w pewnych okolicznościach nie musi być równoznaczne ze śmiercią. Ale nawet gdy definitywnie ustaną te dwie czynności, to jednak śmierć nie następuje, gdyż to co uważamy za moment śmierci, jeszcze nie nastąpiło i ciało żyje stosunkowo przez długi czas.

Na tym polega t. zw. przeżycie narządów. Serce żaby umieszczone w odpowiednim odżywczym płynie może bić dniami całymi dalej. Spostrzegano w 12 autopsjach na 75 wykonanych w $\frac{1}{2}$ godziny do 7 godzin po śmierci, skrócie prawego uszka sercowego a wyjątkowo też lewego i prawej komory. Czas trwania pośmiertnego bicia serca wynosił 15 do 50 minut a w jednym przypadku uszko sercowe biło bez przerwy 65 minut, wykonawszy 600 skurczów (Sambuc). Badania elektrokardiograficzne najnowszych czasów wykazują, że serce jeszcze nadal pracuje, chociaż ruchów serca wyczuć nie można, ani też wysłuchać. Stwierdzono, że w tych przypadkach, w których elektrokardiogram wykazywał jeszcze prądy czynnościowe serca, był jeszcze możliwy powrót do życia. Kiedy więc jeszcze serce pracuje, to ważniejsze wydaje się dla przywrócenia życia nie sztuczne oddychanie, ale mięsienie i rytmiczne uderzanie w klatkę piersiową w okolicy serca.

Narządy wewnętrzne wyjęte z ustroju ciepłokrwistych zwierząt, umieszczone w płynie o składzie podobnym do krwi i jeszcze odżywiane krwią, zawierającą tlen, mogą żyć i być czynne dalej. Dla nauki doświadczenia te przyniosły wielkie korzyści. Dziś chirurdzy potrafią przeszczepiać części stawów lub nawet całe stawy, wycięte z ustroju tuż po jego zgonie, aby zastąpić zniszczone, skoro zmuszeni są usuwać je u swoich chorych. Nawet części nerwów wyjęte ze świeżych zwłok i przeszczepione w miejsce zniszczonych u operowanego osobnika, zrastają się i są czynne.

Fizjologowie potrafią ożywiać i izolowane narządy zimnokrwistych zwierząt. Fizjolog L. Binet w Paryżu ożywił uciętą głowę ryby, przetaczając przez nią roztwór różnych soli, glukozy i mocznika. Głowa ożywiła się, co dowodzi, że mózg potrafi jeszcze podjąć swe czynności w pewien czas po śmierci ustroju, jeżeli dostarczy się mu życiowo ważnych substancji. Brown-Sequat wykonał podobne doświadczenie z głową psa, odciętą po śmierci. W 15 minut po ustaniu akcji serca rozpoczęła się zamieranie zwojów nerwowych i komórek mózgowych, bo mózg najgorzej znosi

brak krwi. Jeżeli się użyje dla przywrócenia czynności mózgu zamiast fizjologicznego roztworu soli, roztworów soli nasyconych tlenem krwi, to można mózg ożywić jeszcze po upływie 20 — 25 minut. W chwili, kiedy następuje śmierć ustroju — jako całości, części ciała mogą jeszcze być żywotne. Śmierć, to dopiero zupełna martwość wszystkich poszczególnych części ciała, bo wówczas wskrzeszenie którejś z nich nie jest możliwe.

Zatrzymanie się oddychania nie jest jeszcze śmiercią. Umieranie składa się z całego łańcucha zjawisk, z ustaniem w końcu czynności fizjologicznych pojedynczych narządów, tkanek i komórek. Dlatego też mając do roztrząsania zagadnienie śmierci, napotykamy się na bardzo zawiły mechanizm przyczyn i następstw. Najprościej przedstawia się śmierć z uduszenia. Ustrój jest bowiem odcięty od dostępu tlenu, tak samo niezbędnego materiału dla podtrzymania płomienia życia, jak płomienia palącej się świecy. Przypadek, zbrodnia, samobójstwo i schorzenia dróg oddechowych — powodują zazwyczaj ten rodzaj śmierci, jednakże podobne zjawisko nastąpić może wskutek uduszenia się wewnętrznego. Gdy krew, ten tak ważny czynnik dla oddychania, nie może zaopatrzyć się w niezbędny materiał do życia — tlen, aby dostarczyć go narządom i komórkom, giną te ostatnie również z uduszenia, wywołanego brakiem tlenu.

A. Dürer

RYCERZ, ŚMIERĆ i DJABEŁ





trucie gazem świetlnym, uniemożliwia krwinkom czerwonym pobieranie tlenu, brak większej części krwinek w chorobach krwi — i niemożność wyrównania niedoboru

przez wytwarzanie się nowych, powodują te same zjawiska.

Gdy człowiek traci krew z upływu — może nastąpić śmierć ze skrwawienia się. Krwi jest za mało, serce nie wypełnia się dostatecznie i pracuje z nadwyzwyczajnym wysiłkiem. Wprowadzeniem płynu np. roztworu fizjologicznego soli do opustoszałych naczyń krwionośnych dostarczamy materiału potrzebnego dla pracy serca, które chociaż osłabione, doprowadza jednak krew do wszystkich narządów i tkanek. Również śmierć z upływu krwi jest śmiercią z uduszenia, bo brak jest nosicieli tlenu, czerwonych ciałek krwi. W przypadkach niebezpiecznego upływu krwi, stosuje się krew ludzką wprowadzając ją do naczyń krwionośnych, przy zachowaniu wszelkich ostrożności, przelewając ją bezpośrednio z żył zdrowego osobnika. Doświadczenie wojenne pouczyło nas, że to samo zadanie spełnia w przypadkach upływu krwi, wprowadzenie do ustroju suszonej plazmy krwi, odpowiednio przed zabiegiem rozpuszczonej.

Inaczej przejawia się śmierć z przyczyn niewydolności życiowych serca. Czyż nie mamy w pamięci tragicznych wydarzeń wśród rodzin naszych? Ojciec rodziny lub wiekowy jej poważany członek, nagle, w czasie radosnej biesiady, pada nieprzytomny, nie wydawszy głosu i umiera. Zamknięcie odżywiającej serce tętnicy powoduje blokadę akcji serca. Chirurdzy znają śmierć nagłą podczas narkozy chloroformowej, powstającej niespodzianie, po kilku zaledwie kroplach wdychiwanego środka znieczulającego. W podobny sposób działają na serce ludzkie także inne jady. Gdy serce, motor naszego krążenia krwi, zawiesi swe czynności, giną wszystkie komórki z braku tlenu. Jest i trzeci niezmiernie ważny narząd, z którego śmierć bierze swój początek. Jest to mózg. Starzy już lekarze nau czali, że są trzy **atria mortis**: (przedsionki śmierci): płuca, serce i mózg.

W tragicznym wieku człowieka, starości, tkanki ulegają postępowym zmianom. Te zjawiska wsteczne nie pozwalają materii pozostawać zawsze w tym samym stanie. Zmiany te w postaci złożeń barwikowych, gromadzą się najwcześniej w komórkach mózgu i komórkach nerwowych. Mięsień sercowy ulega również wcześniej pierwszym objawom zwyrodnienia. Człowiek umiera prawie zawsze z powodu niewydolności serca — ale jest to właściwie śmierć patologiczna; śmiercią naturalną, fizjologiczną jest śmierć mózgowa, a punktem wyjścia jest ośrodek odde-

chowy oraz znajdujący się w tym samym miejscu rdzenia przedłużonego, ośrodek naczyńno - ruchowy. Tak więc mózg zasadniczo przoduje w akcji śmierci.

Gwałtowne wzruszenia, którym człowiek podlega, mogą spowodować nagłą śmierć. Oto historia z przed kilkudziesięciu laty. Odzwierciany królewskiego kolegium w Aberdeen w Szkocji był nie lubiany przez studentów, z powodu swego surowego z nimi postępowania. Pewnej nocy zainscenizowano porwanie nie lubianego klucznika, wywieziono go do pobliskiego lasu, gdzie odegrano scenę sądu. Sędziowie skazali odzwierciany na śmierć. Klucznik uwierzył tej scenicznej akcji. Zawiązano mu oczy, kazano uklęknąć przed ściętym pniem drzewa, podniesiono w górę siekiere, którą przedtem mógł na własne oczy oglądać, jako narzędzie przyszłej swej śmierci, lecz zamiast ostrzem siekiery, uderzono go w kark mokrym ręcznikiem. Zadowoleni z zemsty młodzieńcy zdjęli mu opaskę z oczu. Niestety klucznik nie żył, umarł wskutek wyimaginowanego uderzenia. Nadmierne, nie do wyrównania odruchowe podrażnienie nerwów serca było bezpośrednią przyczyną śmierci. Serce i naczynia krwionośne musiały być w stanie schorzenia, kiedy uległy tak niezwyklej przyczynie. Kolegom moim, lekarzom, zawdzięczać autentyczne opisy podobnych zdarzeń.

Lekarz miał wykonać u swego pacjenta zabieg dożylnego wstrzyknięcia leku. Chorego przygotowano do zabiegu i w chwili, kiedy lekarz zbliżył się do niego ze strzykawką w rękę, chory na widok narzędzia lekarskiego, wyzionął ducha. Emocja położyła nagle kres życiu. Podobny zgon może nastąpić również w paroksyzmie gniewu.

Czynności nieprawidłowe innych ważnych narządów życiowych są pierwotną przyczyną prowadzącą do śmierci, właściwie w następstwie końcowego uszkodzenia serca. Tragiczna jest śmierć z oparzeń, wczesna lub późna w zależności od rozległości oparzeń i zmian następowych w tkankach. Niewątpliwie wpływ na śmiertelność ludzi wywierają czynniki meteorologiczne. Okolice, w których wieją swoistego rodzaju gwałtowne wiatry, notują w tych okresach wysokie odsetki nagłych śmierci z zatorów tętniczych, Burze magnetyczne wpływają na rytm występowania chorób i zgonów. Nasilenie zejść śmiertelnych z powodu chorób układu nerwowego jest największe bezpośrednio po takim najściu elektryczności.

Śmierć naturalna, śmierć nie spowodowana poprzednim schorzeniem a tylko powoli zjawiającym się wyczerpaniem i zużyciem narządów życiowych, następuje powoli ale nie raz i niespodzianie, jako fakt wyzwolenia z doczesnych trudów życiowych.



A. Dürer

MELANCHOLIA

Z zagadnieniem śmierci łączy się pytanie nie tylko o znaczeniu ogólnie ludzkim, ale także lekarskim. Czy można przewidzieć czas śmierci? Czy umieranie połączone jest z bólem? Czy istnieje trwoga przed śmiercią tak, jak istnieje lęk przed nią za życia. Ileż to razy lekarz odchodzący od łóżka beznadziejnie chorego, zasypywany jest pytaniami, kiedy nastąpi ostatnia chwila pożegnania z życiem. Jednak my lekarze na to pytanie nie możemy stanowczo odpowiedzieć. Godziny śmierci nie można określić na zegarze życia umierającego, nawet gdy zjawiają się objawy, po których lekarz może wnioskować, że zbliża się chwila śmierci. Spostrzeżenia ojca medycyny Hippokratesa o tym już pouczyły. Są pewne objawy, które sami chorzy odczuwają, kiedy zbliża się ostatnia chwila ich życia. Chorzy tacy przezuwają śmierć nawet z dokładnością pory dnia lub nocy.

Niema jednak w chwili śmierci, świadomej dla umierającego walki z nią. Niema bólu, który by zwiastował nadejście śmierci umierającemu, braknie mu bowiem warunków dla odczuwania bodźców wrażeń zmysłowych i bólu. Często chorzy, umierający z powodu gruźlicy lub ogólnego zakażenia, których godziny życia są policzone, na zapytanie o ich stanie ogólnym

odpowiadają, że czują się zupełnie dobrze. „Niczego nie czuję—mówią—ale zdaje mi się, że zbliżam się do końca“. Osłabienie czynności serca, nieraz wybitniej odczuwać może sam chory, niż badający lekarz. Znamy z opisów wiele ostatnich chwil umierających, zapamiętanych przez otoczenie, pogodnej, spokojnej, bezbolesnej śmierci, z pełnym zachowaniem jej zbliżania się. Ta świadomość bliskiego rozstania się z życiem, czyni umierającego niezależnym od trosk, które go za życia nękały. Lekarz przy łożu umierającego, ma piękne i wzniosłe zadanie do spełnienia, zwłaszcza, gdy umierający jest szczerze wierzący. Lekarz powinien wiarę jego utwierdzać i wzmacniać. Każda wiara jest wyrazem najwyższych idei i ideałów, do jakich dosięgła myśl ludzka, toteż należy ją spożytkować w chwili zgonu.

Są jednakże chorzy, którzy w chwili zbliżania się nieuchronnego końca, w tej ostatniej chwili myślą o powrocie do zdrowia, jako rzeczy pewnej, o podróżach, wypoczynku, budując dalekosiężne plany na przyszłość — a nie o śmierci.

Z tym zagadnieniem osobistych odczuć i wrażeń umierającego, wiąże się niezwykle ważne zagadnienie, czy umieranie połączone jest z bólem, czy jest ono straszne, jak to dawna grecka nazwa określa „**agonia** — walka ze śmiercią“. Od tego bowiem zagadnienia zależy nasze zachowanie się w tej ostatniej chwili życia. Ludzie sądzą, że umieranie połączone jest z bardzo silnymi bólami cielesnymi, albo też obawiają się niepewności po śmierci. Opinię wybitnych filozofów, lekarzy, uczonych są różne. Jedni nienawidzą śmierci, inni witają ją jako największe dobro. Van Hoven w swej biografii pisze: „Stoję już nad brzegiem grobu, ale nie lękam się śmierci. Co ze mnie będzie po śmierci, nie wiem, ale wiem, że w każdej postaci bytu należą do wielkiej całości, będącej dziełem najwyższej potęgi, mądrości i dobroci“. Duński lekarz Henrick Callisen podkreśla, że śmierć nie jest ciężka. „Zazwyczaj ludzie mają niewłaściwe wyobrażenie o śmierci i o walce ze śmiercią, o tej chwili, kiedy następuje rozstanie się duszy z ciałem, o cierpieniach i bólach, które uważają za nierozzerwalnie związane ze śmiercią. Zazwyczaj błądzą ludzie w tym względzie. W tym samym stosunku siła życiowa słabnie, znika również odczuwanie i świadomość“.

Czegóż człowiek może się obawiać w chwili śmierci? Pierwsze to rozstanie się z życiem, żal za tym wszystkim, co wiązało z bytem i celami jego życia i przywiązanie do najbliższych. Drugie to troska i nieświadomość, co może być poza śmiercią. Jest to dawny jego błąd myślenia związany z antropocentrycznym nastawieniem, przecenianiem własnego ja, które ma zapaść się w nicość z chwilą śmierci.



Lecz jesteśmy tak małym pyłkiem ziemi, nic nie znaczącym we wszechświecie i przytym zapominamy, że równocześnie z nami, lub wcześniej czy później, miliony podobnych istot żyjących również ulega pełnemu zniszczeniu. Zapominamy o prawach natury, zapominamy, że spełniliśmy swe zadanie i należy ustąpić miejsca tym, którzy jako silniejsi kontynuować będą dalej nasze życie, w innej już osobowości. W ostatniej chwili niema miejsca nad zastanawianiem się nad tym co było, raczej porzucenie trosk i rozczarowań może być uważane jako wyzwolenie, zwłaszcza gdy siły życiowe są już tak słabe, że sama myśl o dalszej walce życiowej może być przykra.

W wielu przypadkach gwałtownych śmierci, które wstrząsają swym tragizmem umysły pozostałych przy życiu, można było stwierdzić, że śmierć jest bezbolesna. Strzał poprzez czaszkę i wstrząs mózgu, powoduje momentalną utratę świadomości, usuwa psychiczne czynności i wyklucza uczucie bólu. Przypuszczenie, że zraniony mózg cierpi, zanim nastąpi jego porażenie, nie znajduje potwierdzenia w nowoczesnych badaniach fizjologicznych. Ból, podobnie jak i inne odczuwane uczucia i wrażenia, przenoszony bywa z szybkością 30 m na sekundę. Mózg ulega zniszczeniu i świadomość znika, zanim jeszcze uczucie bólu zdąży przebyć drogę od rany czołowej, poprzez przewody nerwowe do centrali w mózgu. Uratowani od śmierci w czasie wypadku, którzy przeżywali moment śmierci, twierdzą, że w chwili, w której padali w objęcia śmierci nie odczuwali najmniejszego lęku. Szwajcarski geolog profesor Heim szkicował w publicznym wykładzie bieg swoich przeżyć w czasie upadku z 60-cio metrowej ściany górskiej. „Widziałem jakby w oddali na scenie, moje dotychczasowe życie w licznych obrazach, w świetle jakby przymglonym. Było pięknie, bezbolesnie, beztrwożnie“. Niestety przeżycia profesora Heima zbyt dokładnie pokrywają się z opisami przeżyć innych, którzy się w podobnych okolicznościach znaleźli. Ostatnio dokładne badania poczynione w tym kierunku dowiodły, że są to wytwory fantazji, rodzące się później jako echo wspomnień rzekomo przeżytych. Z własnego doświadczenia, znajdowałem się bowiem w mojej młodości w podobnym położeniu, mogłem stwierdzić, że tak nie jest.

Podobna panorama przebytego życia ma się rozciągać przed tonącymi aż do chwili utraty przytomności. Jednak i tego nie potwierdzają ściśle roztrząsania przy szczegółowym zbieraniu materiału. Po krótkotrwałym uczuciu trwogi w czasie walki o życie z żywiołem wodnym, następuje szybko utrata przytomno-

ści, poprzedzana halucynacjami wzrokowymi i słuchowymi, o przyjemnym podbarwieniu.

Zapreczeniem instynktu życia jest śmierć samobójcza. Instynkt życia zmusza kalekę bez rąk i nóg trwać przy swym życiu. Do samobójstwa popycha głównie choroba duszy. Są umysły pesymistyczne. Dla tych życie bez rozkoszy niema żadnej wartości, nie przynosi bowiem szczęścia i zadowolenia, ani pięknych widoków na przyszłość. Dla większości jednak pesymizm jest tylko maską życiową, chociaż jest ich nawet filozofią. Pęd do życia jest u nich wielki. Chora znanego chirurga Biera, skarżąca się na uporczywe dolegliwości spowodowane chorobą, żądała od niego środka trującego, aby mogła skrócić swoje pełne dolegliwości życie. Gdy zaproponował jej operację, która by ją mogła uwolnić od cierpień, nie zgodziła się „bo to jest zabieg niebezpieczny dla życia“.

Chcę jeszcze wspomnieć o tzw. śmierci pozornej, o letargu. Stan ten charakteryzuje się ustaniem oddychania i krążenia, spadkiem ciśnienia krwi do wartości zerowej, jednak bez uszkodzenia pobudliwości serca. Istnienie letargu, o którym od czasu do czasu czytamy lub słyszymy, jest wątpliwe. Historia o grzebaniu ludzi żywych, będących w letargu, to tylko temat prasy, poszukującej sensacji. Obawa przed pogrzebaniem w letargu, musi być tak silna, że pewni ludzie w swych ostatnich wolach nakazują, aby im po śmierci przekłuto serce lub przecięto tętnice. Przed laty założono we Francji towarzystwo ubezpieczeń przeciw pogrzebaniu w letargu. Dziś obowiązują przepisy o oględzinach pośmiertnych i stwierdzenie pewnych objawów śmierci. Skąd jednak powstała legenda o letargu? W niektórych przypadkach dostrzegalne czynności życiowe mogą być tak obniżone, że wydaje się, iż zanikły zupełnie. Jednak nieodwracalne zmiany, zwłaszcza w komórkach nerwowych nie mogły wystąpić, gdyż inaczej musiałaby nastąpić śmierć właściwa. W tych to przypadkach, jeżeli by się w rzeczywistości zdarzały, nie należy mówić o śmierci, gdyż właściwie życie dalej płynie, chociaż obniżone aż do minimalnych czynności. Raczej mówić należy o życiu utajonym. Wiele niższych istot żyjących okazuje objawy życia utajonego, zwłaszcza gdy ulegną wyschnięciu; pewne ryby i płazy popadają w ten stan, jeśli woda, w której się znajdują ulegnie zamarznięciu.

Są jednak fakirzy, którzy pod nakazem woli mogą zmniejszyć do minimum wszystkie swe czynności życiowe tak, że objawy życia znikają i wydaje się, iż rzeczywiście umarli. Dokładne obserwacje jednak stwierdzają, że od czasu do czasu następuje akt oddychania, albo słabe uderzenie serca, pewne skurcze mięśni twarzy, gałki ocznej i warg. Najczęściej istnieje brak przytomności, przy czym słuch jest zachowany.



Dawniejsi lekarze twierdzili, że podobne stany pozornej śmierci mogą występować u ludzi po nadzwyczaj wyczerpujących wysiłkach mięśniowych w histerii, padaczce, rzucawce porodowej, katalepsji, u kobiet ciężarnych, po ciężkich porodach i utratach krwi, po wstrząsie mózgu, u otrutych, uduszonych, rażonych piorunem itp.

Powrót do życia normalnego następuje po ustąpieniu przyczyny wywołującej. Niesłusznie więc bywa nazwany powrotem do życia, gdyż życie nie mogło zasnąć. Dziś, gdy znamy objawy pośmiertne — możemy z pewnością stwierdzić śmierć i niema mowy o grzebaniu w letargu. Ogłaszane i zamieszczane w prasie laików podobne przypadki grzebania żyjących, nie są oparte na żadnych słusznych i sprawdzonych dowodach, a znane przeważnie z opowiadań osób trzecich i spreparowane dla zaspokojenia głodu niezdrowych sensacji.

Przyczyn śmierci jest wiele.

Mille mōdis morimur mortales.

Nascimur uno, una via est vitae, moriendi mille figurae. (Umieramy śmiertelni na tysiączne sposoby. Rodzimy się jednym sposobem, jedna jest droga życia, a umieranie tysiączne). (Lukrecjusz).

Znamy także śmierć cząsteczkową, kiedy obumarła cząstka ciała, nie powoduje śmierci ustroju, który jednak nie może odtworzyć na miejsce utraconych, nowych części, które by mogły takie same spełniać czynności. Śmiercią częściową jest metamorfoza zwierząt i owadów. Liście drzew jesienią opadają. W świecie istot niższych śmierć cząstkowa służy za materiał, odżywczy i rezerwę dla nowych form, które z nich powstają. U człowieka zanik czerwonych ciałek krwi, jest tylko przemianą cyklu życiowego, różnicowaniem się komórek, aby w miejsce wyczerpanych pracą dla życia, stworzyć nowe. Ta śmierć cząsteczkowa jest właściwym dobrodziejstwem ustrojów i leży w ich interesie. Takie same zadanie spełniają u człowieka komórki naskórka zrogowaciałego i skórne gruczoły łojowe. Wytwarzając tłuszcz wyczerpują się i jako niezdolne do dalszych czynności, muszą być zastąpione nowymi. Ta śmierć cząsteczkowa, to źródło nowych podniet życiowych dla ustroju.

Trwałość życia pojedynczych komórek i tkanek w martwym już ustroju jest różna. Komórki nerwowe umierają pierwsze, po kilku minutach umierają pewne komórki gruczołowe nerek, w pół godziny po śmierci giną komórki mięśni, co przejawia się w występowaniu stężenia pośmiertnego.

Życie jest ciągłym odnawianiem się, śmierć jest koniecznością nie do zwalczania. Ciągłość życia u wyższych form ustroju i u człowieka zachowują tylko komórki rozrodcze, dające

życie nowym osobnikom. Jedynie tylko najniższe twory żyjące, jednokomórkowe pełzaki i wymoczki obdarzone są nieśmiertelnością. One to swym życiem trwałym dowodzą, że jednak może kiedyś istniały różnice w istocie życia i śmierci. A może to tylko ciągłość rozwoju i zachowanie gatunków, w jakikolwiek sposób by się ono przejawiało.

Śmierć jest i musi być koniecznością fizjologiczną. Każdy, kto się urodził, musi umrzeć, chociaż biologia przypuszcza, że gdybyśmy w przypadkach idealnych mogli oddalić od człowieka wszystkie czynniki zewnętrzne, szkodliwe, życie mogłoby trwać nieskończenie.

Każda istota żyjąca ma ściśle określoną przed sobą długość życia. Jest to dziedziczna cecha gatunku. Również wszystkie ich komórki i tkanki mają określone trwanie swego życia. Jedne z nich umierają po pewnym czasie i stale się odnawiają; narządy—jak grasica zanikają w pewnym okresie życia. W daleko posuniętej starości, wszystkie czynności życiowe ulegają obniżeniu, zjawiają się charakterystyczne zmiany starcze, i jeżeli choroba nie położy wcześniejszego końca ich życiu, zanik starczy postępuje do końca. Miecznikow określał przyczyny śmierci jako pochodzące z zewnątrz, spowodowane działaniem bakterii jelitowych. Miazdżyca starcza tętnic, byłaby po wolnym postępem i następstwem zatrucia ludzi ich florą bakteryjną jelit.

H. Holbein

WESELE I ŚMIERĆ





Nieco ludzi umiera śmiercią naturalną. Wiele śmierci powodują niezwykle przypadki, wojna, trzęsienie ziemi, powodzie, nędzą, węże i dzikie zwierzęta, samobójstwa, a przede wszystkim choroby. Miliardy ludzi zginęło już na polach bitew, ale to znikome cyfry wobec śmierci w następstwie chorób, naturalnych nieprzyjaciół człowieka. Co najmniej $\frac{3}{4}$ ludzkości ulega im. Sama gruźlica porывa $\frac{1}{7}$ ofiar.

Dzieci płci męskiej rodzi się więcej niż dzieci płci żeńskiej, jednakże selektywna wybiórczość śmierci w wieku dziecięcym zmniejsza ich odsetek na korzyść dziewcząt. Płeć męska bowiem jest skłonniejsza do chorób i to nie tylko w wieku dziecięcym, ale także i późniejszym. Ale również różne systemy narządów posiadają różną biologiczną wartość. Istnieje związek między większą lub mniejszą wartością narządów, w zależności od stałej łączności ze światem zewnętrznym. Wielkim triumfem medycyny — jest zabezpieczenie niemo-

włat od chorób atakujących w sposób niebezpieczny dla życia narząd oddechowy i narząd trawienia. Spadek śmiertelności w wieku niemowlęcym i dziecięcym, który spowodowały i utrzymywać będą nadal wprowadzone w życie zasady medycyny społecznej, przyczyni się, że więcej dzieci osiągnie wiek młodzieńczy i dojrzały. Medycyna musi jednak zapobiegać również zwyrodnieniu narządów człowieka i przedłużać indywidualne życie w okresie między 55 i 65 rokiem życia. Dla tych celów poznać musi dokładniej przyczyny starzenia się i tajemnice odporności ustroju na choroby, a zwłaszcza na czynniki wywołujące je już w wieku młodym.

Śmierć naturalna następuje w 70 — 80 — 90-tym roku życia, ale dla każdego istnieje inny czas. Jednakże ta postać śmierci, z przyczyn li tylko starczych zmian ustroju, a braku zmian chorobowych w ścisłym tego słowa znaczeniu, kiedy czynności życiowe stają się coraz słabsze i wreszcie zamierają, zdarza się bardzo rzadko.

W najbliższych numerach „Problemów”

ukazą się m. in.:

- E. Brzezicki. — Typy ludzi w Polsce i ich reakcje duchowe.
- Z. Kaczmarczyk. — Proces pochłaniania ziem polskich przez Niemcy.
- A. Krzyżanowski. — Opłacalność wojen.
- E. Lipiński. — Perspektywy planu gospodarczego Polski.
- L. H. Morstin. — Życie i twórczość.
- N. Łubnicki. — Dowcip w filozofii.
- J. Nowak. — Mikroorganizmy i ich rola w ustroju życia.
- F. Pautsch. — Czas i życie.
- R. Poplewski. — Tajemnice twarzy ludzkiej.
- E. Schrödinger. — Co to jest życie?
- S. Skowron. — Jak powstaje płęć?
- S. Szczeniowski. — Hipoteza Dunne'a o istocie czasu.
- S. Szuman. — Rola życia psychicznego u ludzi i zwierząt.
- W. Szumowski. — Czy natura ludzka jest „mądra”?
- I. Wolf. — O wzajemnym stosunku artysty i społeczeństwa.
- M. Wallis. — Stosunek człowieka do własnej osobowości.

JAK



POWSTAJĄ KULTURY?

*Było wiele kultur.
Powstają, rozwijają się, giną.
Czy jest postęp? Czy jest dziś
więcej szczęścia, niż ongiś?*

KAZIMIERZ MICHAŁOWSKI

Zagadnienie istoty kultury i procesu jej powstawania interesuje wszystkich wykształconych ludzi, którzy przecież, jako twórcy lub piastunowie kultury, są niejako współodpowiedzialni za taki a nie inny jej charakter, rodzaj, czy sposób kształtowania się. Nic więc dziwnego, że zagadnieniu temu poświęcono wiele uwagi, jak wskazuje na to obszerna literatura przedmiotu.

Nie sposób byłoby nawet wyliczyć tych dziesiątków tysięcy pozycji bibliograficznych, które we wszystkich językach kulturalnego świata dotyczą w większej lub mniejszej mierze kluczowego problemu cywilizacji człowieka. Uczony, artysta, poeta, dziennikarz, polityk, każdy — słowem — człowiek, mający się pióra, odczuwał nieprzepartą potrzebę wypowiedzenia się w tej sprawie, sprecyzowania niejako swego credo — co sądzi on o kulturze, jej roli i zadaniach.

Istnieje więc dość znaczna rozbieżność sądów i poglądów. Do wszelkiego bowiem poznania prowadzą dziś cztery odrębne drogi. Do każdej koncepcji świata dochodzimy albo drogą religii, albo filozofii, albo sztuki, albo nauki. Synteza tych czterech ścieżek jest bardzo trudna. Wybraliśmy więc tę czwartą z rzędu drogę i widzimy, że najwybitniejsi humaniści

Jak daleko sięga nasz materiał historyczny i archeologiczny, napotykamy wszędzie u podstawy prymityw, z którego ludzkość dźwiga mozolnie to, co nazywamy kulturą.

— poświęcili temu tematowi wiele tomówoczesnych nieraz dzieł.

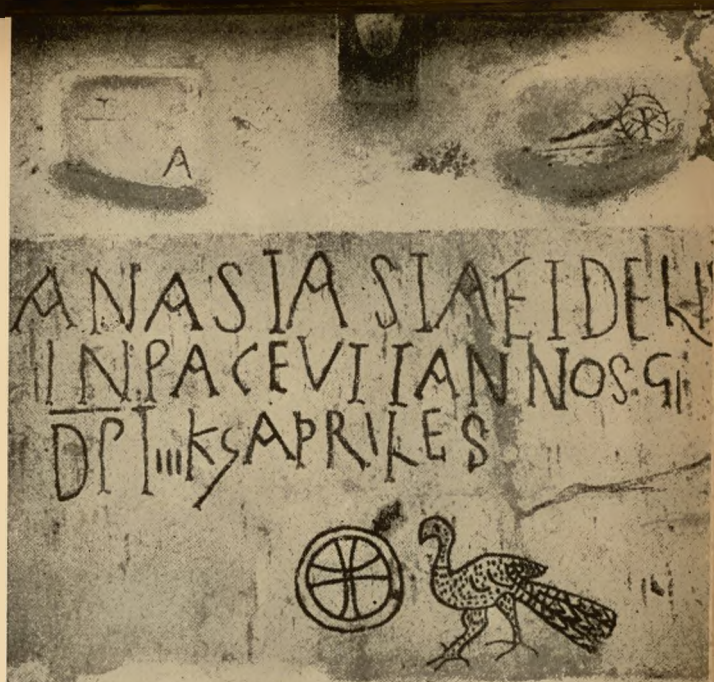
Jak powstała kultura? Geneza kultury łączy się z zagadnieniem genezy rodzaju ludzkiego. Odpowiedź na to daje nam z jednej strony teologia, z drugiej antropologia wraz z paleontologią. Musimy pominąć to zagadnienie, ale za to warto wspomnieć o mitologii, która przekazała nam podanie o 4 czy 5 okresach ludzkości a więc i kultury: o złotym okresie Saturnowym, srebrnym — Jowiszowym, spiżowym — Marsa, czwartym — herosów ziemskich i piątym — żelaza, nad czym tak biada Hesiod, autor Teogonii w dziele „Prace i dnie“, że mu właśnie w tym ostatnim okresie życie wypadło. Mit przedstawia więc nam pozornie proces upadku, każdy następny okres wydaje się nie dosięgać poprzedniego.

Ale w micie Hesiodowym zawarta jest prawdopodobnie inna treść, która bynajmniej nie stoi w sprzeczności z ewolucyjnym charakterem zjawisk kulturowych. Wy tłumaczyć można by to w ten sposób, iż rozwój kultury stoi w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do możliwości osiągnięcia szczęścia przez człowieka. Im bardziej na wyższy poziom kultury dźwigamy się, tym trudniej nam zdobyć szczęście osobiste, gdyż rosną nam wymagania, których chęć zaspokojenia zmusza nas do walki zarówno w dziedzinie materialnej, jak i duchowej. Człowiek tzw. prymitywny napewno mniejsze rozterki duchowe przeżywa od człowieka o wysokiej kulturze ducha. Zdobywcze cywilizacji nie prowadzą do zdobycia spokoju wewnętrznego, który łatwiej osiągnąć człowiekowi w życiu zespolonym z naturą, w bytowaniu poddanym całkowicie procesom przyrodzonym.

Jednakże wrodzony człowiekowi boski, prometejski pierwiastek twórczy nie pozwala mu wybierać ścieżek łatwych, utartych, lecz rozkazuje mu poszukiwać dróg trudnych, niebezpiecznych, ale prowadzących na wyższe szczyty, do wyższych celów.

Nic więc dziwnego, że jak daleko sięga nasz materiał historyczny i archeologiczny, napotykamy wszędzie u podstawy prymityw, z którego mozolnie ludzkość dźwiga to, co nazywamy kulturą.

Pierwszym piastunem kultury, to jest tym, który rozprzestrzenił zdobycze czy wynalazki i w ten sposób przyczyniał się do pobudzenia nowej twórczości mógł być, jak chce prof.



Przyłuski z College de France, kupiec wędrownym, wymieniający towar i myśli. Zaznajamiał on jednych z osiągnięciami drugich; od szczepu do szczepu, od plemienia do plemienia, z jednej krainy do drugiej niósł wieść o odkryciach, pomysłach, zwyczajach. Spełniał rolę prasy codziennej i periodyków naukowych, był więc głównym motorem postępu.

Sam stan materiałów poznawczych stworzył wdzięczne pole do przeszczepienia na grunt historii kultury **teorii ewolucji** niezależnie od jej **monogenetycznego** czy też **polygenetycznego** aspektu. Poglądy Darwina i Häckla wycisnęły silne piętno na naukach humanistycznych. Immanentny człowiekowi pęd do doskonałości, do doskonalenia się, znalazł w teorii ewolucji niejako naukowe wyjaśnienie: Postęp. Teoria postępu wyrosła na tle ruchów społecznych drugiej połowy XIX w. i od tego zespołu znanych faktów historycznych jest nieodłączna. Naturalnie chodzi ewolucjonistom o rozwój w obrębie pewnych odrębnych terytorialnie grup kulturowych na kuli ziemskich. Np. kultura chińska, czy kultura europejska wyrosła na starożytnej kulturze basenu morza Śródziemnego.

W tym znaczeniu wygnany przez reżim hitlerowski, filozof berliński Max Dessoir pragnął widzieć od eposu Homera do głośniejszego w 20 latach XX w. powieści irlandzkiego pisarza Joyce'a „Ulisses” nieprzerwany rozwój literackiej ekspresji w literaturze europejskiej.

Czy istotnie kultura wykazuje ciągły rozwój wzwyż, czy my dziś kulturalniejsi jesteśmy od starożytnych Egipcjan, Chińczyków czy Rzymian? Pozornie tak, w dziedzinie kultury materialnej, technicznej. Ale niezapominajmy, że to co nas otacza, to zdobycze ostatnich czasów, ostatnich lat: parowozy, samoloty, łodzie podwodne, konserwy i bomba atomowa. A gdzie kultura materialno-techniczna miast średnowiecznych w porównaniu z termami rzymskimi, z centralnym ogrzewaniem, bieżącą wodą! Porównajmy obserwacje astronomiczne przed Galileuszem z wynikami astronomii egipskiej, której zdobyczą jest przecież nasz kalendarz.

Jak pogodzić z teorią ewolucji fakty historyczne upadku kultur tak wielkich, jak Egiptu, Rzymu? kultury Inków czy Maya.

Jak połączyć z powszechną teorią postępu nieprzerwane istnienie prymitywnych kultur równoległe obok wzrostu i upadku największych cywilizacji świata?

Nowoczesna Historia Kultury znajduje na to odpowiedź w **teorii cykliów kulturowych**.

Stwierdzamy istnienie, na pewnych obszarach, swoistych kultur, których piastunami są ludzie należący do pewnego zespołu etnicznego. Na przestrzeni dziejów możemy zaobserwować, jak na danym określonym obszarze rozkwita wspaniała cywilizacja, przechodzi swój rozwój klasyczny, tj. taki okres, w którym tkwiące w jej rozwoju tendencje, pragnienia, możliwości i dążenia znajdują najdoskonalszą realizację, by potem jak kwiat przekwitać i po okresie szczytowej kulminacji chylić się ku upadkowi.

Zwykle cykl przebiega linią paraboliczną, t. zn. rozkwit - rozwój trwa znacznie dłużej, niż upadek. Mamy w historii wiele na to przy-

kładów. Weźmy np. najbardziej nam znana kulturę grecką. Po tzw. wędrówkach doryckich, tj. w II w. przed Chr. następuje konsolidacja w sensie etnicznym szczepów greckich i od tego czasu możemy już mówić nie o kulturze jońskiej czy achajskiej na ziemiach greckich, ale o kulturze greckiej. Pięć wieków trwa rozkwit, okres archaiczny, dwa wieki niespełna epoka klasyczna z kulminacją w drugiej połowie piątego wieku, a dwa i pół wieku okres chylenia się ku upadkowi przez stworzenie odrębnych poza macierzą centrów kultury hellenistycznej, by wreszcie rozpląnąć się w powszechnej cywilizacji imperium rzymskiego, z zachowaniem naturalnie swych form odrębnych, ale już tylko prowincji rzymskiej, do końca trwania tej nowej cywilizacji — cywilizacji rzymskiej i dać wreszcie w ostatnim tchnieniu początek nowemu życiu kulturalnemu z końcem IV w. po Chr.: Bizancjum.

Ale obok wzrostu, potęgi i upadku, mamy do zanotowania w każdym zamkniętym cyklu kulturowym okresy tzw. **odrodzenia**, tj. nawrotu do form klasycznych dla danej kultury. Kapitał dla naszej cywilizacji renesans włoski nie jest zjawiskiem wyjątkowym.

Grecja przechodzi swój renesans w okresie tzw. neoattycznym około Narodzenia Chrystusa, Rzym przeżywa odrodzenie za Hadriana i pod sam koniec — renesans epoki Konstantyna Wielkiego, Egipt starożytny posiada swój pierwszy renesans w Średnim Państwie za XII dynastii około 1800 roku przed Chr., drugi około 1450 roku za XVIII dynastii Nowego Państwa i wreszcie ostatnie odrodzenie za XXVI dynastii Saickiej w VII w. przed Chr.

Ze zjawiskiem renesansu łączy się tzw. **klasycyzm**, który w odróżnieniu od pierwotnej klasyczności, jest objawem wtórnym, polegającym na naśladownictwie, na świadomym czerpaniu wzorów z oryginalnej przeszłości klasycznej.

Jak widzimy więc o cyklu kulturowym badacz mówi tam, gdzie wyraźnie dostrzega początek i gdzie da się ustalić koniec, a więc o kulturach skończonych, zamkniętych. A co daje początek pewnemu cyklowi kultury i co jest przyczyną końca?

Myślenie tzw. organiczno-kosmiczne szukać będzie powodów w sferze zjawisk fizycznych zachodzących poza naszą planetą. Na zbliżonych założeniach choć naukowo nieświadomych opiera się myślenie mistyczne, które powstanie i koniec pewnej kultury łączy ze zjawiskami tzw. nadprzyrodzonymi. Początek każdej twórczości ludzkiej owiany jest mitem, legendą: bóg Ptah w Starożytnym Egipcie miał nauczyć ludzi sztuki i rzemiosła, o Prometeusza już słyszeliśmy. Wspomnijmy jeszcze twórcę labiryntu Dedala i Ikarowe loty podśloneczne, marzenia zrealizowane w dobie współczesnego lotnictwa.



Sprowadzenie pierwszego ładunku cukru do Antwerpii w roku 1508. Prof. Przyłuski z College de France przypuszcza, że kupcy przyczynili się ongiś do rozprzestrzenienia kultury.

Historia kultury, jako nauka musi z konieczności rzeczy opierać swe sądy na faktach historycznych, których wyraz w tej czy innej postaci np. inskrypcja na kamieniu, dokument archiwalny, przedmioty użytkowe wykonane ręką człowieka, stanowią naukowy materiał poznawczy.

Z analizy materiału historycznego wynika, że na powstanie i upadek cywilizacji składa się wiele przyczyn. Geneza każdej kultury jest wynikiem zbyt skomplikowanego procesu, by nauka mogła ustalić jakąś stałą na to receptę. Położenie geograficzne, warunki klimatyczne, zespół etniczny i moment dziejowy, to podstawowe czynniki, które o tym decydują. Nie jest np. rzeczą przypadku, że wyspa Kreta na morzu Egejskim przeżyła na przestrzeni 2000 lat od trzeciego do pierwszego tysiąclecia po Chr. pewien zamknięty cykl kulturalny, który nazywamy kulturą minojską od półmistycznego króla Minosa. Jej położenie geograficzne, na drodze zasięgu wielkich cywilizacji starożytnego Wschodu pomiędzy Egiptem a kontynentem europejskim — Grecją, odegrało w tym olbrzymią rolę. Pomyślnie wiatry wokół tej wyspy umożliwiły wspaniały rozwój żeglugi morskiej, na co np. potężny Egipt ze względu na niepomyślną rolę wiatrów na swoim wybrzeżu północnym, nigdy nie mógł się zdobyć. A wreszcie ludzie!

Bo czyż jest rzeczą przypadku, że jeden naród daje z siebie Pythagorasa, Thalesa,

Heraklita, Anaxymandra, Epikura, Sokratesa, Platona, Arystotelesa i tylu, tylu innych największych myślicieli ludzkości, a drugi stokroć potężniejszy politycznie zdobywa się w tej dziedzinie tylko na Senekę. Czy jest rzeczą obojętną, że jedne narody wydają Gracchów, Katonów, Cezara i Augusta, a inne w tym okresie zdobywają się tylko na Hannibala czy analogiczną postać. A na odwrót jedni wydają na świat szereg największych kompozytorów, a drudzy nie mogą zdobyć się na żadnego z muzyków o światowym znaczeniu.

Na tle zagadnienia genezy kultur wyrosła specjalna teoria naukowa tzw. **teoria milieu**, tj. środowiska, za której ojca można uważać greckiego uczonego lekarza na przełomie V i IV w. przed Chr. Hippokratesa, który w swoim dziele starał się wytłumaczyć wszystkie przejawy kultury, a więc ducha, warunkami zewnętrznymi otoczenia. Teoria ta wznowiona w XV w. przez Bodinusa odżyła chociaż w zmienionej formie, w nowszych czasach choć w pismach Hipolita Taine'a i do dnia dzisiejszego posiada wielu zwolenników zwłaszcza wśród badaczy, opierających swój światopogląd na naukach przyrodniczych.

Możemy np. zaobserwować, że w okresie rozkwitu poezji arabskiej za dynastii Omajadów w VII i X w. ta sama forma poetycka, jaką stanowi w obrębie poezji dworskiej panegyryk będzie odznaczała się na dworze

Kalifa Abdarrachmana III w Kordobie, odczuciem piękna przyrody i sztuki, subtelnością i głębią uczuć, gdy tymczasem w Damaszku skostnieje ona w groteskowym pochlebstwie. W pierwszym wypadku badacze stwierdzają wyraz stylu ducha iberyjsko-romańskiego, a więc hiszpańskiego, w drugim wpływ Bagdadu.

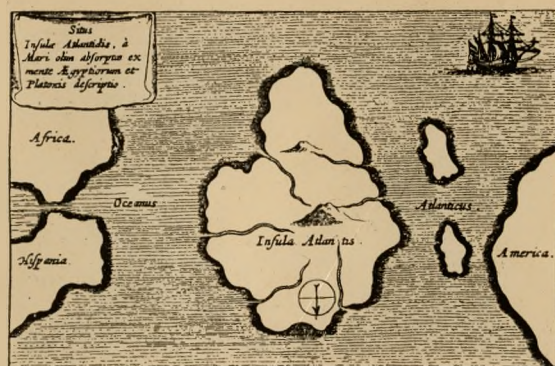
Podobnie jak fakt, że właśnie w danym określonym miejscu, w danym czasie rodzi się pewna nowa oryginalna cywilizacja, jest wynikiem splotu szeregu przyczyn, tak w jeszcze większej mierze komplikuje się sprawa przy ustaleniu powodów upadku danej kultury.

O fascynującym nas wszystkich do dziś fakcie upadku cywilizacji rzymskiej w związku z upadkiem imperium rzymskiego — napisano całą bibliotekę. Każdy z badaczy jednemu z elementów przypisuje szczególniejszą wagę — inne spychając na plan drugi. Ale obojętne co będziemy uważać za najważniejsze, czy przyczyny polityczne, czy ekonomiczne, czy ustrojowe, czy wojskowe — interpretacja historyczna bowiem, nie pomijając żadnej, aktualizować będzie zawsze jeden z aspektów tego zjawiska — wszystkie te fakty wspólnie złożyły się na zaistnienie tego właśnie fenomenu, jakim był upadek Rzymu.

Nie ulega wątpliwości, że zadatki na upadek tkwią w samej kulturze immanentnie. Jak każdy organizm żywy, starzejąc się, chyli się ku upadkowi, tak i kultury starzeją się. Wyczerpuje się dynamizm piastunów danej cywilizacji, którzy już wszystko wypowiedzieli, co mieli do powiedzenia, wszystko dali z siebie, co mieli do dania, a otaczające ich ludy wzbogacone i zapłodnione tą właśnie cywilizacją, starają się skwapliwie o przyspieszenie procesu konania swego dobroczyńcy. To jest naturalny proces końca cyklu kulturowego. Śmierć nagłą mogą spowodować tylko katastrofy skorupy ziemskiej, jak to mogło mieć miejsce w wypadku Atlantydy.

Organizm cywilizacyjny nigdy nie przemija bez śladu. Na jego gruzach powstaje nowe życie, jego zdobycze zostają wchłonięte i przetrawione przez nowe, młode siły, które dochodząc do szczytowych faz swego rozwoju, poczynają sobie uświadamiać, wiele zawdzięczając zniszczonej przez się przeszłości. Dziś np. wszędzie jesteśmy na tropach antyku, nawet w naszej polskiej kulturze *), choć rozwinęła się ona na terytoriach nie wchodzących bezpośrednio w skład wielkiego imperium starożytnego i rozpiętość w czasie spowodowała, że antyk przenikał do nas nie bezpośrednio, lecz pośrednio.

Ale wielkie cywilizacje zachodniej Europy słusznie mogą uważać się w pewnym wzglę-



Legendarna Atlantyda, której istnienie, względnie nieistnienie niepokoi umysły współczesnych.

dzie za spadkobierców Rzymu, podobnie jak cywilizacja amerykańska zarysowuje się nam jako spadkobierczyni kultur europejskich, przetapiając w swoim tyglu zdobycze kultury starego kontynentu.

Zaobserwować więc możemy na przestrzeni wieków owo przenikanie się, jakby zachodzenie na się poszczególnych cykli kulturowych. Zjawisko to w historii kultury nazywamy **procesem nawarstwiania się kultur**. Badacz rozkopujący prastare osiedla ludzkie, spotyka się z tym zjawiskiem namacalnie. Teren wykopaliskowy stanowi dla archeologa jakby dokumentarne potwierdzenie owego procesu nawarstwiania się kultur.

Rozkopując np. na terenach starożytnego Wschodu sztuczny pagórek, pozostałość minionej epoki, tak, jak to zrobił Schliemann na wzgórzu Hissarlik ze starożytną Troją, lub ekspedycja Uniwersytetu Warszawskiego w Edfu w Górnym Egipcie, którą miałem możliwość prowadzić w latach 1936—1939 r., stwierdzamy, że wzgórek taki złożony jest z szeregu warstw np. 9-ciu, na które składają się poszczególne okresy dziejowe. Mamy tam po prostu, jakby 9 miast, jedno na drugim, jedno budowane na ruinach poprzedniego. Ludzie bowiem lubią trzymać się jednego miejsca; my to na gruzach Warszawy dobrze rozumiemy. I w każdej takiej nowej warstwie spotykamy pewne elementy, które wiążą daną kulturę z poprzedzającą ją okresem cywilizacyjnym. A taki pagórek, który Arabowie nazywają Tell albo Kôm, liczy sobie dobrych kilka tysięcy lat i jego przekrój warstwowy stanowi dla archeologa jakby „Spis Rzeczy“ wielkiej księgi dziejów człowieka na pewnym określonym miejscu.

Z pojęciem cykli kulturowych i procesem nawarstwiania się kultur, łączy się jeszcze jedno zjawisko, które badacze dziejów cywilizacji człowieka zdążyli zaobserwować. Jeśli np. mówimy o powszechności kultury rzym-

*) Patrz art. prof. Sinko w tym numerze.

skiej na ziemiach imperium, to nie znaczy to, abyśmy przymykali oczy na odrębności lokalne, jakie w dziedzinie kultury różnią poszczególne prowincje cesarstwa. Doskonale uświadamiamy sobie różnice, jakie zachodzą np. pomiędzy kulturą Galli czy Egiptu, Italii czy Cyrenajki. To przecież, co demograficznie tworzy imperium rzymskie, to nie jest jeden naród, bo nawet nie jedna rasa. Każda z tych prowincyj zanim stała się częścią jednego, potężnego mocarstwa, pielęgnowała własną, rodzimą kulturę. Każda z nich wniosła do wspólnej skarbnicy swój udział, ale każda też poddając się wpływowi cywilizacyjnemu Rzymu, zachowała swą odrębność, wyrażając się we wszystkich aspektach kultury duchowej i materialnej. A jednak jest coś, co łączy w owym czasie wszystkie te, tak odległe od siebie ziemie i rasy, coś, co każe wpraw-nemu oku: wąż muru, potłuczone fragmenty naczyń ceramicznych czy inne remanenty utworów człowieka, nad Mozelą czy nad Nilem, przyznać natychmiast epoce rzymskiej. Ba! ale misja cywilizacyjna Rzymu sięgała nawet poza granice strzeżone przez Legiony i Kohorty poza Limes, tam, gdzie nigdy nie istniała suwerenność Romy — tam właśnie, gdzie wówczas rozciągały się lasy Sarmacji, znajdujemy też resztki kultury materialnej, w których wpływ potężnej cywilizacji rzymskiej jest arcywidoczny.

Gdy spotykamy w Historii Kultury takie zjawiska, jak wspomnieliśmy, to mówimy wówczas o jednolitym kręgu kulturowym. **Teoria kręgów kulturowych** wyrosła na materiale badawczym prehistorii, tzn. tych okresów dziejowych, w których nie występują jeszcze zabytki piśmiennictwa, lecz jedynym dokumentem poznawczym są wytwory kultury materialnej i sztuki. Nie mamy jeszcze wówczas do czynienia z narodami, a więc ze społeczeństwami o wyraźnie uświadomionej odrębności kulturowej — a co najwyżej ze szczepami i plemionami, z których połączenia się powstaną później wielkie narody świata.

Z prehistorii przejęli tę teorię etnologowie dla systematyki kulturowej ludów prymitywnych. W stratach archeologicznych sięgających 2.000 lat przed Chr. spotykamy np. na terenie pld. - wsch. Europy i w Azji. Mniejszej ułamki naczyń glinianych, barwnie zdobionych. Powiadamy, że obszary te znajdują się w zasięgu ceramiki malowanej, która stanowi tu pewnego rodzaju kryterium klasyfikacyjne danego kręgu kulturowego. Tak samo mówimy o kręgu kulturowym mykańskim w drugiej połowie II tysiąclecia przed Ch. w basenie morza Egejskiego.

Ale równie dobrze możemy mówić o kręgu kulturowym w dobie odrodzenia, lub o kręgu kulturowym francuskim XVIII w. na tych terenach europejskich, które pozostają w sferze

wpływów potężnego ośrodka cywilizacyjnego, jakim jest Florencja, Rzym, czy Wersal w tych epokach, naśladując jego obyczaj, urzędnictwo, rozkoszując się twórcami jego sztuki i mowy.

Pojęcie kręgu kulturowego jest związane z czasem i przestrzenią. Zależnie od pewnego momentu dziejowego dany krąg kulturowy i jego ośrodek zwęża lub rozszerza swój zakres, przy czym zakres ten w dziedzinie kultury materialnej będzie z reguły szerszy, niż w dziedzinie kultury duchowej. Puszki od konserw i puste bidony z benzyny docierają do najodleglejszych zakątków kuli ziemskiej, ale czy można na tej podstawie twierdzić, że półdzikie plemiona puszcz afrykańskich i Ameryki Południowej należą do kręgu kultury europejskiej! Napewno nie. A czy w dziedzinie duchowej możemy już dziś mówić o jednej wspólnej kulturze europejskiej i znaczeniu ośrodka o centryfugalnym, tj. odśrodkowym oddziaływaniu? Przecież o to podobno toczyła się cała obecna wojna, o nową jednolitą Europę!

Wszystko zależy od tego, z jakiego stanowiska spojrzymy na zagadnienie. W oczach Dongolczyka z południowego Sudanu europejskość w sensie kulturalnym stanowi napewno jedną całość, ale Fellach w Dolnym Egipcie rozróżnia już dobrze nie tylko towary, ale i obyczaj angielski od francuskiego. Czy należy potępiać sąd dongolczyka, czy przyznać mu rację? Z perspektywy Sudanu napewno kultura Europy przedstawia się jako zwarta całość, tak, jak w oczach wykształconego Europejczyka kultura Azji Wschodniej stanowi jeden amalgamat. Nie wielu jest bowiem w Europie wykształconych ludzi, którzy umieją odróżniać chińszczyznę od japońszczyzny.

Widzimy więc, że koncepcja kręgu kulturowego obok kryterium czasu i przestrzeni uwzględnia też jeszcze jeden moment, który



Czyż można zaliczyć arabskiego szeika do europejskiego kręgu kulturowego dlatego, że pije wodę z europejskiego czajnika.

możemy nazwać **stanowiskiem obserwacyjnym badacza**. W zależności od tego, z jakiej perspektywy naukowej spoglądamy na zjawiska kultury, będziemy uwzględniać jeden wielki krąg cywilizacyjny, bądź też szereg kręgów koncentrycznych, np. Europa XVIII w. krąg duży, kultura francuska — krąg mniejszy, kultura Wersalska — jeszcze mniejszy, bądź też w obrębie jednego wielkiego kręgu dostrzegamy kilka, czy kilkanaście kręgów wzajem na się zachodzących, krzyżujących się i różnej wielkości.

Ten typ systematyki stosujemy wówczas, gdy badamy poszczególne kultury narodowe, a w obrębie tych, kultury regionalne czy stanowe — a to wszystko w ramach uświadomionych jednego wielkiego kręgu kulturowego, jakim dla nas będzie raz imperium rzymskie, raz państwa Islamu, raz tzw. kultura europejska, innym razem cywilizacja wschodnio - azjatyckiego obszaru.

Zastanówmy się teraz nad tym, dlaczego ten jednolity — z odległej perspektywy — krąg kulturowy, z bliskiego pola widzenia, jak kropla wody pod szkłem mikroskopu, przedstawia się tak zróżnicowanie. Czym silniejsze zastosujemy szkła powiększające dla naszej obserwacji, tym bardziej wystąpi różnorodność tego na pozór, jednolitego stopu. Zauważymy np. w Europie odrębności kulturalne Północy i Południa, Wschodu i Zachodu, odmienności obyczajów narodowych, możemy stwierdzić różnice cywilizacyjne pewnych grup społecznych, związanych z wykonywaniem pewnego zawodu; dostrzeżemy właściwości kulturowe charakterystyczne dla rolników i będziemy mówili o kulturze ludzi związanych z pracą na roli. Zrozumiemy cechy wspólne kultury robotniczej, proletariatu, inteligencji miast, wsi, kawiarni, ba, nawet obozów jeńców wojennych.

Każda grupa społeczna wytwarza swoiste pierwiastki kulturowe, odrębności których wystąpią tym plastyczniej, im większa będzie izolacja danego zespołu od reszty ludzi, oraz im dłużej izolacja taka trwać będzie, co przyczyni się do stworzenia jednego z podstawowych czynników odrębności kulturowej, jakim jest tradycja. Tą drogą powstały wszystkie kultury narodowe i stanowe.

Przy wyrobieniu kultury narodowej współdziałały dwa czynniki izolacyjne: język i suwerenność państwowa, które w oparciu o pokrewieństwo plemienne, i wspólnotę doli i niedoli pokoleń, stanowią o tym, że dana jednostka jest członkiem tego a nie innego narodu. Dla wyrobienia odrębności kultury stanowej konieczne są też owe dwa czynniki izolacyjne: wspólny danej grupie język tzw. fachowy, oparty na poszczególnych zainteresowaniach i warunkach pracy zawodowej oraz ustalenie drogi prawną lub zwyczajową od-

rębności danego stanu czy zawodu w formie pozytywnej, tj. przywilejów lub negatywnej, tj. ucisku.

Słuszność tego prawa socjologicznego można było zaobserwować podczas ostatniej wojny w obozach jenieckich, które na tak krótkiej przestrzeni czasu, skompensowanego za to specjalnie nieprzenikliwą izolacją, zdołały już wytworzyć swoisty obyczaj jeniecki, formy handlu, rozwinąć szczególnie pewne działy sztuki: sznycerstwo, intarsję w drzewie, drzeworyt, i co najboleśniejsze, urobić niedostrzegalnie pewien wspólny wszystkim przebywającym tam, typ mentalności jenieckiej. Dla historyka kultury i dla socjologa było to jedyne w swoim rodzaju, potworne w pomysle laboratorium doświadczalne.

Nie wyczerpalibyśmy całokształtu problematyki dotyczącej powstawania kultury, gdybyśmy nie wspomnieli choćby nawiasowo o zagadnieniu **wartości kultur**. Jest dla nas wszystkich rzeczą oczywistą, że udział poszczególnych kultur w dorobku cywilizacyjnym ludzkości nie jest równy. Już to jedno kryterium wystarczy, aby uplastycznić zagadnienie różnic wartości kulturowych. O ileż bowiem więcej dla cywilizacji współczesnego świata dała kultura starożytnej Grecji, aniżeli np. kultura hettycka, tego rycerskiego narodu i mocarstwa z drugiej połowy II tysiąclecia w Azji, by pozostać przy basenie morza Egejskiego. O wieleż większy był wkład kultury włoskiej doby odrodzenia w cywilizację współczesnej Europy, od dorobku kulturowego innych terenów europejskich w tym samym czasie. Byłoby jednak zasadniczym błędem, gdybyśmy, na podstawie jednostkowego wkładu pewnej kultury, w pewnym czasie, w ogólny kapitał cywilizacyjny ludzkości, usiłowali ustanowić hierarchiczną drabinę potencjału kulturowego, o wartości absolutnej, poszczególnych narodów czy społeczeństw.

Błąd ten, jak wiemy wszyscy z niedawnej przeszłości, występował w poglądach pewnego odłamu nauki niemieckiej. Nieporozumienie polega na tym, że zagadnienie wartości kulturowej jest ściśle ograniczone czasem i przestrzenią, a nie stanowi samo dla siebie wartości absolutnej.

Już na przykładzie starożytnej Grecji widzimy, jak pewien obszar geograficzny i zespół etniczny może w pewnej epoce rozbrzmieć niebywałym blaskiem kulturowym, by w epokach następnych zejść z roli twórcy do roli biernego odbiorcy. Gdybyśmy wartością przejawów pewnej kultury, w pewnym określonym czasie, chcieli szacować wartość potencjału kulturowego danego społeczeństwa, musielibyśmy współczesnym potomkom starożytnych Greków przyznać jedno z pierwszych, jeśli nie pierwsze miejsce, w hierarchii

ZAMARŁE KULTURY

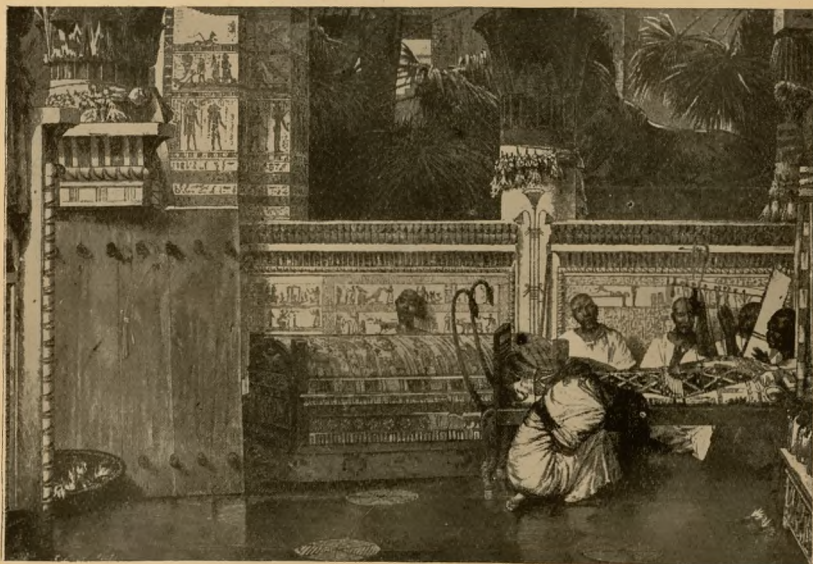
przecza

TEORII EWOLUCJI

Wiele wieków temu na boiskach sportowych miast zamarłej kultury Mayów odbywały się zawody, gromadzące obrzynie tłumy, namiętnie śledzące perypetie gry przypominającej koszykówkę. Oto jeden z jej fragmentów: gracz usiłuje przetrzucić piłkę przez pierścień kamienny... wszystko jak dziś.



Egipcjanka, wdowa, opłakuje swojego męża. Inna sceneria, lecz treść wiecznie ta sama.



Oto resztki teatru starożytnej Grecji. Z zazdrością patrzymy na jego potężne rozmiary obliczone widać na dziesiątki tysięcy widzów. Widownia ta może zaimponować nawet naszym czasom, szczytującym się rekordami.



narodów europejskich. Trudnoby nam jednak było uczynić to dzisiaj.

Tak samo jak czas, również przestrzeń, odgrywa w tym zagadnieniu pierwszorzędną rolę.

Wkład kultury chińskiej do kultury europejskiej równa się prawie zeru, i na odwrót. Widzimy więc, że określenie stosunku wartości tak odrębnych kręgów kulturowych jest niewymierne w sensie wartości absolutnej.

Naukowe wartościowanie kultury może odbywać się tylko z punktu widzenia pewnego ściśle określonego kryterium, z uwzględnieniem czasu i przestrzeni. W miarę postępu ludzkości mogą wystąpić nowe i zupełnie nieoczekiwane okoliczności, sprzyjające rozwojowi kultury na pewnym terenie.

Rozwój środków komunikacyjnych, a w pierwszym rzędzie lotnictwa i rozwój radiofonii, przynoszą ze sobą nowe możliwości w wymianie dóbr kulturowych między społeczeństwami. Możliwości te są tak olbrzymie, że mogą poważnie wpłynąć na powstanie nowych centrów kulturowych. Pierwiastki twórcze, drzemające potencjalnie w każdym społeczeństwie ludzkim, mogą tą drogą zostać pobudzone do oryginalnych realizacji. Doświadczenia historyczne każą badaczowi zachować najdalej idącą ostrożność w stawianiu jakiejkolwiek prognozy na przyszłość. Każda jednak analiza prowadzi z konieczności rzeczy do syntezy.

Analiza nasza dotyczyła kilku podstawowych zagadnień, związanych z tworzeniem się kultury. Oto one: geneza kultury, teoria środowiska, nawarstwianie się kultur, kręgi kulturowe, wartość kultury.

Sumując wyniki naszych rozważań w określeniu stosunku jednostki ludzkiej do rozwoju kultury dochodzimy do takiego uogólnienia. Jak przekonaliśmy się, dotychczasowe doświadczenia naukowe zebrane na przestrzeni ostatnich kilku tysięcy lat dziejów ludzkości, prowadzą do wniosku, że jednostka ludzka w obecnym stanie cywilizacji człowieka może wyżywać się pełnią życia tylko w oparciu o pewną ponadstanową grupę społeczną i najdoskonalszą dotychczas formę takiej grupy stanowi naród. Dzięki kulturze narodowej jednostka ludzka zdolna jest przezwyciężyć ograniczony horyzont kultury własnego zawodu, własnego środowiska. Wytłonięte poczucie narodowe czyni człowieka świadomym współwłaścicielem wszystkich dóbr cywilizacyjnych, którymi dane społeczeństwo rozporządza, które posiada. Poprzez kulturę narodową dopiero uczestniczy człowiek w dorobku kulturowym całej ludzkości.

Humanitaryzm bowiem bez nacjonalizmu jest dziś jeszcze pustym dźwiękiem, zatracą związek z kulturą, przestaje być twórczym, ale nacjonalizm bez humanitarności prowadzi do zbrodni.



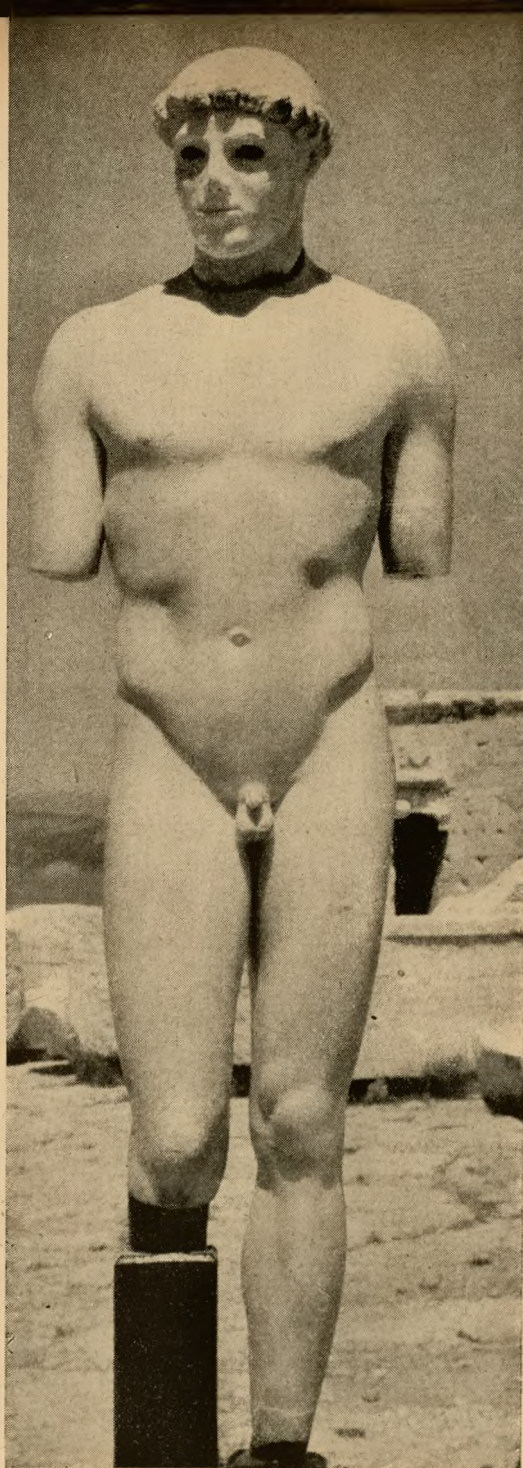
Cywilizacje
nie mijają:
bez śladu.

O ANTYCZNYM POCHODZENIU MAKSYM I PRZYSŁÓW POLSKICH

TADEUSZ SINKO

Naszym egzaminom dojrzałości („maturom“) odpowiadają u pewnych plemion pierwotnych (w Australii, Polinezji, Afryce) obrzędy, towarzyszące przyjęciu dorastających młodzieńców do „klasy“ mężczyzn. Kandydaci bywają tam poddawani różnym próbom nieustraszoneści i wytrzymałości na ból, a gdy z nich wyjdą zwycięsko, otrzymują od starców „w sekrecie“ nauki, dotyczące zwyczajów

prawnych, obyczajów towarzyskich, praktyk myśliwskich, a przede wszystkim świata nadprzyrodzonego i sposobów wpływania na jego tajemnicze potęgi. W ten sposób starcy przekazują zdobycze prymitywnej kultury szczepu, wzbogacone własnym doświadczeniem, młodemu pokoleniu, które następnie przekaże je swoim synom i wnukom. Stosownie do prymitywnej umysłowości nauczycieli i uczniów, mają owe nauki charakter konkretnych przykładów, ujętych w formę zwięzłą, łatwą do zapamięta-



nia. Tak jak zaklęcia demonów, żyjące do dzisiaj wśród zabobonnego ludu jako „zamawiania“ chorób, sprzęgane bywają rymami, tak i nauki starców nie są pozbawione tej więzi, która dodaje im siły „magicznej“.

Przechodząc od szczepów pierwotnych do starożytnych Greków, którzy już za czasów Homera mieli za sobą kilkaset lat kultury mieneńskiej (spadkobierczyni przeszło tysiącletniej kultury kretejskiej) i byli już — jak świadczy *Iliada* i *Odyseja* — cywilizowanymi Europejczykami, zwracamy uwagę na ich misteria (najślawiejsze eleuzyjskie), jako kontynuację jakichś dawnych inicjacji (wtajemniczeń) w wierzenia w nieśmiertelność duszy i w zagrobne kary i nagrody. Wierzenia te wpajano w uczestników misterii pod takim sekretem, że tajemnicy ich nie zdradził nikt aż do wygaśnięcia „pogaństwa“. Natomiast tradycyjne nauki „świeckie“ głosili publicznie poeci. Już w *Iliadzie* i *Odysei* spotykamy po kilkadziesiąt nauk moralnych, które dzięki lapidarnemu ujęciu „weszły w przysłowie“ u Greków, a od nich dostały się do Rzymian. Nie są to jednak właściwe przysłowia, lecz tak zwane gnomy, po łacinie *sententiae* — ogólne zdania, zawierające pewne nauki, uważane za doniosłe, ważne. Francuzi nazwali je *maximes* i stąd my nazywamy je też maksymami. Najślawiejsze były maksymy tak zwanych Siedmiu Mędrców (z połowy w. VI przed Chr.), np.: „Nic zanadto“ (*Nequid nimis*), „Niczemu się nie dziw“ (*Nil admirari*), „Poznaj samego siebie“ (*Nosce te ipsum*). Ostatnia maksyma widniała na frontonie świątyni Apollina w Delfach, a inne przypisywane były bogom, choć już powaga owych Mędrców, a także poetów, dawała im namaszczenie i budziła zaufanie do ich prawdziwości. Literatura grecka i rzymska przekazały nam takie mnóstwo ogólnych sentencji, że wśród nich można odnaleźć odpowiedniki najgłębszych maksym La Rochefoucaulda, La Bruyère’a, Vauvenargues’a i in. Materiał porównawczy jest tu tak obfity, jak cała starożytna i nowożytna filozofia, etyka, psychologia, polityka, ekonomia... Maksymami do dziś powtarzanymi zajmować się tu nie będziemy, tylko przysłowiami, do dziś żyjącymi w mowie polskiej.

Aby unaocznić różnicę między maksymą a przysłowiem, przytoczymy w przekładzie dwie maksymy łacińskie. Zdanie: „Niczego natura nie dała ludziom bez pracy“ jest sentencją; przysłowiem stało się dopiero w formie konkretnej: „Bez pracy nie będzie kołaczy“. Twórcy przysłowia polskiego nie wystarczał nawet chleb; wymienił kołacz, jako pieczywo ponieważ zbyt krowne, jako przysmak, i w ten sposób skonkretyzował sytuację, w której pracownik dorabia się już nie tylko chleba, ale i kołacza (niby „ciastka“), przy czym na wybór tej nazwy wpłynęła chęć znalezienia rymu do „pra-

cy“. Będzie on czystszy przy ludowym mazurkowaniu („kołacy“). Druga sentencja: „Praca, wykonywana bez ochoty, idzie nieskoro“, stała się przysłowiem w formie: „Bez ochoty nieskoro roboty“. Tu obrazowość i konkretność nie jest większa, niż w odpowiedniej sentencji; większa natomiast jest zwięzłość, ułatwiająca zapamiętanie przysłowia — tym bardziej, że jego krótkie człony połączone są rymem.

Te dwa przykłady wystarczają do określenia przysłowia, jako tradycyjnego (tj. przejętego od poprzednich pokoleń) zespołu wyrazów (czyli frazesu), który zawiera samodzielną treść, zwykle moralną, polecającą lub wzbraniającą pewnego postępowania, oceniającą ludzi, czynności, stosunki. Ze względu na treść pokrywają się przysłowia nieraz z ogólnymi, abstrakcyjnymi prawdami i naukami, czyli sentencjami, a różnią się od nich konkretnością, często i obrazowością pojęć, tudzież zwięzłością i dobitnością sformułowań. Gdy obrazowość i konkretność wezmą górę nad elementem sentencjonalnym, przysłowie nabiera charakteru alegorycznego i staje się jak gdyby zagadką. By ją „rozwiązać“, trzeba domyślić się związku między konkretnym obrazem a zasadą czy prawdą, którą obraz ilustruje. Tak greckie i łacińskie przysłowie: „Kropla draży skałę“ (*Gutta cavat lapidem*) powstało na podstawie porównania: wytrwałą pracą pokonywa się największe trudności, tak, jak kropla, padając ustawicznie na skałę, wydrąży w niej zagłębienie. „Nie siłą, lecz częstym padaniem“ — dodaje średniowieczne przysłowie łacińskie. W danej sytuacji opuszczało się łątwo domysłny z niej przedmiot porównania, zostawiając samo obrazowe porównanie, które mogło służyć do ilustracji i innych sytuacji. W ten sposób obraz się usamodzielił, a zastosowanie go pozostało zadaniem dla bystrości tego, kto go używał, a raczej tego, który je usłyszał od tamtego. Wymaga to pewnej inteligencji. Nie dziw więc, że przysłów używa się jako tzw. testu do mierzenia inteligencji dzieci szkolnych, a rozwinięcie myśli zawartej w takim przysłowiu bywa do dziś przedmiotem zadań szkolnych i domowych w szkołach średnich.

Są jednak i takie przysłowia, z których brzmienia trudno zrekonstruować obrazowe porównanie w nich zachowane, zwłaszcza gdy wykonawca wymienionej czynności nie jest wymieniony. Tak np. o kimś, kto popisuje się cudzą erudycją nie wymieniając źródła, w ogóle szuka chluby z cudzej pracy, jakoby sam jej dokonał, mówimy, że „stoi się w cudze piórka“. Przysłowie to opiera się na greckiej *bajce Ezopa* (nr. 200 wyd. Halm) takiej treści: Miał się odbyć niby konkurs piękności ptaków przed trybunałem Zeusa. Na wezwanie Hermesa wszystkie ptaki wybrały się w drogę,

wykapawszy się wprzód w rzekach i jeziorach, aby gorsze pióra z siebie pozrzucić, a lepsze oczyścić. Kawka, nie mając z natury pięknego upierzenia, przyozdobiła się potajemnie piórkami, które wypadły innym ptakom, i leciała na konkurs w przepychu barw jakiejś kraski. Oszustwo jej odkryła sowa, odebrała swoją własność i namówiła inne ptaki, by uczyniły to samo. Wskutek tego kawka stanęła przed Zeusem — goła. Stąd nauka, że strojenie się w cudze piórka przynosi wstyd. — Echem tej bajki jest też polskie przysłowie: „Chodź, wrono, jak cię stworzono“ i „Wrona sobie nie obrona“ w znaczeniu, że wrona nie obroni się przed sową.

Zastąpienie kawki przez wronę pochodzi z drugiej wersji (Nr 200 b, Halm) bajki Ezopa, w której Zeus wybrał na królową ptaków krasą wronę. Wtedy dopiero ptaki, poznawszy swe pióra, oskubały ją ze swej własności: „a tak z onej barzo cudnej — stała się wrona jak pirwej“, kończy rymowany przekład bajki Ezopa nasz Biernat z Lublina (ok. 1522). Jego zbiór 210 bajek poprzedzony jest „opisaniem krótkim żywota Ezopowego“, przerobionym z średniowiecznego źródła (z lat 1476 — 1480), tak samo jak i owe bajki. Ezopa ludowej książeczce greckiej, znanej już w VI w. przed Chr., kiedy pokracznego niewolnika frygijskiego wprowadzono w towarzystwo Siedmiu Mędrców, odpowiada aramejski Achikar, którego żywot posiadali Żydzi w egipskiej Elefantynie już w V w. przed Chr. Tego Achikara poznali Grecy dopiero w w. IV przez Teofrasta, kiedy joński Żywot Ezopa był już dawno gotowy; niemniej przenieśli z niego pewne motywy na swego Ezopa tak, że i niektóre bajki Ezopowe mogą pochodzić ze Wschodu, w każdym razie nie z hinduskiej Panczatantry, której wiele bajek przywędrowało nad Ganges dopiero po Aleksandrze Wielkim.

Z greckim Ezopem spokrewniony jest średniowieczny Marcolfus, nasz Marchołt „gruby a sprośny“, którego rozmowy z mądrym królem Salomonem w przekładzie Jana z Koszyca wyszły w Krakowie w r. 1521, jako jeden z najdawniejszych druków polskich. Częściej niż tego Marchołta tłumaczono i przedrukowywano u nas (aż do ostatnich czasów) Sowizdrzała (Eulenspiegel), popisującego się podobnymi figlami i dowcipami jak grecki Ezop i średniowieczny Marchołt. Ezop jest pierwszą uchwytą dla nas reakcją „zdrowego, chłopskiego rozumu“ przeciw „uczoności“ klas wyższych, pierwszym protestem uciśnionego ducha ludu przeciw możnym tego świata. Nic więc dziwnego, że bajki Ezopa, których uczyły się na pamięć dzieci greckie już za czasów Hezjoda (ok. 700 przed Chr.), a potem dzieci średniowieczne i wszystkie późniejsze, ze szkoły elementarnej dostały się do ludu (we wszystkich krajach Europy), przynosząc ze sobą kil-

kaset przysłów wspólnych folklorowi europejskiemu.

Ale przysłowia oparte na bajkach Ezopa stanowią tylko część skarbów mądrości ludzkiej pochodzenia greckiego i rzymskiego. Najdawniejszy zbiór nauk moralnych w Rzymie pochodził od sławnego z chłopskiego rozumu cenzora Katona (ok. 235 — 149 przed Chr.), a mieścił się w jego *Carmen de moribus*, przy czym *carmen* przypomina formuły magiczne, zwane też *incantamenta* (zaśpiewania = zamówienia). Utwór ten zaginął, a zastąpiono go w czasach pochrystusowych podróbką (apokryfem) pt. *Catonis philosophi disticha* (lub *Monosticha de moribus*, lub *Proverbia Catonis philosophi*). Od nich zaczynało naukę szkolną w średnich wiekach i przez dwa wieki nowożytnie. „Katonowe wiersze obyczajne“ wydał po raz pierwszy w Krakowie po łacinie, po polsku i niemiecku (w r. 1535) śląski bakałarz Franciszek Mymer i doczekał się w przeciągu pół wieku przynajmniej siedmiu wydań, aż Sebastian Klonowicz ogłosił w roku 1598 gładzszy przekład, który przedrukowywano do końca XVII w. także siedem razy wraz z sentencjami Siedmiu Mędrców. Ponieważ tak *Aesopus Latinus* jak *Cato Philosophus* i *Septem Sapientes* stanowili wraz z podróbkami na imię takich „filozofów“ jak Warro, Seneka, Sallustiusz, Horacy i Łukan, tudzież Platon i Arystoteles, główny świecki „obrok“ szkół średniowiecznych, tą drogą także ci, którzy nie chodzili do szkoły, poznawali od szczęśliwszych żaków i „klechów“ sentencje i proverbia greckie i rzymskie i na tej drodze „spadły“ one między lud i do dziś się w jego ustach zachowały.

Powaga autorów klasycznych wzrosła od czasów odrodzenia się umysłowości europejskiej (najpierw włoskiej) i studiów klasycznych w XV w. Wykształceni na tych autorach przedstawiciele nowych czasów, zwani później humanistami, obalali wprawdzie autorytety średniowieczne, ale chętnie poddawali się starożytnym. Jak dawniej cytował z Pisma św. rozstrzygał wszelkie spory i wątpliwości, tak teraz cytował z prozy lub z poezji greckiej (w przekładzie łacińskim) i rzymskiej, albo „mądrość Greków i Rzymian“, zamkniętą w ich sentencjach i przysłowiach, starczyły za argument. Głód takich cytatów u ludzi nie bardzo czytanych miał zaspokoić zbiór greckich i rzymskich *Adagia*, wydany w roku 1500 przez sławnego humanistę niderlandzkiego Erazma z Rotterdamu, obejmujący w wydaniu piątym z r. 1536 (roku śmierci autora) półpięta tysiąca sentencji i przysłów z podaniem źródeł i objaśnień użycia. Ogromny foliał o 1071 stronach zastąpiono wnet tańszymi kompilacjami, a równocześnie zaczęto w oparciu o Erazma ogłaszać zbiory przysłów narodowych, bądź to przekła-



zanych tradycją ustną, bądź świeżo tworzonych z materiałów klasycznych.

W Polsce uczynił to pierwszy Ryśiński (1618), a na większą skalę Knapski. Ten w trzecim tomie swego **The-saurus polono - latino - graecus** (1632) zestawiał alfabetycznie na 1388 stronach małej ósemki przeszło sześć tysięcy przysłów i powiedzeń

przysłowiowych polskich (**Adagia Polonica**), wraz z źródłami lub odpowiednikami greckimi i łacińskimi, i dedykował to dzieło „szkole i życiu, czyli wykształceniu i cnotcie Polaków“. Wykształcenie językowe, czerpane z pierwszego i drugiego tomu, ograniczało się do poznania poszczególnych wyrazów, jak w innych słownikach. Uzupełnienie alfabetycznego katalogu wyrazów katalogiem przysłów, tj. tradycyjnych zespołów wyrazów, czyli frazesów, miało służyć tym samym zadaniom stylistycznym, co i leksykografia, ale zarazem przyczyniać się do umoralnienia uczniów, dla których słownik był przeznaczony. Kompilatorzy Knapskiego odłączyli znów „Adagia“ od słownika, a z gramatyką połączył go Ks. Onufry Kopczyński, w którego „Gramatyce języka polskiego“, wydanej po śmierci autora w r. 1817, czytamy o przysłowiach: „Są to na kształt katońskich fizyczne i moralne zdania, pełne dowcipu i roztropności, starą a najmielszą prostotą tchnące, warcie, żeby między elementarne książki były umieszczone“.

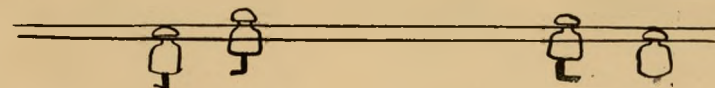
Dorobek Polski królewskiej, która przynajmniej przez trzy wieki czytywała w szkole przysłowia łacińskie (i greckie po łacinie) i polszczyła je na modłę tradycyjnych przysłów polskich, lub „w ramach“ ich tworzyła nowe, zebrał Samuel Bogumił Linde w sześciu tomach „Słownika języka polskiego“ (1807—1814) pod odpowiednimi wyrazami. Późniejsi leksykografowie polscy nie poszli jednak za jego przykładem, może dlatego, że osobnymi zbiorami przysłów przeważnie dla szkół zajęli się pedagogowie i moralisci. W Poznaniu wydano w r. 1862 nawet „Starodawne przysłowia dla ochronek“, a szkolne zeszyty dla nauki kaligrafii wypisywały do niedawna na pierwszej linii każdej strony, jako wzór pisma, właśnie krótkie sentencje moralne i przysłowia od: „Aksamity i atłasy nie dodadzą ci okras“ do „Żaby chciały króla, dostały bociana“. Biblio-

grafia paremiograficzna wieku XX podaje dwa zbiory przysłów, wydane przez księży (Kraków 1904, Cieszyn 1937) dla użytku kaznodziejów, tudzież „Przysłowia i pogwarki polskie opracowane dla młodzieży i dorosłych“ (Lwów 1934) przez świetną pisarkę utworów wierszem i prozą dla dzieci, Janinę Porazińską. Źródłem tych i tym podobnych wybo-

rów przysłów była „Księga przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich“ (Warszawa 1889—1894) Samuela Adalberga, mieszcząca około 30 tysięcy adagiów, zebranych z literatury staropolskiej i wcale licznych zbiorów paremiograficznych z XIX wieku. „Prawdziwych“ przysłów w sensie podanego na początku określenia nie będzie więcej jak dwa tysiące, a kto bada ich genealogię i historię, przekonywa się, że pochodzą one przeważnie ze starożytnej Grecji i Rzymu i drogą na szkołę, a niekiedy i na ambonę, „spadły“ do ludu i przez wieki aż do dziś utrzymały się w jego ustach. Oto kilka przykładów.

Ostatnia bajka Ezopowa Biernata (Nr 210) opowiada o głodnej liszce, która pochlebstwem skłoniła siedzącego na drzewie koguta do zejścia na ziemię i tu go zjadła. **Fabula docet:** „Kto słucha pochlebce — mądry być nie chce“. W greckim Ezopie głodna liszka, widząc na drzewie kruka z kawałkiem sera w dziobie, podziwiał kształt i barwę ptaka i przypuszcza, że jego głos musi być równie piękny. Ujęty pochlebstwami kruk otwiera dziób, ser mu wypada w paszczę lisa... Stąd polskie przysłowie w przekładzie Erazma z Rotterdamu „Książ, które zowią Język“ (Kraków 1542): „I kruk, by milczał, więcejby jadł“. Poza Ezopa wychodzą dwa inne przysłowia krucze. Pierwsze brzmi lapidarnie: „Złe kruki — złe jaja“. Zrozumieć je można tylko na podstawie anegdoty o syrakusańskim nauczycielu wymowy, Koraksie (Kruku) i jego uczniu Tyzjaszu. Ten, dowiedziawszy się, że retoryka — to sztuka przekonywania, zgłosił się na naukę do Koraksa, a gdy osądził, że już dorównał mistrzowi, chciał się wykręcić od zapłacenia mu umówionego honorarium. Gdy do rozstrzygnięcia w procesie, wytoczonym mu przez mistrza, zebrawali się sędziowie, Tyzjasz uciekł się do takiego dylematu: „Czegoś mi obiecał nauczyć, Koraksie?“ — „Sztuki przekonywania kogo zech-





cesz". — „Dobrze — ciągnął Tyzjasz. Alboś mię nauczył tej sztuki, a w takim razie daj się przekonać, że ci się honorarium nie należy; alboś mię jej nie nauczył, a w takim razie nicem ci nie winien, boś nie dotrzymał obietnicy". — Na to Koraks odpowiedział drugiemu dylematem: „Jeśli ci się uda przekonać mię, że mi się honorarium nie należy, to musisz mi je zapłacić, bom dotrzymał przyrzeczenia; a jeśli ci się to nie uda, to tym bardziej musisz mi je zapłacić na podstawie własnego przyznania, że mi się honorarium należy". —

Zamiast wyroku sędziowie orzekli: „Złego kraka złe jaja". W polskim — przysłowia tego używano w sensie: „Jaki mistrz, taki uczeń", a to przysłowie powstało w ramach takich przysłów klasycznych, jak: „Jaki pan, taki sługa" — „Jaki ojciec, taki syn" — „Jaki król, takie stado poddanych" (*Qualis rex, talis grex*).

Przysłowie „Kruk krukowi oka nie wykole" z licznymi odmianami poświadczane jest dopiero w VI w. po Chr. w łacińskiej „Historii Franków", ale już dwa wieki przed tym Makrobjusz zna przysłowie: „Wrona wronie oczu nie wykluje". Uczyni to chyba z głodu, jak sądzi Rej, z którym zgadza się przysłowie kalendarzowe: „Kiedy kruk kruka kluje, pewnie głodne lato czuje".

Tych kilka przysłów ptasich musi nam zastąpić za setki innych, których pochodzenie antyczne jest niewątpliwe. Ilustrowania pewnej sytuacji konkretnym obrazem, wyrażonym w ten sam sposób w najdawniejszych świadectwach starożytnych i nowożytnych, nie można przypisać kilkakrotnemu samodzielnemu „wynalezieniu" w rozmaitych miejscach i czasach, lecz musi się je uznać za „wynalazek" indywidualny, który wnet stawał się własnością całej gromady czy społeczności, ponieważ zgadzał się z poglądem na świat tej społeczności. Przysłowia antyczne żyją jednak nie tylko w języku polskim, ale i w innych językach tych ludów Europy, które przez Kościół i szkołę stały się dziedzicami kultury grecko - rzymskiej, bądź to w średniowieczu, bądź w pierwszych wiekach nowożytności. Głoszona przez nie „mądrość" (wszak „przysłowia" mają być „mądrością narodów", a „głos ludu — to głos Boga"), dotycząca spraw życia codziennego, jest popularna, a tym samym ani nie głęboka ani nie oryginalna, a przede wszystkim nie jed-

nolita, skoro — jak mówi przysłowie — „na wszystko jest przysłowie".

Wystarczy przytoczyć kilka słów o śmiałości (znanych już starożytnym): „Śmialemu szczęście dopomaga" — „Śmialemu wszystko się udaje" — „Śmiały dzień się progów przeskoczy, nim skromny przez jeden przejdzie". — Tym przysłowiowym pochwa-łom śmiałości odpowiada tyleż jej nagan, np.: „Śmialemu najrychlej się w łeb dostanie" — „Śmiałka spotka pałka" — „Śmiałka psy gryzą". Tak w wielu wypadkach co jedno przysłowie radzi, tego drugie odradza. Nie wynika z tego bynajmniej bezwartościowość praktyczna przysłów, bo przecież postępowanie w życiu zależy od rozmaitych okoliczności, wśród których np. śmiałość raz jest warunkiem powodzenia, drugi raz niepowodzenia.

Na zakończenie przytaczamy dwa piękne przysłowia polskie, które Grecy przejęli ze Wschodu. Historyk Aleksandra Wielkiego Kurcjusz (7, 4, 13) przytacza (ze źródła greckiego) przysłowie aryjskich mieszkańców Baktirii (w Azji Centralnej): *Altissima flumina minimo sono labuntur* („Najgłębsze rzeki płyną z najmniejszym szumem"). Zastosowanie przynosi Ps. - Katon (*Disticha*), radząc unikać ludzi milczących, bo „gdzie woda cicho płynie, tam morze najgłębsze", co w „Marchołcie" przetłumaczono w słowach: „Milczącego człowieka i tej cichej wody — strzeż się pokiś żyw; tak wynidziesz z szkody". A. M. Fredro (*Przysłowia, 1664*) przeciwstawia cichej wodzie głośny strumień: „Wielkie rzeki cicho płyną, małe strumienie szumem się po kamieniach wloką, choć nie wiele wody". Krasicki ujął ten obraz w krótką bajkę. Przysłowie niemieckie stwierdza, że ciche wody są głębokie (*Stille Wasser sind tief*), francuskie uważa, że nie ma nic gorszego nad śpiącą wodę (*Il n'y a pire eau que l'eau qui dort*), a tego samego zdania jest Anglik: *Still waters are the deepest*. Toteż Hiszpan modlił się: „Od wody stojącej wybaw mnie, Boże" (*De agua mansa me libre Dios*). Niebezpieczeństwo cichej wody głosiło już przysłowie średniowieczne: *Qui tacite currit fluvius sua litora solvit* („Rzeka cicho płynąca brzegi swoje podmywa"), czemu u Knapskiego odpowiada przysłowie polskie: „Cicha woda brzegi rwie" (mające kilka wariantów).

Od wody przechodzimy do wodopoju, mianowicie do tej sceny „Pana Tadeusza“, w której Sędzia dogląda bydła, wracającego wieczór do obory: „Najlepiej z wieczora — gospodarz widzi, w jakim stanie jest obora; — dozoru tego nigdy sługom nie poruczy, — bo Sędzia wie, że oko pańskie konia tuczy“. W tej formie przytacza to przysłowie już Rysiński i Knap-ski, drugi wraz z najstarszym świadectwem Arystotelesa, kiedy pisze: „Pers, zapytany, co najbardziej tuczy konia, odpowiedział: „Pańskie oko“.

Dlaczego właśnie Pers dał mu taką odpowiedź? Bo według Ksenofonta (Ekonom. 12,20) Persowie mówią, że „najrychlej utuczy konia pańskie oko“. W tym brzmieniu (tj. z dodaniem „najrychlej“), tłumaczy miejsce Arystotelesa Petrycy. Ksenofont, uczestnik wyprawy Cyrusa Młodszego w głąb Azji, mógł to perskie przysłowie słyszeć na miejscu, a jako zawołany koniarz nim się zainteresować. Wiedział on również, że „oczami króla“ nazywali się urzędnicy, mający nadzór nad poddanymi. A więc i w przysłowiu perskim oni mogli odpowiadać za dobry wygląd koni królewskich, gdy u Greków i Rzymian sam pan musiał doglądać stajni, jeżeli chciał, by jego konie miały się dobrze. W tym sensie pisze Ps. Demetriusz (O wymowie): „Konja tuczy obecność pana“. Otóż i to zastąpienie oczu pańskich obecnością pana jest pochodzenia perskiego: mianowicie w „Persach“ (w. 163) Eschylosa, królowa-wdowa Atossa, wskazując na zagrożenie skarbów królewskich w nieobecności pana (Kserksesa), wyraża trwogę o to „oko“: „Za oko bowiem domu uważam obecność pana“. Zważywszy, że Eschylos w całej tej tragedii okazuje dużą znajomość stosunków perskich, można by sądzić, że i tu włożył w usta królowej owo przysłowie perskie, zastępując „pańskie oko“ obecnością pana, by uniknąć jednoznaczności z tytułem wspomnianych urzędników policyjnych. Tuczenie konia przemilczał może jako nieprzystojne dostojnym ustom królowej. Mniej od Eschylosa skrupułów okazał ten Grek, który pierwszy przetłumaczył przysłowie perskie, zatrzymując w nim tuczenie konia, choć ten najmniej chyba ze zwierząt domowych nadawał się na taki przykład. Toteż autor polskiego „Wokabularza“ (z r. 1580) wołał napisać: „Pańskie oko wołu tuczy, konia też“, zgodnie z przysłowiem niemieckim: „Des Herrn Auge macht das Vieh feist“. Ale Włoch powtarza za Persem, Grekiem i Rzymianinem: „L'occhio del padrone ingrassa il cavallo“.

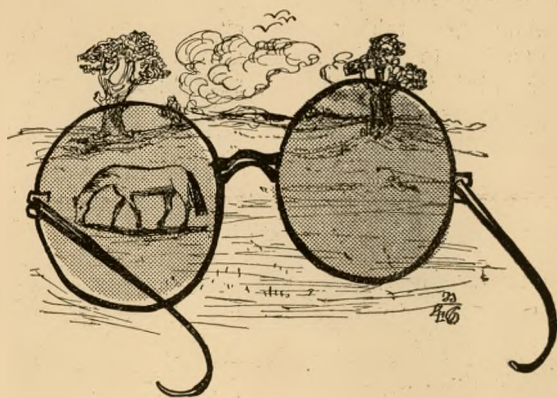
Unaoczniliśmy na kilku przykładach, jak głęboko i szeroko odbił się wpływ antyku na naszą mowę codziennej, o ile w niej używamy tradycyjnych przysłów. Jest to właśnie tradycja tej kultury grecko-rzymskiej, która przez Kościół i szkołę przeszła na narody Europy i pozostawiła w nich także osad swych przysłów. Wyrażony w nich pogląd na świat wydaje się dziś dość prymitywny, ale równocześnie dzięki swej starodawności ma w sobie coś czcigodnego, uroczystego, przekonującego. Myśli, wyrażone w przysłowiaach antycznych, odpowiadały poglądom ludu, a konkretna forma, pobudzająca fantazję, ułatwiała ich zapamiętanie. Ułatwiała też nieraz myślenie przez dostarczanie gotowych formuł na ocenę zjawisk życiowych, a przez to prowadziła do — bezmyślności.

Typem takiego staruszka, prowadzącego „życie ułatwione“ i załatwiającego wszystko przysłowiami lub „bajeczkami“, jest Pan Jowialski z komedii Fredry. Jego zamiłowanie do przysłów jest dobrze podpatrzonym rysem umysłowości staropolskiej, która skwapliwie polonizowała przysłowia klasyczne, aby nimi zastępować własne myśli. Natomiast chłop, przejmujący skwapliwie te przysłowia z ust szlachcica lub księdza, widział w nich potwierdzenie własnych doświadczeń, cieszył się ich obrazowością i jednością i jako „mądrość ojców“ przekazywał je następnym pokoleniom. Do dziś spotyka się wiejskich gadułów, którzy w rozmowie sypią przysłowiami, jak Cervantesowski Sanczo - Pansa.

W ustach człowieka wykształconego przysłowie jest dziś tylko ozdobą stylistyczną; ale że ta ozdoba bywa często piękna jak ornament na wazie, czy świątyni greckiej, niechętnie się jej wyrzekamy, zwłaszcza że i dziś przysłowie, trafnie użyte w dyskusji czy w mowie, daje dorazny efekt, streszczając obrazowo sytuację, charakteryzując przeciwnika a nieraz go ośmieszając. Spotykając zaś te same przysłowia u rozmaitych narodów europejskich, czujemy się spadkobiercami tej samej kultury grecko-rzymskiej, pielęgnowanej w szkołach humanistycznych, które całej Europie dały to, co ją pomimo wszystkich różnic i przeciwieństw łączy: ducha europejskości¹⁾.

¹⁾ Obfitą bibliografię przedmiotu podaje Jan St. Bystron: *Przysłowia polskie*. Kraków, P. A. U., 1933; stron 260, lex 8°, i T. Sinko: *Klasyczne przysłowia w polszczyźnie*. Lwów—Warszawa, Książnica Atlas, 1939.

ZIELONY KOŃ



czyli **COŚ NIE COŚ O POGLĄDZIE NA ŚWIAT**

Punktem wyjścia każdego poglądu, tzn. każdego powiązanego układu sądów o rzeczywistości są zaobserwowane fakty. Mamy poglądy o najróżniejszych rzeczach i sprawach: o wojnie i pokoju, o własności prywatnej, o zmienności gatunków zwierząt i roślin, o wychowaniu dzieci, o zdrowiu i chorobie, o szczęściu i nieszczęściu, a nawet o życiu pozagrobowym i obyczajach duchów.

Poglądy mają nie tylko ludzie wykształceni, jeśli za wykształconych mamy uważać tych, którzy przeszli przez szkołę. Istnieją także poglądy ludzi w powyższym znaczeniu „niewykształconych”. Najsłabszej kondycji, najprostszy umysłowo człowiek, zadowolający się całkowicie praktycznym życiem, ma przecież swoją filozofię, to jest indywidualny zespół poglądów o sobie i bliźnich, o życiu i świecie, kierujący jego postępowaniem, a czasem odwrotnie, będący wyrazem tego postępowania.

Wiedza ta, lepsza lub gorsza, nie jest jakimś dodatkiem do życia praktycznego, bez którego człowiek czynny i trzeźwy mógłby się zupełnie obejść i przeciwnie, jest to konieczny składnik życia. Nawet nie wiedząc o tym, uogólniamy, formujemy pewne zasady; nie ma jakiegось czystego „postępowania”, czy jakiejś „intu-

ZYGMUNT MYSŁAKOWSKI

icji”, które nie byłyby przeniknięte elementami inteligencji, nawet gdy to dzieje się bez świadomej kontroli

z naszej strony. Tak już złożyło się w świecie ludzkim, taka już jest struktura naszych stosunków ze światem zewnętrznym, że nie żyjemy nieświadomie, życiem roślinnym, że nie wystarcza nam życie odruchowe ani nawet instynktowe. Prawdopodobnie zmienność naszego specyficznie ludzkiego środowiska, zdolność do istnienia w najróżniejszych warunkach tłumaczy tę szczególną komplikację zachowania się, którą nazywamy inteligencją. Dalszym jej rozwinięciem jest postawa racjonalistyczna, tzn. fakt, że formułujemy pewne sądy ogólne, tworzymy pewne zasady, dochodzimy do pewnych poglądów (czy nawet światopoglądów), które naszemu zachowaniu się, naszej linii życiowej nadają pewną stałość i obliczalność.

Ta właśnie obliczalność jest jedną z zasadniczych cech osobowości tzn. roli, jaką człowiek wyznacza w życiu sobie, względnie formie, w jakiej widzą go inni. Prawdopodobnie więcej zróżnicowane życie społeczne narzuca nam taką racjonalizację postępowania: przez to dopiero bowiem stajemy się prawdziwymi uczestnikami życia zbiorowego

i tradycji kulturowej. Przez to świadomość rozwija się od indywidualnych, nieuchwytnych i niepowtarzalnych, subiektywnych **doznań** do kolektywnego zorganizowanego, sprawdzalnego i powtarzalnego, komunikowalnego **doświadczenia**. Jeśli istnieje coś takiego, jak „świadomość kolektywna“, to jedyne jasne znaczenie, jakie może mieć ta nazwa, jest właśnie to: dające się kontrolować i komunikować, społecznie zorganizowane doświadczenie.

2.

Fakty mogą być lepiej lub gorzej obserwowane. Złe, niedokładnie zaobserwowane prowadzą do błędnych lub powierzchownych poglądów, które mogą się bardzo długo utrzymywać, dzięki temu, że wystarczają w prostych sytuacjach. Dopiero bardziej skomplikowane potrzeby wykrywają błędność poglądu. W zwykłych dla piechura lub konnego sytuacjach horyzont jest płaskim kręgiem. Ale już sytuacja żeglarza nasuwa co do tego wątpliwości i prowadzi do bardziej poprawnego poglądu, że kształt ziemi jest raczej zbliżony do kuli, niż do płaskiego kręgu. Żeglarz jest jak gdyby zmuszany do dokładniejszego obserwowania i to prowadzi go do lepszego poglądu. Coraz bardziej skomplikowane sytuacje techniczne i społeczne prowadzą do coraz bardziej wyrafinowanych poglądów. Ponieważ jednak dotyczy to w pierwszym rzędzie specjalistów, a szkoła nie nadąża za postępem światopoglądu naukowego (nie wszyscy są zresztą objęci w dostatecznym stopniu jej działaniem), przeto w jednym środowisku społecznym współistnieją najrozmaitsze poglądy od najnowocześniejszych (najbardziej krytycznych) do najbardziej archaicznych, sięgających prastarych dziejów człowieka. Nie próbujcie darować przyjacielowi scyzoryka, od Alaski do Bretanii, albowiem może to przeciąć waszą przyjaźń; jeżeli mimo to chcecie to zrobić koniecznie, ukłujcie go przedtym lekko czymś ostrym; możecie także wykupić się od losu, otrzymując w zamian od obdarowanego jakąś drobną monetkę. Nie należy w tym wypadku kłaść zbytniego nacisku na różnicę „sfer wykształconych“ od „ciemnych“; wśród najwykształceńszych bowiem można zawsze odnaleźć punkt, w którym krytyczny, racjonalny pogląd się kończy, a zaczyna się panowanie archaicznego, magicznego myślenia. W snobistycznych sferach intelektualistów konserwatywnego typu można spotkać w odczycie z fizyki teoretycznej cytaty ze Św. Mateusza; jest to oczywiście objaw pewnego rodzaju kokieterii intelektualnej. Gorzej jest, gdy dzieje się to nieświadomie. W pewnym sensie wszyscy to czynimy.

Nie łatwo jest obserwować dokładnie. Tylko ktoś specjalnie wyćwiczony umie to robić, a i to zazwyczaj tylko w tym zakresie faktów, do którego został wyćwiczony. Jeśli się jest znakomitym obserwatorem w zakresie fizyki czy astronomii, nie wynika z tego bynajmniej, aby poglądy tej samej osoby w dziedzinie np. polityki albo życia społecznego miały stać na równej wysokości. Dowodem tego jest choćby tak wybitny człowiek, jak Einstein.

Laik zazwyczaj nie zdaje sobie zupełnie sprawy z trudności dobrego obserwowania. Wydaje mu się, że wystarczy mieć oczy otwarte i chcieć, aby, że tak powiem, wyczerpać zdarzenie do dna. Pewnego razu wykształcony i inteligentny człowiek spoglądał w konetkę dalomierza. Chodziło o to, że w pewnym położeniu obiektywu dwa obrazy schodzą się i wreszcie nakrywają, podczas gdy każda zmiana położenia obiektywu wywołuje rozdwanie się i rozchodzenie obrazów (podwójność konturu). Nasz obserwator ani rusz nie mógł tego dostrzec i długi czas upierał się przy tym, że „nic się nie dzieje“, a „ma przecież dobre oczy i jest przy zdrowych zmysłach“. A jednak w pewnym sensie miał i nie miał racji.

Często laik **wie** coś o zdarzeniu, często wie **złe** i tę wiedzę przemycza do relacji z faktem. Wie on np., że istnieją tzw. **kolory lokalne** różnych rzeczy; że śnieg „jest biały“, liście „są zielone“ — i nie chce przyznać, że w danej chwili zbocze śnieżne jest jaskrawo żółte; gdy zwrócić mu uwagę, jakiej barwy używa tu malarz, upiera się, że malarz „przesadza“, lub, że jest to dowolność jego „fantazji“. Nie zdaje sobie sprawy, że „zielona“ jego zdaniem sosna, jest w danej chwili (w świetle zachodzącego słońca) brązowa, purpurowa, a nawet pomarańczowa. Słynne było nieporozumienie z „zielonym koniem“ na obrazie jednego z współczesnych mistrzów. A przecież biały koń, pasący się na zielonej łące, nie jest wcale biały; z jednej strony działa tu bowiem odbite zielone światło łąki, z drugiej fizjologiczne prawo oka ludzkiego, kompletującego barwę w kierunku uzupełniającej. Powstaje z tego subtelna gra, którą wyszukać może tylko oko bardzo dobrego kolorysty. Wyszukać — na palecie; bo jeśli chodzi nie o namalowanie albo relację słowną, lecz o widzenie samo, oko laika nie widzi owego konia białego, zupełnie podobnie jak i oko malarza. Ale zwiedzający wystawę byli jednomyślnie zgorszeni, bo przecież każde dziecko wie, że „zielonych koni nie ma“. Dokładność obserwacji jest zależna nie tyle od samego procesu widzenia, ile od towarzyszących mu zjawisk, w których bierze udział cały aparat nerwowy a także częściowo i mięśniowy; a więc — od stopnia zainteresowa-

nia, natężenia uwagi, ilości i jakości posiadanej wiedzy o przedmiocie, wyćwiczenia, czasu cerebracji. Jest to więc przebieg złożony i jeżeli pewne składniki zawodzą, można patrzeć, mieć zdrowe oczy i przytomność umysłu, a nie widzieć. To znaczy, widzi się globalnie, a nie analitycznie, i co za tym idzie, nie jest się w możliwości ani opowiedzieć sobie widzianego, ani zdać komuś trafnej relacji, ani wysnuć odpowiedniego poglądu.

Patrzeć na rzeczywistość nie jest sprawą prostą. Jesteśmy skłonni do widzenia tego czego nie ma (smoki mogą być również... ideologiczne). Ale jeśli nawet widzimy rzeczy realne, widzimy je różnie. To zależy od naszego położenia, nietylko zresztą z punktu widzenia optycznego (jak na rysunku), ale i z wielu innych punktów widzenia. Obserwowanie życia dokładnie nie jest więc sprawą łatwą.



3.

Dokładne obserwowanie wymaga znacznego dodatkowego wysiłku, jednorazowego a częściej jeszcze systematycznego. Ludzie, wprzagnięci w pasmo codziennych nawyków i obowiązków, nie mają ani ochoty ani potrzeby do wydobywania z siebie tego dodatkowego wysiłku. Czynią to najczęściej wtedy, gdy ich zmusi komplikująca się sytuacja, problem praktyczny. Większość ludzi poprzestaje na doświadczeniach już zdobytych, na poglądach wyuczonych w szkole, wyczytanych w książkach i w prasie, zasłyszanych w rozmowie, słowem, pozbieranych na wszech drogach życia. Z tej masy różnorodnego materiału poznawczego każdy tworzy sobie pewną całość, pewien zbiorczy pogląd na rzeczywistość; i to mu zazwyczaj wystarcza. Dziwnie mało potrzeba osobistego wkładu myśli w kontrolowanie, konfrontowanie doświadczeń, ażeby przejść przez życie z względnym powodzeniem; potrzebne tu jest raczej umiejętność operowanie utartymi schematami postępowania, przystosowanymi do pewnego ty-

pu niewymyślnych, powtarzających się sytuacji. Nazywa się to: „zarabiacz”, albo „żyć towarzysko”, albo: „pracować zawodowo”. Nawet tak zdawałoby się indywidualna i subiektywna sprawa, jak miłosne życie człowieka, bywa ujęta w prymitywne, nieskomplikowane, powtarzające się schematy, częściej nadające się do komedii, jak do dramatu. Nawet złodziejstwo powszechnie jest niewymyślne i banalne i rzadcy są tak naprawdę oryginalni lu-

¹⁾ W jeszcze wyższym stopniu zrobił to we Francji Stawisky, doprowadzając obraz III-ej Republiki do absurdu.

Wykazał przy tej sposobności wielką umiejętność trafiania do ludzi, przekonywania ich, nakłaniania do czegoś, czego normalnie nie śniłoby im się zrobić. Nie należało tego utalentowanego człowieka zrównywać w stylu przestępstwa ze zwykłymi kasiarzami czy aferzystami; współczesna technika zarządzania państwem ileżby zyskała na zużytkowaniu takich zdolności; — osobiście zrobiłbym go wysokim urzędnikiem propagandy — po pewnej drobnej reedukacji, oczywiście.

Po tych dygresjach na temat oryginalnie myślących ludzi, wróćmy do wyposażenia myślowego zwykłego, „szarego człowieka”. Oczywiście daleko mu do tej ostrości percepcji, do tej mocy w wyciąganiu daleko idących konsekwencji. Jego pogląd na rzeczywistość jest konglomeratem, zbiorem poglądów bardzo różnej wartości, bez ambicji w kierunku sprawdzania, czy choćby doprowadzania się do jakiejś takiej niesprzeczności. Takie kryteria stawia sobie dopiero człowiek o wyższych wymaganiach umysłowych, a ponadto człowiek, któremu los zezwolił na otoczenie się takimi warunkami ochronnymi, pod których osłoną można pofolgować dopiero swej intelektualnej pasji dociekania.

Światopogląd — konglomerat, taki jak scharakteryzowaliśmy powyżej, jest właściwy ogromnej większości ludzi, żyjących w uregulowanych społecznie warunkach. (Wielkie wojny, kataklizmy przyrody, najazdy, epokowe wynalazki, przeobrażające gwałtownie technikę środowiska — narzucają wielkiej ilości ludzi przymus myślenia, abstrahując od jego wyników). Taki światopogląd grupy społecznej i będący właściwie zbiorem schematów myślenia, odczuwania i postępowania, uwarunkowanych przez tę stabilizację, nazwijmy **potocznym** (w językach zachodnioeuropejskich istnieje na to termin: *sens commun*, *commonsense*).

W pewnych warunkach przestaje on wystarczać. W oczach ludzi wyżej intelektualnie stojących obnażają się luki i różnego rodzaju defekty takich, przez większość dotąd niekwestionowanych struktur; a więc: niezgodność z pewnymi doświadczeniami, idee powzięte z góry (przyjęte bez dostatecznego uzasadnienia), sprzeczności wewnętrzne, zdania, wyrażające raczej życzenia i awersje ukryte, niż związki między faktami; pseudoidee, będące raczej rozwinięciem pewnych metafor językowych; pseudo-teorie wynikłe z nadużycia analogii*) itp. (Katalog takich ukrytych źródeł błędu w poglądach ludzkich usiłował zrobić swego czasu Francis Bacon).

*) Ciekawą teorię tego rodzaju wygłosił wobec mnie przed laty pewien stary gazda z Kościelisk. Zwrócił najpierw uwagę, że na Gubałowie, na samym szczycie, są źródła i zapytał, czym wytłumaczyć ich powstawanie, skoro woda nie może przejść z miejsc

Czemu należy przypisać ten fakt, że w pewnym czasie i w oczach pewnych ludzi przestaje być wystarczające to, co dotąd, nieraz wiekami wystarczało? W jakim punkcie przejawiać się zaczyna zwątpienie w stałość czegoś, co dotąd uchodziło za miarę niezruszalności?

Przyczyny tego zjawiska są prawdopodobnie dość złożone. W każdym bądź razie nie wystarcza stwierdzenie, że niekiedy rodzą się ludzie zdolniejsi lub wyposażeni w szczególnie silną pasję dociekania. Tacy ludzie istnieli prawdopodobnie od najdawniejszych czasów, zarówno w epokach twórczości, jak i zastoju. Tylko, że na ich powodzenie muszą się złożyć jeszcze pewne warunki kolektywne. A więc najpierw musi się nagromadzić pewna suma wspierających się wzajemnie odkryć, wynalazków, teorii; muszą być wydoskonalone pewne techniki badawcze, które dopiero w tej nowej formie oddają nieprzewidziane usługi; słowem musi powstać szereg zbieżnych ciągów rozwojowych od siebie niezależnych, których przecięcie się umożliwia dopiero nowe odkrycia. Niejednokrotnie powodzenie jakiejś nauki jest uwarunkowane przez rozwój innej podstawowej; tak więc biologia była skazana na wegetowanie, dopóki fenomenalny rozwój chemii i fizyki nie otworzył jej dalekich możliwości. Wojny, najazdy i przewroty społeczne przenoszą zdobycze kultury z jednych krajów do innych, otwierają niedostępne dotąd dla pewnego typu kultury granice; udostępniają udział w kulturze dla warstw społecznych, dotąd tego udziału pozbawionych. Żaden wyższy typ kultury nie może rozwinąć się w środowisku społecznym, którego wszystkie siły pochłania walka ze zbyt surowym klimatem, trudnością zdobycia żywienia, lub które jest zmuszone do zbyt ciężkich wysiłków obronnych wskutek stałego politycznego zagrożenia (Sparta). Trzeba, ażeby społeczeństwo żyło we względny spokój, żeby przynajmniej niektóre warstwy jego dochodziły do tego stopnia zamożności, który umożliwia rozwój potrzeb pochodnych; aby z jednej strony można było twórcom zapewnić wolny czas i niezależność materialną, a z drugiej, aby znalazły się dość szerokie koła konsumentów na wytwory kulturowe danego typu. Dochowane dotąd fragmenty filozofów greckich świadczą nie tylko o tym, że w pewnych miastach i w pewnych okresach byli ludzie uzdolnieni do spekulacji, ale także i o potrzebach umysłowych środowisk, w których teksty przepisywano, zakupywano, ce-

wyżej położonych. A gdy go zapytałem z kolei o zdanie, wypowiedział pogląd, że ziemia jest prawdopodobnie czymś, jak żywe ciało, które ma serce i to serce ziemi popędza wodę do najwyżżej położonych miejsc.

niąc je widocznie bardzo wysoko. Wszelka kultura zamiera, gdy brakuje popytu na jej wytwory, choćby nie brakło ludzi uzdolnionych.

I odwrotnie, sprzyjająca atmosfera, realne potrzeby techniki wyżywienia, czy obrony, wywołują powstawanie nowych gałęzi kultury. Taki sam skutek może mieć wystąpienie nowych klas społecznych, opartych na zmienionym układzie sił produkcyjnych. Czy byłby np. do pomyślenia taki fenomenalny rozwój sztuki portretu, jak w Holandii XVII i XVIII wieku, bez powstania nowej potężnej warstwy zubożonego na handlu kolonialnym mieszczaństwa? Czuło się ono widocznie dość zasobne w dobra doczesne, aby zapragnąć biografii (portretu), który jest swoistą namiastką życia pozagrobowego, pewnego rodzaju konkretną historyczną nieśmiertelnością.

Faktem jest, że w pewnych zmienionych warunkach obiektywnych powstaje potrzeba zmiany potocznie przyjętych i niekwestionowanych dotąd poglądów oraz, że w takich czasach znajduje szczególne warunki rozwoju twórczość jednostek zdolnych, które przełamują tradycję i wytwarzają nowe obrazy umysłowe. Stare tradycje nie ustępują jednak od razu i nie ustępują nigdy całkowicie:

wskutek tego poglądy potoczne i poglądy rewolucyjne, naiwne i krytyczne istnieją zawsze obok siebie w tym samym społeczeństwie. Odpowiada to dialektyce historii, wyrażającej się we współistnieniu procesów narastających, wyznaczających przyszłość obok procesów zamierających, chociażby te pierwsze były na razie niewidoczne i słabe, a te drugie pozornie potężne i okazałe.

Zazwyczaj zmiany, charakteryzujące epokę, wyrażają się równocześnie w różnych przejawach kultury: w stylu życia, (rozmów, listów, ubiorów), ale także w sztuce, religii, filozofii i wiedzy. Ponieważ podstawa kultury jest wspólna, nie można bezwzględnie odseparowywać jej różnych dziedzin: są to jakby gałęzie tego samego drzewa. I podobnie jak anatom może wnioskować z dużym prawdopodobieństwem z jakiejś kości nieznanego zwierzęcia o całej reszcie jego form a może i o trybie życia, tak i elementy nowego obrazu świata możnaby prawdopodobnie odnaleźć we wszystkich przejawach kultury, w dziełach Leonarda da Vinci tak samo jak w Palestrinie, Koperniku i Keplerze; w Galileuszu, jak i w Rembrancie; w namiętnych pamfletach Roussa lub Diderota, jak w gniewnej, gorzkiej, zaczepnej plastyce Goyi.

PRZYJEMNOŚCI

*Surely before did never meet
Sweetness so sad, sadness so sweet.*
J. KEATS.



WŁADYSŁAW TATARKIEWICZ

O wielu chwilach swego życia ludzie nie umieją powiedzieć, czy były przyjemne czy przykre. W szczególności o chwilach doniosłych, „uroczystych“, przeżywanych ze wzruszeniem. Tak samo nie umieją na ogół powiedzieć, czy jest im przyjemnie czy przykro, gdy ze wzruszeniem myślą o czasach dobrych, ale minionych, albo o ludziach bliskich, którzy już nie żyją. I podobnie ze wszystkim, co — w potocznej mowie — nazywamy **wzruszeniem**, czy także rozczuleniem, rozrzewnieniem; wszystko to nie jest wyraźnie przyjemne, ale także nie jest wyraźnie przykre.

Tłumaczyć by to można tym, że uczucia te nie są ani wyłącznie przyjemne, ani wyłącznie przykre, że jest w nich — **zarówno przyjemność, jak i przykrość**. I dokładniejsza analiza zdaje się potwierdzać to tłumaczenie. To, co doznajemy w uroczystej chwili życia, jest w ośniewie swej przyjemne, jednakże połączone z uczuciem niepokoju i ciężaru: przyzwyczajeni do zwykłego codziennego życia, źle wytrzymujemy ciężar chwili niezwyklej, choćby była przyjemna; cieszy nas, ale ciąży nam. Podobna dwoistość tkwi i w innych wzruszeniach: wspomnienie czasów dobrych, ale minionych, jest przyjemne, bo jest wspomnieniem czasów dobrych, ale przykre, bo minionych. Dlatego trudno orzec, czy wzruszenia te są stanami przyjemnymi, czy przykrymi: bo nie są ani po prostu i wyłącznie przyjemne, ani po prostu i wyłącznie przykre.

Psycholog angielski Aleksander Shand, który najwięcej światła rzucił na zjawisko wzruszenia, wysunął pogląd, że taki stan rzeczy zachodzi nie tylko w niektórych, ale we wszystkich wzruszeniach; że wzruszenia wtedy się tylko pojawiają, gdy jednocześnie przeżywamy wyobrażenia i myśli przyjemne razem z przykrymi. Bez tej dwoistości nie ma tego szczególnego przeżycia, które nazywamy wzruszeniem: jest związane z przykrością tak samo, jak z przyjemnością. Same wyobrażenia przykre nie stwarzają warunków do wzruszenia, a tak samo same wyobrażenia przyjemne, radosne. Ogarnia ono natomiast świadomość, gdy wśród cierpienia przejdzie przez nią myśl przyjemna, albo gdy odwrotnie, wśród radości — myśl bolesna. Jest wiele przyjemności przeżywanych bez wzruszenia. A tak samo wiele cierpień i zmartwień, które są właśnie oschłe i twarde: nieraz bez wzruszenia ludzie przeżywają stratę majątku czy stanowiska, a tymbardziej drobniejsze straty, jakie sobie wyrządzili; gniewają się, a nie rozczulają, zgubiwszy pióro czy splamiwszy ubranie: bo są to właśnie przykrości nie związane z żadnym wyobrażeniem przyjemnym.

Są wprawdzie wzruszenia, w których to dwoiste podłoże uczuciowe nie jest widoczne. Wszak typowymi wzruszeniami są przeżycia litości, wdzięczności, ufności, czci, a wydaje się, że w litości jest samo tylko uczucie przykre, a samo tylko przyjemne we wdzięczności, ufności, czci. Jednakże dokładniejsza analiza wykrywa, że jest inaczej: i na te wzruszenia,

I WZRUSZENIA

*Do sztuki należy wzruszenie,
a do wzruszenia nie tylko
przyjemność, ale także cierpienie.*



jak to wykazał Shand, składają się dwoiste uczucia.

W litości jest oto nie tylko przykrość wywołana przez nędzę innego człowieka: jest także myśl, że można mu pomóc, a myśl taka jest przyjemna. Odwrotnie jest we wdzięczności. Na pozór nie ma w niej uczucia przykrego; jednakże jest w niej — przynajmniej przelotna — myśl o ofierze, poświęceniu, wysiłku, jakiego wymaga dar czy usługa, za którą jesteśmy wdzięczni, a myśl ta ma w sobie coś bolesnego. Sam dar czy usługa może nas tylko cieszyć; ale inaczej jest, gdy myśl nasza zwraca się ku temu, komu je zawdzięczamy, ku jego poświęceniu. Wprawdzie o ofierze bogatego człowieka, która go nie zuboża, myśli się bez wzruszenia; ale wzrusza opowieść o groszu wdowim, bo wdowa dała wszystko, co posiadała. Wzrusza niekiedy nawet usługa, która nie naraziła na trud, ani na ofiarę; wzrusza jeśli się wie, że była oddana z dobrego uczucia, z miłości. Bo myśl nasza, nie ograniczając się do terażniejszości, obejmuje także możliwości przyszłe; widzimy, że ten kto dał nam dowody miłości, jeśli teraz nie poniósł dla nas ofiary, to gotów będzie ją ponieść w razie potrzeby; i ta możliwość działa nie inaczej, niż rzeczywista ofiara.

Podobnie jest z uczuciem ufności: jest w nim przyjemna świadomość bezpieczeństwa, ale jest w nim również przykre poczucie własnej słabości: ono przyczynia się do tego, że jesteśmy wzruszeni, odczuwając ufność. Podobnie też dzieje się niekiedy, gdy odczuwamy dla kogoś cześć. Jeśli jest to tyl-

ko cześć dla wielkości, to nie ma w sobie nic wzruszającego, ale wzrusza wielkość, połączona z dobrocią; bo dobroć odczuwamy jako pomniejszenie mocy tego, kto ją posiada, a w myśli o tym pomniejszeniu jest coś, co nas zasmuca i wzrusza.

Najłatwiej wzruszenie przychodzi w przywiązaniu, miłości: ogarnia ludzi, gdy los doświadcza tych, których kochają. A nawet ogarnia wtedy, gdy los bliskich nie daje powodu do smutku: pochodzi to znów stąd, że miłość nie ogranicza się do chwili terażniejszej, lecz obejmuje także przyszłość ludzi kochanych i groźące im cierpienia. Matka patrzy nieraz ze wzruszeniem na bawiące się wesoło dziecko; widok ten sam przez się nie daje powodu do smutku, ale matka myśli nie tylko o tym, co się dziś dzieje z dzieckiem, a także i o tym, co przyjąć może, i myśli jej natrafiają nie tylko na obrazy wesołe, ale i na smutne, na groźące niebezpieczeństwa i cierpienia; to też to, co przeżywa, jest uczuciem złożonym, i choćby radość przeważała w jej miłości, to jednak może się do niej zakraść i smutek. Więc i tu zdaje się potwierdzać to, że wzruszenie występuje tam, gdzie są przeciwne uczucia: przyjemne i przykre, pogodne i smutne.

Z wywodów Shanda możnaby wnosić, że występowanie przeciwnych uczuć jest już wystarczającym warunkiem wzruszenia; byle uczucia takie wystąpiły razem, a wzruszenie przyjąć musi. Tak jednak nie jest:



H. Bosch

jest warunkiem niezbędnym, ale nie wystarczającym. Aby wzruszenie wystąpiło, muszą być spełnione inne jeszcze warunki. Przede wszystkim postawa człowieka musi być kontemplacyjna, nie aktywna. Wzruszenia nie dozna on, jeśli będzie czynnie reagować na to, co go martwi, jeśli będzie usiłował to odwrócić: myśl jego, zaprzątnięta tym usiłowaniem, nie dopuści do wzruszenia. Natomiast wzruszenie opanowuje go niezawodnie wtedy, gdy reagować nie może i czuje się bezsilny. Ze wzruszeniem wspomina zmarłych, bo ich nie może przywrócić do życia; ze wzruszeniem myśli też o przyszłości bliskich mu ludzi, bo nad nią nie panuje. Dlatego też wzruszenia nasze częściej bodają dotyczą innych, niż nas samych: bo zmartwienie o samego siebie prędzej przechodzi w staranie, by je odwrócić. Gdy wszakże przygniotła kogoś choroba lub troska, na którą nic poradzić nie może lub sądzi, iż nie poradzi, to wtedy łatwo rozżali się i nad sobą.

Wystarczy, że człowiek buntuje się przeciw przykrej myśli: wtedy jest tak samo, jak gdyby z nią walczył, wzruszenie już się nie wytwarza. Nie wzrusza się utratą stanowiska, póki stara się je odzyskać lub choćby tylko

buntuje się wewnętrznie przeciw temu, co go spotkało; wzruszać się dopiero będzie, gdy bunt minie. Do wzruszenia potrzebny jest dystans psychiczny: nie ma wzruszenia, gdy reagujemy czynnie na rzeczy i zdarzenia, wystąpić jedynie może, gdy biernie, kontemplacyjnie się do nich ustosunkowujemy, gdy wyobrażeniom pozwalamy działać na siebie, gdy poddajemy się uczuciom.

Dla narodów szczęśliwych, uroczystości narodowe, obchody, rocznice, manifestacje, są zazwyczaj czystymi przyjemnościami; w uczuciach, jakie wówczas doznają, jest entuzjazm, nie ma zaś wzruszenia. Inaczej dla takich narodów, jak Polacy: im każde powodzenie, triumf, zwycięstwo, każdy obchód uroczysty przypomina — jeśli nie wyraźnie, to gdzieś w głębinach świadomości — przeżyte niedawno męki, ofiary; z myślą radosną łączy się wtedy myśl bolesna — i to jest właśnie to, czego potrzeba do wzruszenia.

Są dwa rodzaje wyobrażeń przykrych. Jedne z nich to te, o których wcale nie chcemy myśleć, albo myślimy z gniewem. Tak jest np., gdy przypominamy świeżo doznana krzywdę, albo własny przykry błąd. Wtedy buntujemy się i — nie wzruszamy. Inaczej

z drugim rodzajem przykrych wyobrażeń: to te, wobec których mamy dostateczny dystans, i które znosimy już bez buntu. Takie przykre wyobrażenia nazywamy najczęściej — **smutnymi**. Nie wyobrażenia gniewne, lecz wyobrażenia smutne stanowią właściwe podłoże dla wzruszeń; nie jakiegokolwiek wyobrażenia przykre, lecz specjalnie smutne. Gdy smutek opanował świadomość, utworzył jej tło, i na tym tle pojawiają się wyobrażenia przyjemne, pogodne, wtedy najłatwiej ogarnia wzruszenie.

Wyrazem zewnętrznym wzruszenia są **łzy**. Są objawem wzruszenia, a nie samego zmartwienia; z samego wzruszenia ludzie rzadko płaczą. Oplakują zmarłych, wspominając, jak byli dobrzy i jak szczęśliwe były spędzone z nimi czasy; te dobre wspomnienia, przyłączając się do cierpienia, wywołują wzruszenie, a ze wzruszeniem łzy. Ludzie płaczą, jak powiada psycholog amerykański, „gdy w złej sytuacji pojawi się jakiś rys, który ją wynagradza, coś dodatniego i pocieszającego w obliczu troski”; podczas mowy pogrzebowej łzy pokazują się w oczach słuchaczy, gdy słyszą, jak zacny był człowiek, który umarł. Nie bez powodu mówi się, że łzy przynoszą ulgę w cierpieniu: jest to naturalne, bo przychodzą wraz z pogodną myślą i to myśl ta daje ulgę. Są również i łzy radości: te płyną wtedy, gdy w radości pojawi się myśl smutna. Stają w oczach najczęściej w radości naglej, a w radości naglej żywa jest jeszcze pamięć niedawno doznanych smutków.

Wydaje się, że istotnie wzruszenia związane są zawsze z przeciwstawnymi uczuciami, że występują, gdy jest jednocześnie podstawa do radości i do smutku. Ta teza Shanda to pierwsza ważna teza, dotycząca wzruszeń. Ale można wysnuć jeszcze drugą, niemniej ważną: że wzruszenia należą do przeżyć najsilniejszych, najgłębszych; że gdy do uczucia przyłącza się uczucie przeciwne, to siła jego się nie zmniejsza, lecz właśnie jakby potęguje; że żadne radości nie są bardziej przejmujące, żadne nie zostawiają głębszych śladów w świadomości, niż te, które przeżywamy we wzruszeniach.

Wszak przymieszkę cierpienia mają wzruszenia wdzięczności, ufności, czci, przywiązania, i przede wszystkim miłości: a są to uczucia najbardziej przywiązujące do życia i dla wielu ludzi stanowiące o szczęściu. Ludzie mają nieraz świadomość, że tylko dla nich warto żyć. Zwłaszcza w ciężkich chwilach życia, w obliczu śmierci, swojej czy cudzej, inne radości, te czyste, niezmieszane ze smutkiem, beztroskie i łatwe, tracą swą wartość — i zachowują ją tylko tamte.

II.

Wzruszenia wywołują w nas najczęściej **ludzie**: ci, dla których mamy miłość czy przyjaźń, wdzięczność czy ufność. Ale są także wzruszenia wzbudzone przez **rzeczy**. Pocho-dzenie ich jest takie same: i one także mają swe źródła w zespoleniu smutków i radości. Najczęściej zresztą rzeczy wzruszają z powodu ludzi, z którymi są związane i których przywodzą nam na myśl: wzruszają przede-wszystkiem „pamiątki” po ludziach niegdyś bliskich, a teraz dalekich.

Jest jednak także inna możliwość: gdy rzeczy wzruszają niezależnie od ludzi, a przynajmniej w połowie niezależnie; wtedy wyobrażenia smutne pochodzą najczęściej od ludzi, ale przyjemne od samych rzeczy. Rzeczy wzbudzają przyjemne wyobrażenia mianowicie wtedy, gdy cieszą swym wyglądem. Przyjemność ma wtedy charakter estetyczny: tak jest, gdy wzruszają piękne widoki, krajobrazy. Obok tamtych wzruszeń, które przeżywamy w miłości, wdzięczności czy litości, które mają — w szerokim tego słowa znaczeniu — charakter **moralny**, te wzruszenia **estetyczne** stanowią drugą wielką dziedzinę wzruszeń.

Zachodzić tu mogą dwa różne wypadki. W jednym jest tak: przyjemność człowiek znajduje w pięknym widoku, smutek natomiast przynosi ze sobą, ze swoimi przeżyciami, troskami, żałami, swoje przykre myśli zespała z przyjemnym widokiem. Wytwarza się wówczas wzruszenie czysto osobiste, subiektywne, przypadkowe, niepowtarzalne; widok, który wzruszył jednego, nie wzruszy innych, którzy z widokiem tym nie kojarzą smutnych myśli.

Szczególniejszy jest drugi wypadek: wtedy widok cieszy swym pięknem i zarazem sam wzbudza smutne myśli. A są takie widoki, które podobają się i jednocześnie smuć: zawierają one w sobie wszystko, co potrzebne do wywołania wzruszenia. Oczywiście i one wzruszą nie wszystkich, lecz jedynie tych, co na nie patrzą i co je odczuwają. Wieczorny widok, piękny i smutny, nie wzruszy tego, kto śpieszy się, by przed nocą sprzątnąć zboże z pola: on widok widzi, ale nań uczuciowo nie reaguje, umysł ma zajęty zbożem, nie widokiem zboża.

Wśród widoków, które pociągają, a zarazem smuć, są widoki przedwiośnia i jesieni, chmurne i słotne; ale nie tylko one. Są i takie, które niezależnie od pory roku i pogody smućą i przejmują. O kanałach z ich wodą zastygłą, jakie się widuje w Belgii czy Holandii, w Brugii, Delfcie czy Amsterdamie, napisał kiedyś Balzac, że w obliczu ich czuje się zawsze **szczęśliwy**, choćby jednocześnie przejmował go



Pablo Picasso

LA FEMME BORGUE

smutek. Są widoki smutne nawet w pełni lata i w słoneczne południe, a między nimi właśnie te, które ludzie mają za najpiękniejsze; bywa coś smutnego nie tylko w piaskach mazowieckich czy podlaskich, ale także w widokach morza, równiny stepowej czy przestrzeni górskich, widzianych ze szczytów.

Samo piękno tych widoków nie daje powodu do smutku, ale smutek ich tłumaczy się inaczej: widoki przedwiośnia są smutne, bo ponure, jesienne — bo wzbudzają myśl o końcu, kanały — bo są martwe, widoki stepowe — bo są puste, widoki górskie — bo są groźne, inne jeszcze dlatego, bo słotne lub ciemne. Jest to bodaj wynik kojarzenia, ale kojarzenia naturalne i częste przyłączają się wreszcie na stałe do widoku; i nie tylko już w związku z nim snujemy smutne myśli, ale **widzimy** w nim smutek, nie inaczej, niż widzimy w nim barwy i kształt.

Czynnikiem, który szczególnie często stanowi o smutku widoku, jest **pustka**. Widoki są

smutne, gdy są puste, gdy brak w nich wielości rzeczy, a zwłaszcza ludzi, w szczególności ruchu i życia. Gwar ludzki rozwiałyby ich smutek, — ale zarazem odebrałyby im zdolność przejmowania i wzruszania; w gwarze nie stałyby się brzydsze, ale stałyby się mniej przejmujące. Takie jest niewątpliwie źródło smutku w kanałach z ich wodą nieruchomą, lub w nagich polach po żniwach. Pustka zaś działa najsilniej tam, gdzie przywykliśmy do pełni; do ludzi, do życia i gwaru: w gmachu szkolnym po skończonym roku szkolnym, letnisku po skończonym sezonie, w miejskim ogrodzie opróżnionym przez niepogodę czy jesień, a nawet w ulicach wielkiego miasta opustoszałych latem.

Przestrzeń niezapełnioną, pustą widzimy jako smutną. A podobnie i czas. Przejmuje smutkiem myśl o działaniu czasu, przemijaniu, zapadaniu w nicość; świadomość, że to wszystko, do czego jesteśmy przywiązani — nie tylko ludzie, ale także dom,

sprzęty, pamiątki — ulega zagładzie, świadomość ta wzrusza, gdy rzeczy te stoją jeszcze przed nami. Wszakże źródłem wzruszenia bywa nie tylko przemijanie rzeczy w czasie, ale już samo wyobrażenie pustego czasu. Działa on tak samo jak pusta przestrzeń. Obrazy dalekie przez to samo, że są dalekie, są od innych piękniejsze i zarazem smutniejsze: smucą przez to, że dzieli nas od nich czas czy przestrzeń, a że jednocześnie piękno ich cieszy, więc spełniają warunki, aby wzruszać, — bo zarazem smucą i cieszą.

Szczególne jest nie to, że wśród obrazów przyrody są smutne i wzruszające; lecz, że obrazy te dają zadowolenie, i to intensywne i głębokie. Piękna przyrody nigdy nie odczuwamy w gronie ludzkim tak silnie, jak w samotności. Urok, jaki dla wielu ludzi mają podróże i przebywanie w obcych krajach, pochodzi też stąd, że wśród obcych są bardziej samotni, samotność dodaje smutku, a smutek uczulając wzmacnia doznawane uczucia. Czar

widzianych rzeczy, piękno natury, wielkość sztuki, uszczęśliwiają głębiej, bo głębiej wzruszają, gdy samotność dodaje im swego smutku.

III.

Sztuka jest źródłem wzruszeń ludzkich nie mniej, niż przyroda. W szczególności wzruszeń o charakterze estetycznym. A nawet więcej niż przyroda, gdyż w znacznej mierze na to jest tworzona, by wzbudzać wzruszenia. Oczywiście nie wszyscy, nie zawsze, nie wobec wszystkich dzieł sztuki doznają wzruszeń; nie doznają ich ci, co nie zajmują wobec nich postawy estetycznej, nie doznają ich wobec rzeźby robotnik, który ją z wysiłkiem z miejsca na miejsce przenosi, ani handlarz, który ją targuje. Co więcej, nie wszystkie dzieła sztuki, nawet dobre i nawet jeśli się wobec nich zajmuje odpowiednią postawę, wzruszają. Są ich dwie różne kategorie: jedne tylko cieszą; nie mają w sobie pierwiastka smutku, a przeto nie wzruszają; to te, co wywołują uczucia przyjemne i zarazem przykre, zadowolenie i smutek.

Skąd pochodzi zadowolenie i smutek w sztuce? Zadowolenie, ma przede wszystkim charakter estetyczny, pochodzi z formy, jaką, artysta dziełu nadał. A smutek? Ten przeważnie ma inne źródło, pochodzi nie z formy sztuki, lecz z jej treści, przejęty jest wraz z tematem z rzeczywistości, z życia.

W plastyce i literaturze, w obrazach czy powieściach jest to zupełnie wyraźne: w obrazach budzą smutek widoki jesienne i wieczorne, w powieściach ciężkie losy ludzkie, przemijanie i śmierć. Tu wszędzie formy cieszą swym pięknem, a tematy życie wypełnia smutkiem. Bez tego tematycznego smutku obraz czy powieść nie wzruszałaby, nie miałyby liryzmu.

Tematy wzruszające w sztuce są po części

tymi samymi, które wzruszają w życiu. Jednak nie wszystkie: wzruszającymi stają się w sztuce także takie tematy, które w życiu nimi nie są, nie wywołują żadnych uczuć albo jedynie uczucia przykre, tematy, które gniewają lub brzydzą, a nie smucą. Twarze, któreby odpychały w naturze, przejmują w portretach Rembrandta; wzruszają wynędzniałe postaci z wczesnych obrazów Picassa; przedmieścia przykre swą brzydotą rozczulają w obrazach Utrilla; okropności wojny nie odpychają w akwafortach Goyi, ani żebracy w akwafortach Norblina; wzruszają zwyczajne losy Bogumiła i Barbary, czy dziewcząt z Nowolipek. Zapewne dzieje się tak dlatego, że to, co w naturze miało cechy wyłącznie ujemne, przynębiające i smutne, w sztuce otrzymało również — przez formę, przez barwę czy słowo — cechy dodatnie, budzące radość, a to było niezbędne do złożonego przeżycia, jakim jest wzruszenie.

Marie Laurencin

MANDOLINISTKA





Maurice Utrillo

LA RUE SAINT - RUSTIQUE 1938

Działa tu też zdolność sztuki potęgowania tych własności rzeczy, które przejmują z życia. Własności te — smutne tak samo, jak kiedyś indziej wesołe — podaje bowiem w selekcji, w ekstrakcie, gdy tymczasem w naturze i życiu są one pomieszane z innymi; a podając w selekcji i ekstrakcie, podaje je w postaci czystej, niezmieszanej, przeto mocniejszej. Przez to w powieści czy wierszu, w portrecie czy krajobrazie może się jeszcze spotęgować smutek tkwiący w przyrodzie i życiu. Ale zarazem dzieła sztuki wzbudzają zadowolenie estetyczne — wzbudzają więc jednocześnie smutek i zadowolenie i temu zawdzięczają swą zdolność wzruszania.

Zdolność wzruszania napewno nie w mniejszym od poezji i plastyki stopniu posiada muzyka. Zdawałoby się, że źródło smutku musi mieć inne, niecierpane z życia, skoro nie bierze zeń tematów, jak to czyni plastyka i po-

ezja. A jednak życie i jego smutki mają udział także i w jej działaniu. Wprawdzie jej melodie nie odtwarzają rzeczywistości, ale — słuchacz może skojarzyć z nimi i wielorako kojarzy rzeczywistość. A nawet nie będąc skrepowany tematem, ma tu więcej swobody kojarzenia tych wyobrażeń z rzeczywistego życia, które go przejmują; może słuchając muzyki przeżywać rzeczywistość tę czy inną, przede wszystkim własną, własne życie. Ono zespała się z pięknem melodii; i jeśli smutki jego złączą się z estetyczną radością, jaką daje muzyka, to wytworzy się dla wzruszenia więcej jeszcze warunków, niż w innych sztukach, właśnie dlatego, że z nieokreślonymi tematycznie melodiami wyobrażenia i uczucia, jakie nosimy w sobie, łatwiej się kojarzą i zespalają, niż z określonymi obrazami poezji czy malarstwa.

Nie wszystkie zresztą rodzaje muzyki w równym stopniu nadają się do tego, by je łączyć z przeżyciami osobistymi i by mogły na tej drodze

wywoływać wzruszenia. Najlepsza muzyka nadaje się do tego właśnie mniej, bo tak przykuwa do siebie uwagę słuchacza, że każe mu o sprawach własnego jego życia zapomnieć. Tego natomiast nie ma w muzyce lekkiej, łatwiejszej, która nie panuje nad naszymi wyobrażeniami, jest tylko akompaniamentem do nich. Pobudza marzenia, by płynęły, ale nimi nie kieruje. Przy jej akompaniamentie płynniej rozwijają się myśli i marzenia.

Jest o tym urywek Proust'a p.t. „Pochwała złej muzyki“. Wywodzi on w nim, że melodia, która jest dużo grana i śpiewana, wypełnia się stopniowo ludzkim marzeniem i ludzkimi łzami; a już przez to samo, że jest nimi wypełniona, wzrusza i chwyta za serce. „Ta byle jaka muzyka nie zajmuje żadnego miejsca w dziejach muzyki, ale zajmuje ogromne miejsce w dziejach uczuć ludzkich. Ileż melodyj bezwartościowych w oczach artysty stało się wy-

branymi powiernikami dla rzesz romantycznych chłopców i zakochanych kobiet. I są powiernikami pełnymi mądrości i intuicji, zdolnymi uszlachetnić smutki i dodać połotu marzeniom; wzamian za powierzoną im płomienną tajemnicę dają upajające złudzenie piękna. Zeszyt miernych piosenek, zniszczony przez częste użycie, wzrusza tak samo, jak wzrusza cmentarz czy wioska, choć domy tam są bez stylu, a nagrobki pokryte są napisami i ozdobami bez smaku“.

Tak tedy—z życia przenika do przeżyć artystycznych smutek, potrzebny do wzruszenia. To jednak nie wszystko: bo przenika do nich nietylko z życia. Kiedy indziej ma źródło w **samym dziele sztuki**, w samej jego formie. Nie jest to już zjawisko tak pospolite, jak tamte: występuje tylko w tych dziełach sztuki, których kunszt jest najwyższy, forma doskonała, i tylko u tych ludzi, którzy są zdolni formę tę uchwycić i zrozumieć. Ale gdy się to stanie, wtedy niezależnie już od jakichkolwiek spraw życiowych, od tematów czy kojarzeń widza czy słuchacza, sztuka sama staje się źródłem wzruszenia.

Nikt o tym nie pisał tak słusznie i tak głęboko, jak niegdyś E. A. Poe. Pisał on, że samo „piękno, jakiegokolwiek jest rodzaju, na najwyższych swych szczytach niezmiennie pobudza czułe dusze do łez, tak, iż melancholia jest najbardziej uprawnionym ze wszystkich tonów, jakie mieć może poezja“. Ale dlaczego te łzy, ta melancholia wobec sztuki? Temu Poe dał takie wyjaśnienie: „Gdy pod wpływem działania poezji, czy też muzyki, tej najbardziej przejmującej ze wszystkich odmian poezji, wybuchamy łzami, to nie... z nadmiaru rozkoszy, lecz przez rwący, **niecierpliwy żal, że nie jesteśmy zdolni uchwycić** teraz w całości, tu na ziemi, odrazu i na zawsze tych boskich i porywających radości, z których przez wiersz czy przez muzykę ujmujemy jedynie krótkie i nieokreślone błyski“. Ten smutek i żal, wywoływany przez samo piękno, Poe usiłował tłumaczyć jeszcze dalej: tłumaczył tym, że nasza potrzeba piękna, „nie jest prostym upodobaniem piękna, jakie jest przed nami, lecz szalonym wysiłkiem, by dosięgnąć to, które jest po-

nad nami. W upajającym przeczuciu pozagrobowej chwały usiłujemy—zestawiając w prze-różny sposób przemijające rzeczy i myśli — o sięgnąć choć cząstkę tej błogości, której nawet składniki należą do wieczności“.

Czy tłumaczenie to jest słuszne czy nie, to w każdym razie słuszne jest tamto: że w przeżyciu estetycznym o najwyższym nasileniu jest też i cierpienie; że ma ono źródło w niemożności uchwycenia i utrzymania tego piękna, które ujrzeliśmy na chwilę. W każdym razie słuszne jest stwierdzenie, że piękno samo przez się jest źródłem nie tylko radości, ale w swych najwyższych postaciach także cierpienia, a przez to i wzruszenia.

Co Poe zauważył w działaniu poezji i muzyki, stosuje się tak samo do plastyki: i wobec niej niekiedy ogarnia widza wzruszenie, choć treść, temat nie daje do tego powodu; sama forma, samo piękno wzrusza, bo nie tylko cieszy, ale także smuci, a smuci zapewne dlatego, iż nie można go utrzymać na zawsze wraz z tą niewypowiedzianą radością, jaką daje. Kto wobec Partenonu czy gotyckiego kościoła, wobec portretów starego Rembrandta czy obrazów Vermeera doznał tylko przyjemności, a nie doznał wzruszenia, ten nie doznał pełni i głębi tego, co dać może sztuka. Drobne twory sztuki, zwłaszcza zdobniczej, sprzęty, tkaniny, ceramika wywołują tamtą inną, tylko dodatnią reakcję, dają przyjemność; jednakże przynajmniej ich najdoskonalsze egzemplarze w pewnych chwilach, w pewnych ludziach wywołują ten najwyższy zachwyt, który nie jest czystą radością, lecz bolesnym wzruszeniem.

Fr. Goya

EGZEKUCJA



Sztuka, która wzrusza niekoniecznie jest sztuką sentymentalną, a zwłaszcza sentymentalną w zwykłym pejoratywnym znaczeniu wyrazu. Nie jest nią, jeśli wzrusza formą; ani też jeśli wzrusza treścią, któraby nie wzruszała w życiu; lecz conajwyżej jeśli przejmie tylko z życia wzruszające tematy i z nich korzysta. To jest sztuka łatwa i jeśli nie jest ceniona, to dlatego, że sztuka ma zadanie trudniejsze i wyższe: rozszerzać sferę wzruszeń ludzkich, dawać wzruszenia inne jeszcze niż życiowe, właśnie formalne, wywołane przez samo piękno i zapewne powszechniejsze i trwalsze od wzruszeń życiowych. Ale i w tej wyższej postaci sztuka zmierza ostatecznie do tego samego: wzbudzać wzruszenia.

IV.

W stosunkach z ludźmi, w widokach natury, w dziełach sztuki, wszędzie powtarza się to samo: wzbudzają wzruszenia, w których radości zmieszane są z cierpieniem, a jednak są radościami najgłębszymi. Dajemy wyraz silniejszemu wrażeniu, gdy mówimy, że nas książka wzruszyła, niż że nas zabawiła, że nam sprawiła przyjemność. Najpiękniejszymi pieśniami są, jak powiadają, pieśni najsmutniejsze.

Dlaczego tak jest, dlaczego wzruszenia mogą działać tak uszczęśliwiająco, dlaczego smutek połączony z radością nie ujmuje jej siły, lecz zdaje się ją potęgować? Przyczyną tego nie jest kontrastowe działanie smutku: bo we wzruszeniu nie przeciwstawia się on radości, lecz stanowi z nią jedną całość. Wy tłumaczenie leży w czym innym: w tym, że wzruszenie jest, jak to sam wyraz mówi, poruszeniem świadomości, wstrząsem, jaki się w niej dokonywa, przewrotem, który ją odrywa od zwykłego jej biegu, wstrząsa nią i przez to działa silniej. Silniej też działa każdy składnik uczuciowy wzruszenia: jeśli jest to radość, to radość ta głębiej przenika świadomość. Stąd ten wynik paradoksalny, że radość zmieszana ze smutkiem może być silniejsza, niż gdy jest czysta i niezmieszana.

Oczywiście nie tylko we wzruszeniach uczucia są silne. Silne, głębokie, uszczęśliwiające bywają także radości czyste, niezmieszane. Życie aktywne, skuteczne działanie, bohaterskie napięcie sił może dać radości nie mniej, a wolnej od smutku. Radości heroiczne mogą się mierzyć z tamtymi kontemplacyjnymi, estetycznymi, przeżywanymi z dystansu. A jeśli na te trzeba tu było położyć większy nacisk, to dlatego, że działanie radości czystych jest zrozumiałe samo przez się, podczas gdy działanie mieszanych zawiera paradoks, który wymagał wyjaśnienia.

Nie wszyscy ludzie są na wzruszenia i uczucia mieszane równie podatni. Są tacy, co gdy cieszą się, to w świadomości ich nie ma już miejsca na smutki, a gdy martwią się, to nie ma miejsca na myśli pogodne. Ci z trudem podlegają wzruszeniom. A także nie wszyscy chcą im podlegać. Są i tacy, co ich nie lubią lub się ich lękają: to ci, co nie znoszą liryki i smutnych sztuk w teatrze, co w powieści domagają się szczęśliwego zakończenia, co wolne chwile spędzają najchętniej w gwarze towarzystwa, by nie ulec smutnym nastrojom, co unikają bolesnych pożegnań i prędko przecinają rozmowy grożące łzami.

Ale są i tacy — na przeciwnym krańcu — co nie unikają wzruszeń, lecz ich właśnie szukają, uważając za najbardziej pożądane ze wszystkich przeżyć. I nie tylko szukają wzruszeń, ale nie unikają smutku i (jak to pewne okresy nazywały) melancholii, przeciwnie, cenią i starają się o nie. Nawet tak trzeźwy, tak nie romantyczny pisarz XVIII wieku, jak David Hume, pisał o „przyjemnej melancholii“, stawiając ją ponad wszystkie inne uczucia. A cóż dopiero romantycy wszystkich czasów i odcieni.

Nie znaczy to wszakże, by samo przez się pociągało ich ujemne uczucie, jakim jest smutek czy melancholia. Mówiąc o smutku i melancholii, mają zazwyczaj na myśli nie proste ujemne uczucia, ale złożone dodatnie wzruszenia, w które jako składniki wchodziły tamte uczucia ujemne. Chodzi im nie o doznawanie smutków, lecz o doznawanie wzruszeń. A dwuznaczność wyrazów wytwarza paradoks. Z uczuciem jest jak z potrawami: są potrawy smaczniejsze przez to, że dodany został do nich pieprz; ale sam pieprz nie jest smaczny; można go nazwać smacznym, tylko jeśli się przez pieprz rozumie — pieprzne potrawy.

W tym sensie nie tylko poszczególni ludzie, lecz całe okresy pragnęły doznawać smutku i melancholii. Sentymentaliści XVIII w. upajali się nimi. Izabela Czartoryska w swej książce o ogrodach zalecała płaczące wierzby i brzozy, a Helena Radziwiłłowa, zakładając ogród w „Arkadii“, wybudowała w nim „Przytułek nieszczęścia i melancholii“. A jednak ogrody były przeznaczone, by uprzyjemnić życie, nie zaś by je uprzykrzać. „Nie wiem, pod jakie prawo fizyczne podciągną kiedyś filozofowie uczucie melancholii — pisał Bernardin de St. Pierre, — co do mnie, to znajduję, że jest ono najrozkoszniejszym ze wszystkich“. I szczegółowo opisywał przyjemności, doznawane w melancholii i samotności, w obcowaniu z ruinami i grobami. A Rousseau pisał o „pociągającym smutku“,



Moise Kisling

PORTRET

którego nie chciałby się wyzbyć. Romantycy XIX w. przeważnie odczuwali tak samo, jak on. „Przyjemność, jaką daje troska, może być miłsza, niż sama przyjemność“, pisał Shelley w „Obronie poezji“ i tłumaczył tym przyjemność, jaką znajdujemy w tragediach. Keats pisał „o smutnej słodyczy i o słodkim smutku“, a Longfellow o „uczuciu tęsknoty i smutku, które wcale nie są cierpieniem“, „a feeling of longing and sadness that is not akin to pain“. Uczucia takie nie skończyły się z romantyz-

mem: w epoce symbolizmu i Młodej Polski, za czasów Tetmajera, znów wierszem i prozą chwalono melancholię. „Żal mi, że nie mam smutków żadnych“, pisał jeden z wierszy „Chimery“.

Byłoby błędem przypuszczać, że ci, co tak pisali, a tak samo ci, co ich z przejęciem czytali, chcieli smutku dla niego samego. Chcieli dlatego, że jest niezbędnym składnikiem wzruszenia. Chcieli naprawdę wzruszeń, które dla zawartego w nich smutku nazywali smutkami.

Gdzie tkwi tajemnica?
Próba biologicznego
i psychologicznego
wyjaśnienia zbrodni
niemieckich



NARÓD NIEMIECKI w ŚWIECIE PSYCHOPATOLOGII

MARIA GRZYWO-DĄBROWSKA

Na krótko przed wojną wyszła w Bostonie (nie przypominam sobie, w którym już wydaniu) książka psychiatry i psychoanalityka Menningera pt. „The man against himself”. W polskim przekładzie — przypuszczalnie nie ma go dotychczas — tytuł mógłby brzmieć: „Człowiek sobie wrogiem”.

Zastanawiając się nad drogą, jaką szły Niemcy „po górach trupów i oceanie łez”, zanim stoczyły się w bezdenną przepaść, z której dla nich w ich ustroju politycznym i nastawieniu psychicznym nie było już wyjścia — wracam myślą do wyłożonej w tej książce ciekawej teorii amerykańskiego psychoanalityka, według której człowiek dość często działa podświadomie wbrew istotnym swoim interesom, również podświadomie jest jakby nastawiony wrogo do samego siebie i może sam sobie czynić najrozmaitsze krzywdy, aż do samobójstwa włącznie. Twórca tej, bynajmniej nie prostej, teorii objaśnia to zjawisko w ten sposób, że popełniony błąd (nazwijmy: grzech), nawet gdy — zda się — jest w pamięci całkowicie zatarty, może być tylko wyłączony ze świadomości, ale tkwi w mrokach podświadomego i budzi tam, również bezwiednie, poczucie konieczności ekspiacji, kary. Autor oparł swą pracę na

badaniach i obserwacjach, dotyczących zarówno ludzi zdrowych, jak i chorych na cierpienia wewnętrzne i chirurgiczne; poddał także wnikliwej obserwacji neurasteników, psychasteników, chorych nerwowo i psychicznie oraz osoby, które — opętane przez najrozmaitsze namiętności (do kart, wyścigów, alkoholu itd.) — doprowadzały się do ruiny moralnej, fizycznej i umysłowej. Materiał jego obejmował również tych, co częściej niż się to przeciętnie zdarza ulegali wypadkom samochodowym, rowerowym, związanym z nieuważnym obchodzeniem się z bronią itp., wreszcie — męczenników, świętych i ascetów. Na podstawie tego obszernego i szczegółowo zbadanego materiału uczony ten doszedł do wniosku, że w podświadomości psychopatów, chorych, ludzi nadmiernie roztargnionych, odratowanych samobójców itp. tkwiła zwykle myśl o winie czy grzechu (często natury seksualnej), popełnionym bardzo dawno, niekiedy we wczesnej młodości lub nawet w dzieciństwie, że ten „uraz” wywołał również w podświadomości, pozbawionej kontroli wyższych władz psychicznych, myśl o ekspiacji, zazwyczaj bezsensownej, a dla zdrowia lub życia osobnika szkodliwej lub nawet zgubnej. Według tej teorii często choroba, wy-

padek, najrozmaitsze — szkodliwe lub narażające osobnika na śmiech — dziwactwa, wreszcie zamach samobójczy i tryb życia, dla zdrowia szkodliwy, a więc zazwyczaj je skracający — wszystko to są formy podświadomej ekspiacji.

Jeśli nawet ta teoria znacznie rzadziej, niż chce jej twórca, jest słuszna — przykuwa ona myśl czytającego i budzi pytanie, czy w jedy-nym, wyjątkowym wypadku nie uda się zastosować jej do wielkich zespołów ludzi, żyjących w warunkach wspólnych, w tych warunkach wspólnie działających zbrodniczo i za swe zbrodnie szukających podświadomie ekspiacji w samozniszczeniu. Idzie o Niemcy hitlerowskie.

Niemożliwe się zdaje na pierwszy rzut oka przypisywać narodowi, jako całości, cechy przestępcze. Po namyśle jednak okazuje się, że w pewnych warunkach można to zrobić w ramach sprawiedliwości i logiki. Temu zagadnieniu chwilę czasu poświęcimy. Przypomnijmy sobie, że właściwości biologiczne, hodowane i pielęgnowane u roślin czy zwierząt w ciągu długich nieraz pokoleń, rozwijają się wspanialej, niż pozostawione naturalnemu biegowi rzeczy, niekiedy w niesprzyjających warunkach. Hodowcy — zależnie od celów, jakie chcą osiągnąć drogą odpowiedniego doboru, a więc za pomocą czynników wewnętrznych oraz właściwej pieczy (czynniki zewnętrzne) — osiągają zdumiewające wyniki. Budzące zachwyt kwiaty i owoce, hodowane umiejętnie, odbiegają nieraz wybitnie barwą, wielkością, kształtem czy smakiem od braci, pozostawionych w surowych warunkach natury.

Nie będziemy się nad tym rozwodzili, zaznaczymy tylko, że eugenika, rozszerzając stale zakres swych zadań, na kilkanaście lat przed ostatnią wojną zwróciła bacniejszą uwagę na badanie tzw. drzewa genealogicznego, przede wszystkim ludzi genialnych i utalentowanych, a także na badanie bliźniąt, zwłaszcza jednojajowych, u których łatwiej niż u innych osobników obserwować można wpływ czynników dziedzicznych. Okazało się, że w rodzinie, z której pochodził geniusz, zanim zabłysł on potężnym światłem, zdarzały się niejednokrotnie jednostki, obdarzone wielkimi nieraz zdolnościami, najczęściej w tym samym kierunku. Do najwybitniejszych pod tym względem należy rodzina Bachów, która od początków XVII w. słynęła zdolnościami muzycznymi. Z niej wyszedł Jan Sebastian Bach — ojciec czterech wybitnie utalentowanych synów, z których jednak żaden nie dorównał mu geniuszem. W rodzinie Tycjana było dziewięciu malarzy, w rodzinie Darwina — szereg nieprzeciętnych badaczy. Polska może się pochłubić przede wszystkim rodziną Kossaków, utalentowanych nad podziw zarówno w linii męskiej, jak i żeńskiej.

Badacze wielkich uzdolnień uważają, że talent nie jest czymś prostym, że przeciwnie, składają się nań liczne płynne składniki organizacji psychicznej i dlatego trudno się dzie-dziczy. Istnieje jednak pogląd, że na podstawie cech rodziców powstaje nowa cecha złożona na skutek działania większej ilości związków (genów), które występują w nowej kombinacji. Powstaje nowy rytm procesów psychicznych, powstaje to, co nie istniało.

Dla naszych celów w obecnej chwili większą wagę, niż zagadnienie dziedziczenia wielkich uzdolnień, posiada sprawa przekazywania potomstwu małowartościowości, zwłaszcza że upośledzeni fizycznie i psychicznie często odznaczają się rozrodczością większą, niż to bywa normalnie, co jest zjawiskiem społecznie groźnym. Według danych Fetschera z Monachium (Różyckiego) na małżeństwa psychicznie upośledzone wypada przeciętnie 3,06 dzieci, na małżeństwo ludzi zdrowych — 1,87. Znamy kilka rodowodów rodzin małowartościowych; podamy w zwięzłym streszczeniu najważniejsze dane, dotyczące jednej z nich. Właścicielka domu publicznego w Ameryce, Famyly, zmarła w 1827 r., miała około 800 potomków, z których 700 było przynajmniej raz jeden w życiu karanych, a 37 skazanych na śmierć. Rodzina ta wydała 342 alkoholików i 127 prostytutek. Kosztowała ona państwo około 2 milionów dolarów.

Wykwit nad miarę przeciętną specjalnych właściwości czy to dodatnich, czy też ujemnych objaśniamy przede wszystkim szczęśliwym lub fatalnym dziedziczeniem związków rodzicielskich, a następnie warunkami, które pozwoliły im się wykazać. Mózg człowieka ma nieskończenie więcej możliwości rozwojowych, niż je osobnik w ciągu życia może przejawiać. Warunki życia czynią, że wiele z ukrytych predyspozycji wyłania się na powierzchnię; przy sprzyjających okolicznościach Aryman daje znać o sobie. Niemcy, którzy chętnie się czystością krwi, a więc warunkami psycho-biologicznymi, w których specjalne właściwości (nie zawsze oczywiście dodatnie) najwspanialej mogą się rozwijać, byli w błędzie, a właściwie popełniali tę omyłkę świadomie. W świecie cywilizowanym ras czystych nie ma; jednak dla tych właściwości, które od wielu, wielu wieków istnieją w narodzie i które na skutek tego stają się coraz silniejsze, przypuszczalnie torują się w mózgu jakby specjalne drogi, wytwarza się może coś w rodzaju dziedzicznego pogotowia z nabytych przez przodków zasobów doświadczeń, zwiększanych w miarę ćwiczenia danych właściwości, co oczywiście sprzyja ich rozwojowi.

Warunki, w jakich Niemcy pod batutą Prus w ciągu wielu dziesiątków lat się rozwijali, ćwicząc się w posłuszeństwie i karności, były bardziej wspólne, niż u wielu innych narodów,

a załázky okrucieństwa, fałszu, zachłanności i buty, istniejące w niewspółmiernie wyższym stopniu u Niemców, niż u innych narodów — o czym za chwilę pomówimy, były kształtowane i rozwijane pieczołowicie.

Jeśli wielkie specjalne uzdolnienia, a więc właściwości rzadsze, na skutek szczęśliwego dziedziczenia i korzystnych warunków zewnętrznych rozwijają się wspaniale, to samo zachodzić musi w stopniu przypuszczalnie silniejszym przy dziedziczeniu właściwości psychicznych bardziej ludzimi wspólnymi. Pewien odłam francuskich uczonych stoi na stanowisku, że na psyche człowieka, a więc na to, co nazywamy duszą, składa się prócz przejawów inteligencji i woli pięć zasadniczych właściwości. Są to: dobroć, wrażliwość, rzetelność, dzielność i zachłanność. Rozpiętość skali, w jakiej dana cecha może się wyrazić, jest bardzo wielka; czasami należy ją określić znakiem minus. Oznacza to, że jej brak lub że jest wyrażona tak słabo, że nie można jej dostrzec. Połączenie tych cech w rozmaitym stopniu daje nieskończoną ilość ludzkich typów.

Zachłanność w stopniu umiarkowanym jest cechą ogromnej większości ludzi. W dążeniu do zdobycia dóbr materialnych, o ile nie przekracza dozwolonych granic, wchodzi w skład pojęcia walki o byt; skierowana w sferę walorów duchowych i zdobyczy umysłowych, jest sprężyną postępu. Nawet silnie zaznaczona zachłanność, przy dużym stopniu dobroci i wrażliwości, może dać typy dla społeczeństwa wybitnie korzystne. Gdy zachłanność każe osobnikowi garnąć możliwie wiele k'sobie, nastawienie altruistyczne i wrażliwość na potrzeby i interesy innych zmuszają go do dawania z siebie również wiele, każą mu promieniować tym, co wchłonał. Niedostateczny stopień dobroci może się wyrażać w trojaki sposób: obojętnością na cudzy ból, zadowoleniem o rozmaitym nasileniu z powodu cudzego cierpienia, w końcu — zadowoleniem, a nawet rozkoszą o posmaku seksualnym (sadyzm).

Jeśli typy zachłanne, pozbawione całkowicie lub bardzo skąpo wyposażone w tę społeczną wartość, której daliśmy miano dobroci, są obdarzone dużą dzielnością; jeśli środowisko, w jakim żyją, właściwości te rozwija i podsyca wygórowaną chciwość oraz budzi w dziecku nienawiść do tego, co jej wymogom stawia tamy — z dzieci takich wyrastają ludzie, którzy potencjalnie są już zbrodniarzami. Warunki zrobić z nich mogą rzeczywistych przestępców. Stoimy dziś na stanowisku, że mamy dużo więcej predyspozycji, niż w ramach życia codziennego można ich zmieścić. Wielkie nawet zdolności mogą drzeć w człowieku i niczym się nie przejawiać; okrucieństwo i nadmierna zachłanność mogą się nie uzewnętrzniać, na skutek działania innych właściwości o charakterze odmiennym, a trzymane w moc-

nych pętach rozsądku, woli oraz nakazów prawa, mogą przez długie lata pozostawać utajone, dopóki właściwa przyczyna nie powoła ich do życia.

Czy w podobnych warunkach zawsze następstwem tego musi być zbrodnia? Nie. I wtedy jeszcze, jeśli rozsądek człowieka, jego zdolność do samoopanowania, oraz jego kultura duchowa są mocniejsze, niż siła zbrodniczych instynktów — mogą się one usunąć ze świadomości, nie wyrazić się przestępstwem. Można rzec, że człowiek zmógł samego siebie. W specjalnych okolicznościach, zwłaszcza w warunkach wojny i bezkarności, instynkty zbrodnicze rozrastają się gwałtownie, mogą opanować całą istotę człowieka, zagłuszyć głos rozsądku oraz zdławić lepsze struny duszy i wykazać się w zbrodniczych czynach.

*

Po tym, cośmy dotychczas powiedzieli, wysuwamy ostrożnie hipotezę, **tylko** hipotezę: czy Niemcy hitlerowskie — złożone w bardzo dużej mierze z osobników o charakterze przestępczym, a przynajmniej z predyspozycją do zbrodniczości — kończąc haniebną istnienie Trzeciej Rzeszy wśród zbrodni, jakich dotychczas świat nie widział, nie popełniały w myśl podanej teorii powolnego samobójstwa? O ile staniemy na tym stanowisku, znajdziemy bardzo mocne podstawy do wysunięcia powyższego pytania. Już od czasów Cesarstwa Rzymskiego narodu niemieckiego oraz od wędrówki narodów historia obfituje w przykłady, wykazujące okrucieństwo, fałsz, chciwość bezgraniczną i inne zbrodnie Niemców. Nas interesują przede wszystkim czasy późniejsze, a mianowicie część zbrodni, jakie popełnili, mogłaby starczyć do wytworzenia w ich podświadomości poczucia winy i w związku z tym konieczności największej kary — samozagłady.

Z dzieła Z. Wojciechowskiego „Polska a Niemcy“ (Poznań, 1945) widzimy, że te same rysy, jakie świat miał nieszczęście obserwować u Niemców w ciągu niekończących się lat wojny, znajdowały się w ich duszy od zamierzonej przeszłości i ujawniały się nie tylko wtedy, gdy ich zachłanność napotykała sprzeciw, lecz nawet wtedy, gdy należało tylko przypuszczać, że musi się on wykazać. Margrabia Gero, postawiony na straży wschodnich granic Niemiec przez wyjeżdżającego do Włoch na koronację Ottona, w dbałości o interesy państwa niemieckiego otrął w swym zamku 30 książąt słowiańskich, zaproszonych na ucztę. W sto kilkanaście lat potem Henryk V, pragnąc znaleźć pretekst do wtrącania się w sprawę Polski, zażądał od Bolesława Krzywoustego, by oddał połowę królestwa swemu przyrodniemu bratu Zbigniewowi i uznał nad sobą zwierzchność Niemiec. Otrzymawszy pełną godność odmowną odpowiedź Krzywoustego,

wkroczył do Polski i obległ Głogów. Już wtedy, w początku XII w. przodkowie współczesnych Niemców, dążąc za wszelką cenę do zwycięstwa, uznali za słuszną przywiązać do maszyn oblężniczych zakładników, wśród których znajdował się syn dowódcy załogi. W 1944 r., a więc w osiem z górą wieków potem, ich potomkowie pędzili w Warszawie przed „pantarami” i „tygrysami” grupy bezbronnych kobiet, mężczyzn, a nawet dzieci, wyrwanych z mieszkań lub ściągniętych z ulic. W ciągu tak długiego czasu nie zmieniły się ich zapatrywania na środki prowadzenia wojny, a kultura wewnętrzna pozostała również na tym samym poziomie.

Nie możemy pominąć Krzyżaków, duchowych ojców buty i zachłanności pruskiej. O nich mówi Treitschke (dane Foerster), że gdy urządzali na cześć znakomitych gości wyprawy myśliwskie na Litwę, całe wsie w dym obracali, a ludność ciągnęli jak psy na postronkach. W „Krzyżakach” Sienkiewicza w rozmowie jednego z komturów z rycerzem de Lorche, na pełne zdumienia i grozy pytanie: „Jako, więc w czasie pokoju napadliście na niewiasty i na księcia, który na własnej ziemi zamek budował?” padła odpowiedź: „Dla chwały Zakonu i chrześcijaństwa nie masz bezpiecznych uczynków”. „A ów straszny rycerz, jako za młodą małżonkę pomsty szuka, zabiją przez was w czasie pokoju?” — „Kto przeciw Krzyżakowi rękę podnosi, synem ciemnoty jest” — padły słowa z ust mnicha. Równą pychę i okrucieństwem brzmią słowa Niemca, wypowiedziane po masakrze w Wawrze w 1940 r. do wdowy po jednym z zabitych, gdy zwróciła się do niego z prośbą o wydanie zwłok niewinnie zamordowanego męża: „Kto na Niemca rękę podnosi, nie zasługuje na chrześcijański pogrzeb” — i odmówił.

Przekonywaliśmy się ustawicznie, że możliwości rozwojowe poszły po linii fałszu i okrucieństwa połączonego z sadyzmem. W czasie tej wojny — Niemcy przyjmowali w obozach swych znakomitych gości w ten sam sposób, jak przed kilku wiekami Krzyżacy. Wielcy dygnitarze, Himmler przede wszystkim, nie tylko byli świadkami scen mroźnych krew, lecz czynny w nich przyjmowali udział. Nie przesadzimy chyba, utrzymując, że pod względem okrucieństwa i metod męczenia swych ofiar uczniowie czy naśladowcy Krzyżaków pozostawili daleko za sobą mistrzów, na których się wzorowali.

Francuz de Pange utrzymuje, że tradycje krzyżackie żyły wśród pokolenia niemieckich dowódców wojskowych, i dla potwierdzenia tego poglądu rysuje sylwetkę generała Hässlera, który na wiele lat przed pierwszą wielką wojną był komendantem wojskowym Lotaryngii: „Miał twarz mnicha i prowadził życie godne mnicha. Jedyna izba, jaką zajmował, przy-

pominała celę zakonnika. Na pułapie była narysowana mapa zachodnich ziem kresowych i generał, leżąc na łóżku polowym, mógł rozmyślać o przyszłych bitwach. W 1893 r. powiedział: „Cywilizacja nasza musi budować swą świątynię na górach trupów, oceanie łez i rzeźni niezliczonych mas ludzi umierających”. Czyż nie stwierdziliśmy, że istotnie Niemcy wczoraj budowali ją w ten sposób?

W czasie ubiegłej wojny Niemcy obracali celowo przestrzenie między Arras i Soisson — wspaniałe, żyzne pola — w martwą pustynię. „Dzień po dniu gorzała ze wszystkich stron ciemna łuna płomieni, a olbrzymie żałobne chorągwie dymu powiewały nad okolicą”. Wszyscy mamy jeszcze w oczach pożary, towarzyszące bombardowaniu getta w r. 1943, krwawe łuny otaczające nieomal pierścieniem Warszawę w czasie powstania, ruiny i nagie szkielety domów, jakie znaleźliśmy po ucieczce Niemców.

Niemiecka literatura apologetyczna, wyrazić cięła niemieckiego szowinizmu, stała na stanowisku, a tam, gdzie chodzi o życie choćby jednego żołnierza niemieckiego dozwolony jest wszelki terror i niszczenie miast, że kto miałby np. możliwość zniszczenia całego Londynu, czyniąc to postąpiłby humanitarniej, niż gdyby pozwolił, aby choć jeden jego rodak miał paść na polu walki, gdyż taka radykalna kuracja niewątpliwie doprowadziłaby najrychlej do pokoju. Tego rodzaju stanowisko usprawiedliwia całkowicie, oczywiście w ich tylko przekonaniu, stosunek Niemców do Belgii, jako państwa oraz okrucieństwa i pastwienie się nad bezbronnymi mieszkańcami. W Polsce w ciągu bez mała sześciu lat ostatniej wojny okrucieństwa były zjawiskiem dnia codziennego i mamy smutne prawo powiedzieć, że godziły one w całokształt naszego życia.

Zdanie, że człowiek kryje w duszy straszliwego szatana, który szaleje, gdy pęta jego opadną — wypowiedział E. M. Arndt, niemiecki uczonec, polityk, literat i poeta, który mając 90 lat z górą zmarł w drugiej połowie XIX w. Pisał on dużo, urabiając duszę narodu niemieckiego na modłę pruskiego ideału. Niemców uważa za naród „wybrany”; czystość rasy — jego zdaniem — jest największą zaletą, wojna — rzeczą świętą (cytuje za Studencim). Z biegiem lat Arndt staje się zwiastunem polityki morskiej i kolonialnej Wilhelma II, domaga się aneksji Belgii i walki z polskością, tworzy powiedzenie, które tak często słyszeliśmy ostatnimi laty: „Dem Deutschen fëhlt es an Raum in der Welt”, przeklina humanitaryzm i kosmopolityzm. Nienawisć jego zdaniem jest tak samo niezbędna i naturalna, jak samo życie. Przede wszystkim pragnie jej, „mocnej i trwałej”, w stosunku do Francuzów — na długo, na zawsze. Niech się ona rozpal, „niech stanie się religią narodu niemieckiego!”.

Kosztom strasznego doświadczenia stwierdziliśmy, że naród niemiecki jest fałszywy, chytliwy i przewrotny. Jak to widać z Brunatnej Księgi — dzieła zbiorowego wydanego w 1934 r., omawiającego podpalenie Reichstagu i terror hitlerowski — okrucieństwo charakteryzuje rządy niemieckie od chwili objęcia władzy przez Führera. W r. 1933 ogłoszony został urządowy „regulamin chłosty“ S. A. za przynależność do partii wrogich hitleryzmowi; zwykle nałożenie na nich podlegało karze 30 uderzeń pałką gumową po obnażonym ciele (członków komitetów partyjnych karano 40 uderzeniami). Jeśli dany osobnik pełnił funkcje polityczne lub związkowe, wpływało to na podwyższenie kary. Działacze obozów przeciwnych poddawano torturom, np. biciu stalowymi różgami, następnie zaś, gdy pobity wracał do przytomności, stosowano tortury moralne, inscenizując przygotowania do rozstrzelania; ciągnęło się to nieraz przez kilka dni. Stosowano także tortury kombinowane: wlewano np. do żołądka ofiary pół litra oleju rycynowego i bito ją różgami ze stali — po czym, bez kubka wody, bez opatrunku i bez jakiegokolwiek pomocy, wrzucano do piwnicy.

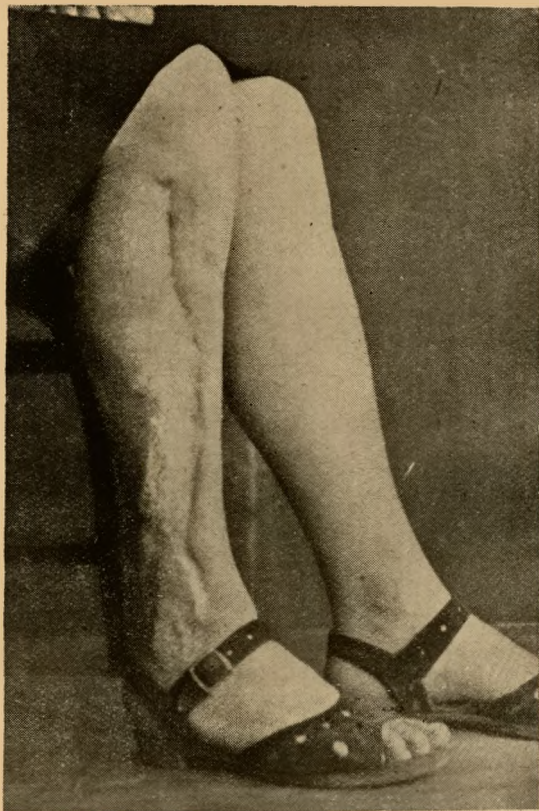
W siedzibach S.A. i w obozach, które wzięły do 40.000 obywateli, już wtedy przeciwnicy Hitlera ginęli na skutek tortur. Artur Mayer („Kuźnica“, 1.VI. r. 1945) podaje, że w okresie objęcia władzy przez Hitlera partia narodowo - socjalistyczna rekrutowała się z elementów, najniższej stojących pod względem etyki, jak kryminalni przestępcy i sutenerzy; w połowie 1933 r. wyszła nawet ustawa, zabraniająca komukolwiek z partii wypominać przeszłość.

Okrucieństwa hitleryzmu są w obecnej chwili zjawiskiem, niewymownie trudnym do opisanie. Gdy jedno z nich odpowiada raczej psychice dzikiego jaskiniowca, inne — wyrafinowane i subtelne — świadczą, że ten co je wymyślił oraz ten, co je stosował, odznaczał się smakiem przemyślnie wybrednym. Nie jest naszym celem opisywanie męczarni i okrucieństw, jakimi niemiecki okupant dręczył bezbronną ludność, gdyż w wielu obszernych publikacjach są one opisane dokładnie (m. in. zwracamy uwagę na Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, tom I, 1945 r., jak również na „Dokumenty zbrodni i męczeństwa“, Wydawnictwa Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie, nr 1). Specjalną kategorię okrucieństw stanowiły tzw. zbrodnie lekarskie; były to doświadczenia czynione na więźniach, pełniących rolę doświadczalnych świnek morskich czy królików. W obozie w Ravensbrück poddawano masowo kobiety (było ich z górą 70) eksperymentom, połączonym z poważnymi operacjami, celem wypróbowania — jak się zdaje — działania jakichś środków lekarskich na bardzo złośliwe drobnoustroje cho-

robotwórcze, wprowadzane poprzednio do krwi nieszczęsnych ofiar. Kilka z tych kobiet, po uwolnieniu z obozu, badano w Warszawskim Zakładzie Medycyny Sądowej.

W krótkich słowach opiszę dzieje jednej z nich w obozie. Jest to młoda kobieta, która od września 1941 do wiosny 1945 r. przebywała w Ravensbrück. W połowie sierpnia 1942 r., w okresie, gdy była zupełnie zdrowa, zrobiono jej jakąś iniekcję w prawe udo. Doznała uczucia oszołomienia i dostała torsji. Zrobiono jej następnie iniekcję dożylną w lewą rękę — wkrótce potem straciła przytomność. Obudził ją w nocy silny ból w nodze. Była w szpitalu. Noga od kostki do kolana była w gipsie, temperatura sięgała 40°, następnie nieco spadła. Opatrunki, jakie jej robiono, były bardzo bolesne. W ten sposób męczyła się przeszło trzy tygodnie, po czym zrobiono jej ponownie jakąś operację. I tym razem temperatura była wysoka. Ze spuchniętej nogi ciekła obficie cuchnąca ropa. Ropienie ustało dopiero po 10 miesiącach; w czerwcu 1943 r. ciepłota doszła do normy i młoda kobieta zaczęła wreszcie chodzić. Z dobrodziejstwa nóg niedługo dane jej było się cieszyć. Zwyródniiali „naukowcy“ operowali ją ponownie w sierpniu. Obudziwszy się po narkozie stwierdziła, że tym razem obie jej dolne kończyny są zabandażowane aż do pachwin. Otrzymała i tym razem jakieś iniekcje, po których ciepłota jej podnosiła się do 40°, na co w szpitalu nie zwracano najmniejszej uwagi. W parę tygodni później otworzono jej ranę w lewej nodze i wyjęto kawałek kości. Ropa ciekła obficie w ciągu kilku tygodni. Następnie, po upływie nowych kilku tygodni, wyjęto jej z prawej nogi kawałek kości. Od tej chwili leżała w łóżku około pół roku. Wcześniej wstać nie mogła z powodu silnych bólów przy próbach chodzenia. W ten sposób ta młoda kobieta, jedynie tylko dla zadowolenia fantazji „naukowych“ zwyródniałych pseudo-lekarzy, była przykuta do łóżka w ciągu długich miesięcy. W chwili badania w Warszawie, w trzy z górą lata po pierwszej operacji, męczeński „królik doświadczalny“ czuł jeszcze niemal przy każdym kroku ból w nogach i utykał przy chodzeniu (por. zdjęcia). Dodać należy, że często te doświadczenia, bardzo bolesne i groźne dla życia, prowadziły w ostatecznym wyniku wyędniałe ofiary do pieca krematoryjnego.

Jeszcze bardziej wyrafinowany był przypadek, dotyczący również młodej kobiety, której wycięto część przełyku (jak się zdaje, celem przeprowadzenia doświadczeń w związku z czynnością narządu trawienia). Utworzono połączenie środkowej części przełyku ze ścianą klatki piersiowej i przez lejek wlewano pokarmy, żołądek zaś podciągnięto do góry i przyszyto do tkanek pod powłokami brzuszными w ten sposób, że część żołądka znajduje się w klatce piersiowej, a jego reszta — w części



górnej jamy brzusznej. Obecnie osoba ta podczas przyjmowania pokarmów (może spożywać tylko płynne lub rozdrobione w postaci kaszki) musi zaciskać otwór na klatce piersiowej, aby pokarmy nie wylewały się na zewnątrz.

Na szeroką skalę prowadzono „doświadczenia“ lekarskie w X pawilonie w Oświęcimiu: dokonywano kastracji mężczyzn i kobiet, wycinano części macicy — rzekomo w związku z badaniami nad rakiem, sterylizowano za pomocą długich naświetlań promieniami Roentgena, co powodowało niepłodność, a bardzo często — rozległe bolesne parzenia tkanek i ciężkie stany wycieńczenia oraz śmierć. Dla zbadania wpływu niskich temperatur na organizm ludzki i wyszukania sposobów ratowania zmarzniętych, pogrążano więźniów w lodowatą wodę. Zastrzykiwano więźniom obu płci jakieś środki odurzające, działające ujemnie na pamięć, i badano ich wpływ na czynności psychiczne i układ nerwowy.

Bezwzględne okrucieństwo okazali Niemcy w stosunku do chorych umysłowo w Polsce w pierwszej niemal chwili po wtargnięciu do kraju. Masowo i szybko likwidowali szpitale, mordując chorych na miejscu lub w pobliskich lasach, albo też zagazowywali w samochodach.

H. Zinsser, autor bardzo ciekawej monografii o durze plamistym „Szczury, wszy i histo-

ria“ (przełożonej na język polski w 1939 r.) w rozdziale „Wiele o szczurach,“ nieco o myszach“ pisze: „Historia szczura w sposób tragiczny przypomina dzieje człowieka. Przede wszystkim szczur, tak samo jak człowiek, stał się wszystkożerny — pochlania, co się tylko nadarzy, a gdy głód go przycisnie, tak samo jak człowiek pożera swych współbraci. Gnane koniecznością, wędrowały ze wschodu na zachód i — w przeciwieństwie do tego, co widzimy u innych istot — stale z braćmi swymi wiodły wojnę. Szczur bury nieustannie i coraz energiczniej tępi szczura czarnego, tak, jak człowiek jednej rasy tępi inne. Pomiędzy sobą walczą zjadale, ale nie ma jeszcze między nimi różnic narodowościowych. Walki ich dotychczas są plemienne — podobnie jak było u ludzi, zanim wynaleziono narody. O ile szczur w dalszym ciągu będzie małpował człowieka, za jakie kilkaset lat powstaną może szczury francuskie, które będą pożerały szczury niemieckie, lub szczur narodowo - socjalistyczny rzucać się będzie na szczura komunistę albo Żyda. Przypuszczalnie jednak tak wysoki stopień kultury jest dla zwierzęcia niedościgły“. Tego rodzaju dygresje w książce poważnej i cennej, napisanej przez autora wyróżniającego się humorem, ironią oraz entuzjazmem i zdolnego do nut rzewnych, w normalnych warunkach należało by może uznać za chęć podtrzymania słabnącej chwilami uwagi czytelnika. Dziś jednak, gdy stanęliśmy na stanowisku, że Niemcy hitlerowskie pośród narodów świata stanowią odrębną klasę, ze smutkiem stwierdzić musimy, że słowa te pod postacią paradoksu kryją myśl głęboką, dla gatunku *homo sapiens* mocno niepochlebłą.

Aczkolwiek Niemcy w ciągu długich wieków powoli i stopniowo dojrzewiali do przyjęcia i wchłonięcia ideałów hitlerowskich, niesłuszne i niesprawiedliwe byłoby twierdzenie, że naród cały uważał **credo** Hitlera za ideał, do którego należy dążyć wszelkimi drogami, a więc nawet po trupach tych, co nie wchodzą w skład „narodu panów“. Były silne głosy sprzeciwu. Świadczą o tym dokumenty Brunatnej Księgi, wymieniające surowe kary stosowane do przeciwników reżimu hitlerowskiego; świadczą obozy, gdzie poczynając od 1933 r. poddawano straszliwym torturom (nieznanym dotychczas nawet w Niemczech) tych, co mieli odwagę wyznawać i głosić przekonania odmienne; świadczą słowa samego Hansa Franka, wypowiedziane 22 stycznia 1941 r.: „Mamy ciągle jeszcze resztki fantazmów **humanitarności**“; świadczą wreszcie, do pewnego stopnia, niemal nieuchwytnie przejawy życia duchowego w Niemczech, których knebel cenzury nie zdołał ukryć.

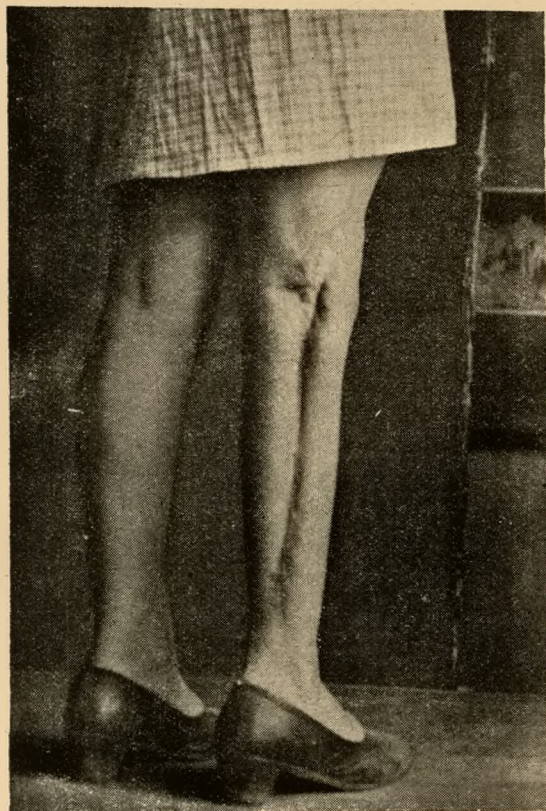
Choć w pismach, jakie nas dochodziły, czytaliśmy przeważnie słowa zachwyty nad sławą niemieckiego oręża, choć stale podkreśla-

ły one nadzwyczaj ofiarą postawę obywateli i samozaparcie tych, co na skutek nalotów nieprzyjaciela zostawali bez dachu nad głową, choć o stracie syna czy męża na froncie rodziny zawiadamiała „w dumnej żałobie” — z tych samych pism wiał niekiedy, zwłaszcza w późniejszych czasach, inny nastrój. Stwierdzić to było można zwłaszcza w utworach poetyckich zamieszczanych w pismach, w pierwszym rzędzie w „Reichu”. W ważnych dla narodu momentach poezja, zwłaszcza liryczna, może dużo powiedzieć o nastawieniu większych czy mniejszych grup, z którymi poetę spletały silniejsze więzy i których jest on jakby echem. W pierwszych latach wojny znajdowaliśmy dość często przeciętnej wartości panegiriki na cześć Hitlera. Z wierszy na ogół biła buta, niekiedy dzika radość, zwykle entuzjazm, czasem groźby, rzucane wrogowi. Wiosną 1943 r. zaczynamy wyczuwać inne nuty: ton wierszy, pisanych do rodaków, brzmi czasem gniewem, jest niekiedy ostry. Często ma się wrażenie, że utwór jest odpowiedzią na wypowiedzaną krytykę lub wyrażone niezadowolone. Wiersze z frontu stale tchną wiarą w zwycięstwo. Nawet, gdy drgają smutkiem z powodu śmierci kochanego towarzysza broni, kończą się zapewnieniem, że drogi umarły zostanie pomszczony. Nieraz wiersze te są do pewnego stopnia „poświęcone wrogowi”, do którego autor zwraca się czasem brutalnie.

*

Jak i czym objaśnić te zbrodnie, popełniane masowo przez przedstawicieli „wybranego narodu”? Najprościej, zdaje się, było by tłumaczyć je dziedzictwem ducha krzyżackiego, głęboko tkwiącego korzeniami w Prusactwie. Lecz tylko Bismarck jest prawym jego dzieciem. Ani Arnd, ani Häsel, czy inni apologety okrucieństw, ani sam Hitler — „to ostatnie zwycięstwo Prusactwa nad duszą niemiecką, a równocześnie Wilhelm II szarego człowieka” — nie byli Prusakami. Poza tym już w końcu XIX w. pismo „Grenzboten” (Foerster) ogłasza następujące wytyczne polityki niemieckiej: „Jeśli dobro naszej ojczyzny wymagało zdobycia, ujarzżenia, wyparcia lub zniszczenia innych narodów, nie powinny nas od tego powstrzymywać żadne skrupuły chrześcijańskie ani humanitarne”.

Spróbujmy sprawę, która nas interesuje, przerzucić na szersze tory podstaw biologicznych. Aczkolwiek nie jesteśmy jeszcze dostatecznie upoważnieni do ścisłego stosowania praw Mendla do człowieka, zwłaszcza do cech psychicznych, na których rozwój wpływa bardzo wiele czynników, możemy jednak przypuszczać, że dziedziczenie ich podlega tym samym prawom, jakie rządzą dziedziczeniem cech morfologicznych. W drugim dziesiętku XX w. angielski lekarz Goryng stanął na stanowisku, że ujemne „skłonności dziedziczą się,



jak upośledzenie fizyczne i umysłowe (J. J. Bossowski: „Wiadomości z nauk kryminologicznych”, Poznań 1946), a Rath w tym samym czasie wypowiedział pogląd, że dyspozycje przestępcze przekazują się tak, jak cechy ustępujące (przypomnieć należy, że te cechy objawiają się u potomstwa tylko wtedy, gdy w stanie utajonym istnieją u obojga rodziców). O ile tak jest istotnie, choć oczywiście nie jest to dowiedzione, predyspozycje zbrodnicze muszą być w niemieckim narodzie bardzo rozpowszechnione od dawna, skoro doprowadziły do tak straszliwej przestępczości, jakiej dotychczas świat nie widział.

Do rozwoju wszelkich cech niezbędne są nie tylko same załączki; konieczne jest również działanie czynników zewnętrznych — w danym wypadku: specjalnych metod wychowawczych. Troskliwie hodowane były w narodzie tym przez długie wieki załączki zachłanności, fałszu, okrucieństwa itd., a gdy po 1870 r. wytworzył się — niemal nagle — stan wyjątkowo korzystny dla wszczęcia w naród przekonania, że pięść niemiecka winna panować nad prawami ogólnoludzkimi, poczęły się one rozwijać tak potężnie, że zagłuszyły wszelkie szlachetniejsze przejawy ducha.

Jak Italia, gdzie sprzężenie czynników wewnętrznych z korzystnymi czynnikami zewnętrznymi (zwłaszcza bliskość morza i łatwość stykania się z cudzoziemcami) sprzyjało

rozwojowi talentów i uzdolnień, dała w okresie Odrodzenia więcej mistrzów pędzla, dłuta i pióra oraz uczonych światowej sławy, niż jakikolwiek inny naród — tak w Niemczech, gdzie od wieków hodowano kwiaty trujące, gdy kraj ten poczuł swą siłę, ukryte i przyczajone ciemne moce powołały do życia wielkie zastępy tych, których mała część tylko zasiada na ławie oskarżonych w Norymberdze. Mówię „mała część“, — zdaniem amerykańskiego prokuratora Jacksona powinno ich być w stanie oskarżenia powyżej miliona.

Jaki sąd należy wydać o szarym człowieku, tym przeciętnym, na którym w normalnych warunkach spoczywa ciężar pracy wykonawczej z jej odpowiedzialnością, i który jest śrubą czy sprężyną, niezbędną do sprawnego funkcjonowania całości? Myślę, że przeciętny Niemiec ma właśnie, zaznaczony wyraźniej, niż to jest regułą, większy pociąg do zła, niż do dobrego; ma on także anormalnie przerosłą sugestywność i gdy opętany przez wizję „narodu panów“ fanatyk złej sprawy, Hitler, szerzył swe trujące poglądy, posiew złego ziarna wschodził szybko. Muszę tu podkreślić, że zazwyczaj wtedy łatwo ulegamy sugestii, gdy jej myśl odpowiada naszej podświadomości — w przeciwnych warunkach znacznie łatwiej możemy się oprzeć. Zrozumiałe jest, że wychowanie w duchu Führera odnosi pożądany skutek, że trujące kwiaty przynoszą zabójcze owoce.

O Hitlerze dziś już możemy chyba powiedzieć, że należał on do tych strasznych ludzi, co, pozornie zdrowi, kryją w sobie groźne zwyrodnienie, niebezpieczne szaleństwo. Są to osobniki, cierpiące na obłąd pierwotny (paranoia). Pod innymi względami normalni, niekiedy nawet wysoce uzdolnieni, mają oni jakąś myśl urojoną, pogląd fałszywy i, co się z tym łączy, założenie błędne. O ile inteligencja ich na to pozwala, rozumować mogą bez zarzutu i temu, kto bezkrytycznie uwierzy w słuszność ich założenia, to co mówią wydawać się może logiczne i słuszne. W prywatnym życiu ludzie tego typu potrafią siebie i swych najbliższych doprowadzić do niesławnej ruiny ustawicznymi procesami, które muszą przegrać. O ile są bezwzględni, zachłanni i okrutni — tam, gdzie sąd nie uzna ich racji, nieraz sami wymierzają sobie „sprawiedliwość“.

Do tego więc typu należał Hitler. Zły i okrutny, fanatyk fałszywej idei wyższości narodu niemieckiego, w poczuciu strasliwej krzywdy, jaką — jego zdaniem — Traktat Wersalski wyrządził jego ojczyźnie, zaczyna cierpieć na kompleks niższości. Gdy w duszy osobnika, odczuwającego ten kompleks, istnieją szlachetne pierwiastki — kieruje on całą siłą woli, by, idąc po ich drodze, istotnie móc go stłumić. Gdy ich nie ma, osobnik widzi tylko swój własny, często źle pojęty interes i swą

rzekomą krzywdę — zachłanność wszak zaślepia, a silna wola na usługach zła może spowodować w życiu prywatnym czy publicznym potworną katastrofę.

Bjornson mówi, że istnienie ludzi o głębokiej kulturze i o słabej woli oraz innych o silnej woli i słabej kulturze jest przekleństwem czy klęską ludzkości. „Wielkie bogactwo życia wewnętrznego czyni, że człowiek wie, widzi, czuje i myśli nazbyt wiele, by móc z nieugiętą wolą decydować się i chcieć niezłomnie. Często wobec tego poddaje się woli człowieka silnego, lecz pozbawionego głębszej kultury. Czyni to, żeby się pozbyć wewnętrznego niepokoju“ (Foerster).

Ze wszystkich państw niemieckich, wchodzących w skład Rzeszy, Prusy posiadają najniższą kulturę: Prusacy są poza tym obarczeni dziedziczością zachłanności krzyżackiej i ich okrucieństwa, są zdyscyplinowani i stanowią siłę. Goebbels, mówiąc „jesteśmy Prusakami, choćbyśmy byli Bawarczykami czy Württembergczykami, gdziekolwiek jesteśmy, wszędzie są Prusy“, narzuca narodowi niemieckiemu autorytet Prus. Mniej kulturalnym gromadom to odpowiada, elita duchowa częściowo tylko jest w stanie się przeciwstawić, większość poddaje się silnej woli.

W szóstym dziesiątku zeszłego wieku pisarz Bollman głosił, że „Niemcy mogą być ocalone tylko pod warunkiem, że zjawi się władca zdolny do reform i czynu wojennego, który dobro narodu będzie uważał za święte, wobec zagrożeń nie będzie znał werności ani wiarołomstwa, honoru ani hańby, lecz tylko wielkość, jedność i niezależność ojczyzny“ (Foerster). Możemy więc powiedzieć, że grunt od dawna był przygotowany dla Hitlera, który, o ile zacieśnimy do karykatury pojęcie „naród“ w zdaniu Bollmana, odpowiada wyśnionemu przez niego ideałowi władcy.

Potrzebne są nam jeszcze pewne szczegóły, dotyczące psychologii narodu niemieckiego, dla wyprowadzenia ostatecznych wniosków. Sięgnijmy po nie do ciekawej pracy S. M. Studenckiego „Psychologia porównawcza narodów“, w której autor podaje treściwie poglądy R. M. Freienfelsa, wypowiedziane niedawno, bo około 1930 r. Freienfels szuka ducha niemieckiego w przejawach jego kultury, rozpatrując je i badając od najdawniejszych czasów. W ten sposób chce ustalić typ Niemca. Zdaje się widzieć ciągłość linii rozwojowej w przebiegu wieków aż do czasów Bismarcka. W tym okresie linia ta zaczyna się rwać, Niemiec przeistacza się w groteskową, nie miłą postać żołdaka pruskiego. By zmianę tę wyjaśnić, autor szuka ratunku w teorii wiedeńskiego psycho - analityka Adlera o niepełnowartościowości i nadkompensacji. Adler zwrócił uwagę na zjawisko, że ludzie, dotknię-

ci pewnymi niedoborami, potrafią niekiedy — dzięki silnej woli — nie tylko je wyrównać, lecz nawet osiągnąć wyniki wyższe, niż ci, co danej wady nie posiadają. Zjawisko to, zwane nadkompensacją, możemy obserwować w rozmaitym stopniu dość często w życiu codziennym, zwłaszcza wśród ludzi kulturalnych, obdarzonych silną wolą i zdolnych do samokrytyki.

Zdaniem Freienfelsa, sprusaczenie Niemca jest dowodem nadkompensacji. Z natury rzekomo romantyk, indywidualista, nie zdolny do ujarzmienia samego siebie i mniej, niż inni skłonny do życia zbiorowego — zdobywa się on na opanowanie tego, co mu przeszkadza w jego rozwoju i ekspansji. Nadkompensacja wyrabiała się w duszy narodu powoli, stopniowo; wyrazem jej jest pruski militarizm. Zdobyć pod przewodnictwem Prus światową, do którego Niemcy duchowo nie dojrżeli, wymagało dużego napięcia woli. Zmiany, dotyczące zarówno strony materialnej (raptowny krok ku bogactwu po zwycięskiej wojnie 1870 r.), jak i poczucie własnej siły, były tak gwałtowne, że wstrząsnęły i można by rzec, zmieniły psychikę Niemca. Nie stało już w niej miejsca na indywidualizm, myśliciel i poeta nie znajdowali posłuchu w narodzie techników i żołnierzy, a w polityce pięść zaczęła górować nad prawem. Niemiec, do niedawna nie zdolny do dyscypliny, dzięki nadkompensacji ugiął kark dobrowolnie i czuje się z tym dobrze. Życie ujęte w rozkazy nie jest dla niego ciężkie, nie odczuwa jego stron ujemnych dzięki dobrowolnie przyjętemu przymusowi, a partie najbardziej zdyscyplinowane, socjal - demokracja i prawica narodowa, mają najwięcej zwolenników.

Na specjalną uwagę zasługuje pogląd Freienfelsa, że „żaden inny naród nie wykazuje takiej uległości w stosunku do swych wielkich ludzi, jak naród niemiecki. Niezwykła gotowość, łatwość poddawania się cudzemu przewodzeniu stała się przyczyną słabości i niesamodzielnosci narodu niemieckiego. Być może, dusza Niemca zawiera w sobie więcej sprzeczności, niejasności i niejednorodności, niż dusza innych narodów, lecz zawiera też więcej możliwości przyszłego rozwoju. Niemiec jeszcze „nie jest gotowy, lecz staje się“. Przed chwilą specjalnie podkreśliłam słowa Freienfelsa o niezwykłej gotowości i łatwości narodu niemieckiego do poddawania się cudzemu prowadzeniu, co stało się przyczyną jego słabości; teraz pozwolimy sobie uzupełnić jego zdanie o narodzie niemieckim, że jaskrawiej niż jakikolwiek inny wykazuje uległość wobec swych „wielkich ludzi“ i fałszywych proroków.

Z tego, cośmy tu powiedzieli, oraz z tego, cośmy wszyscy mieli nieszczęście obserwować, wynika, że poziom etyczny Niemców, od



długich wieków niezadawalający, w ciągu wielu dziesiątków lat stale się obniżał. Gorliwie nad tym pracowali wychowawcy wódzów narodu: Arndt, którego już znamy, duchowe jego dzieci — kierownicy i redaktorzy pism w rodzaju „Grenzbote“, „bohaterzy“ narodu: Hässler, Bismarck, pisarz Bollman itd., którzy przygotowali grunt dla okrucieństw pierwszej Wielkiej Wojny. Hitleryzm doprowadził następnie naród niemiecki do tak wybitnego upadku moralnego, że musimy go już nazwać moralnym otępieniem. Osobniki tego typu — w normalnych warunkach, na szczęście, rzadkie — o ile brak im hamulców, które by powstrzymywały ich społeczne instynkty, wchodzą w konflikt z prawem i nieraz przez długie lata pokutują za swe winy. Hitleryzm, dając legalne ujście chciwości i rozpetanym instynktom krwiożerczym, nie tylko rozgrzeszał, lecz faworyzował zbrodnie, dla których wytwarzał sprzyjającą atmosferę, a nakładając pęta swobodnej myśli, obniżał poziom umysłowy społeczeństwa. Jeśli „szkoła“ tego rodzaju wykazała swój straszliwy wpływ na dorosłych, zarówno na mężczyzn jak i na kobiety (które w obozach słyszeły z okrucieństwa nie mniejszego niż mężczyźni, które nosiły torebki z tatuowanej skóry ludzkiej i nadawały zaciszny ton mieszkaniom, gdzie łagodne światło sączyło się przez abażury specjalnie spreparowane ze skóry zamordowanych więźniów; które potrafiły spać na materacach, wypchanych nie włosiem, lecz włosami zagazowanych ofiar)—to cóż można powiedzieć o wpływie tego nastawienia na dziecko? Dziecko — to płyta fotograficzna, co niedostrzegalnie dla otoczenia chwytą wrażenia, utrwała i w odpowiedniej chwili odtwarza. Skłonność dziecka do naśladownictwa i jego sugestywność stanowią w odpowiednich warunkach wielkie atuty wychowawcze. Lecz tu tak bezcenne dla sprawy wychowania walory oddane są na usługę zła. Wiemy, że dygnitarze niemieccy w obecności swych dzieci strzelali do ludzi, zwłaszcza do Żydów. Prokurator Smirnow przedstawił Trybunałowi w Norymberdze 55.000 raportów radzieckiej komisji do badania przestępstw hitleryzmu, popełnionych na spokojnych obywatelach. Dowiadujemy się z nich, że podczas likwidacji getta lwowskiego wydawano małe dzieci w ręce Hitlerjugend, by się na nich wprawiała w strzelanie. W obozie w Janowie obersturmführer wydał rozkaz podrzucania w górę równocześnie dwojga czteroletnich dzieci i strzelał do nich z floweru. Jego dziewięcioletnia córka była świadkiem tej sceny. Może płakała, oczy zasłaniała ręką? Nie, dziewczynka w dłonie klaskała i prosiła tatusia: „Jeszcze, jeszcze!“ Sprowadzono więc nowe ofiary na arenę hitlerowskiego cyrku. Nie wątpię jed-

nak, że były i takie dzieci, co z przerażeniem i wstrętem odwracały się od podobnego widowiska. Tego rodzaju sceny stanowiły wspaniałe podłoże dla rozwoju u nich psychopatii, chorób nerwowych i umysłowych.

W związku z tym wszystkim wydaje nam się, że psychika Niemca nieprędko zmieni się na lepsze, skoro dziecko jego, przyszłość narodu, od kolebki nieomal jest odżywiane pokarmem jadowitym. Dlatego też zdaje mi się, że daleka jest chwila, w której Niemcy zasiądą razem z innymi narodami do wspólnej pracy dla ogólnego dobra. Jednak sprawa ta nie jest przesądzona. Jeśli Freienfels się nie myli, jeśli naród niemiecki odznacza się istotnie znacznie większą, niż inne narody sugestywnością, „niezwykłą gotowością i łatwością poddawania się cudzym wpływom“, jeśli dusza Niemca posiada istotnie więcej, niż inne narody możliwości przyszłego rozwoju — to może jednak Niemiec, który (jak twierdzi Freienfels) „nie jest jeszcze gotowy, lecz staje się“, pod kierunkiem i wpływem wychowawczym innych narodów, krokami szybszymi, niż obecnie mamy prawo przypuszczać, będzie podążał, by zbliżyć się do tych, co pracują dla braterstwa ludów.

Jeszcze tylko maleńka dygresja w związku z podkreślaną przez Freienfela sugestywnością Niemca. Nawet człowiek dojrzały, w pełni sił psychicznych, w rozmaitych warunkach — zależnie od nastawienia uczuciowego przede wszystkim — poddaje się nieraz wpływom zewnętrznym; jednak rozporządza on zazwyczaj odpowiednią dawką krytycyzmu i woli, by być w stanie oprzeć się wpływom wyraźnie ujemnym. Przed osiągnięciem wieku młodzieńczego dziecko przeżywa dwukrotnie okres wzmożonej sugestywności: w wieku przedszkolnym, albo i w pierwszych czasach nauki, następnie w okresie dojrzewania, gdy towarzyszy jej wybitne nieraz obniżenie zdolności i inteligencji, zwykle na szczęście przemijające. Obniżenie to dotyczy zarówno kojarzeń, które odznaczają się ubóstwem, jak i uwagi, pamięci oraz zdolności wyciągania wniosków, itd. Po tym okresie, który przechodzi nieomal zawsze młodzież obu płci, a który trwa dłużej lub krócej i bywa wyraźniej lub słabiej zaznaczony, następuje wiek młodości — prawdziwa wiosna, rozkwit uzdolnień i talentów. O ile zatem Niemcy znacznie bardziej niż inne narody wykazują sugestywność, świadczyć to może, że jako naród nie osiągnęli jeszcze tego szczybla rozwoju, na jakim już od dawna znajdują się narody inne, albo — co jest mniej prawdopodobne — że jest to naród psychicznie lub nerwowo chory: wzmożoną sugestywność spotykamy w tych schorzeniach dość często.

ARTYKUŁ (niepoważny) O PLANECIE ZIEMI I O LUDZIACH JĄ ZAMIESZKUJĄCYCH

WYJAŚNIAJĄCY:

*Jak wpływać na ruchy
ziemi i gwiazd? Jak two-
rzyć nowe księżyce? Jak
skracać i wydłużać pory
roku? Jak zmieniać do-
wolnie wagę swego ciała
lub przekształcać go
w meteor? Jak wykorzy-
stać obrót ziemi dla celów
wojennych? Jak powtó-
rzyć cud Mojżesza z roz-
stąpieniem się morza? Jak
uczynić wieczną wiosnę?*

WŁODZIMIERZ ZONN

Wszechświat posiada
ustrój doskonale
„demokratyczny“.

Jego prawa obowiązują wszystkich bez żadnych zastrzeżeń, odchyłeń, odroczeń i amnestyj. Kamień, rzucony przez chłopca i planeta podlegają jednakowemu prawu ruchu, i w myśl tego prawa kamień tłucze szybę a planeta krąży dalej, nie czyniąc nikomu zła. Podobnie też w doskonale demokratycznym państwie jedni trafiają za kratę wtedy, gdy inni dochodzą do zaszczytów i dobrobytu. Na zasadzie tych samych praw.

W tym ustroju każde ciało powinno się „czuć“ jednako-wo. Każdy z nas ma prawo uważać swoje ciało za ciało niebieskie. Nawet za coś jeszcze lepszego, ponieważ człowiek ma jeszcze przywilej dokonywania zamiany energii chemicznej swego ciała w energię mechaniczną **podług swojej woli**; przywilej, którego nie mają ciała niebieskie.



*Prawa kosmosu
obowiązują wszystkich*

Dzięki temu przywilejowi może w każdej chwili poruszyć Ziemię, Księżyc, Słońce, planety i gwiazdy.

*

Wiemy, że środek mas dwóch ciał ma zawsze jednakowe położenie (o ile na te ciała nie działają siły zewnętrzne). Jeśli jedno z ciał oddali się od środka masy, drugie musi się również oddalić, tak, by środek mas pozostał w tym samym miejscu. W życiu codziennym ruch tego drugiego ciała nazywamy najczęściej odrzutem.

Człowiek, który podskoczy na powierzchni Ziemi, wywoła tym zjawisko odrzutu całej Ziemi. Podskakując z całej siły przesunie Ziemię o 10^{-19} milimetra (jedyńka na 19 miejscu po przecinku). Mała dziewczynka, bawiąca się skakanką, ciągle odsuwa i przesuwa Ziemię w stosunku do Słońca. Ta mała osoba zmienia kształt orbity ziemskiej. Zamiast biec po

elipsie, Ziemia (w czasie jej zabawy) porusza się po linii falistej, takiej, jak na ryc. 1.

Ta dziewczynka zmienia również położenie Księżyca. Przecież środek masy Księżyca i Ziemi jest również nieruchomy. Skoro Ziemia się przesunęła, musi też natychmiast przesunąć się Księżyc. Jego przesunięcie będzie większe, niż Ziemi (tyle razy, ile razy masa Księżyca jest mniejsza od masy Ziemi, czyli około 80 razy).

To samo ze Słońcem, z tym tylko, że przesunięcia Słońca będą znacznie mniejsze, niż przesunięcia Ziemi, ponieważ masa Słońca jest 300.000 razy większa od masy Ziemi. Każdemu zaś przesunięciu Słońca będą towarzyszyły przesunięcia wszystkich planet, które dokoła niego krążą, ponieważ w układach Słońce — planeta obowiązuje ta sama zasada niezmienności położenia środka masy.

Gwiazdy również tworzą układy, związane ze sobą siłami grawitacyjnymi. To znaczy, że przesunięcie jednej z nich (w naszym przypadku — Słońca) wywoła mniejsze lub większe przesunięcia wszystkich gwiazd, tworzących dane zgrupowanie. Mała dziewczynka wywoła więc przesunięcie gwiazd w całej Galaktyce...

Te przesunięcia są jednak po pierwsze bardzo nieznaczne, po drugie są chwilowe. W momencie, gdy dziewczynka dotyka nogami Ziemi, wszystko wraca do pierwotnego stanu rzeczy, Ziemia, Księżyc, Słońce, planety i gwiazdy.

Aby te przesunięcia uczynić większymi i trwałymi, trzeba po pierwsze operować dużymi masami i dużymi prędkościami, po drugie robić to tak, by podrzucane ciała nie wracały na Ziemię. Wtedy wywołane zmiany będą trwałymi. Pierwszy warunek wymaga wielkich energii; obecnie, gdy staliśmy się gospodarzami energii atomowej, rzecz ta nie jest tak niedostępna, jakby się zdawało. Spełnienie drugiego warunku następuje wtedy, gdy prędkość wyrzucenia jakiegoś ciała jest większa od 12 km/sek. Rzecz wcale nie tak fantastyczna, zważywszy, że obecne pociski artyleryjskie mają prędkość kilku kilometrów na sekundę. Wyrzucane ciała nie będą wtedy wracały na Ziemię; staną się ciałami niebieskimi, księżycami Ziemi, krążącymi dokoła niej w większych lub mniejszych odległościach.

Chcąc zbliżyć Ziemię do Słońca, trzeba ustawić gdzieś w pobliżu równika ziemskiego działo i strzelać z niego o północy w kierunku przeciwnym, niż kierunek Ziemia - Słońce (to znaczy w kierunku bliskim do zenitu) (rys. 2). Sądzę, że wszyscy zechcą zbliżyć Ziemię do Słońca, a nie oddalić, bo wszyscy stale narzekają na zimno.

Chcąc średnią temperaturę Ziemi podnieść np. o 30° należy zbliżyć Ziemię o odcinek wynoszący około 20% obecnej odległości Ziemi



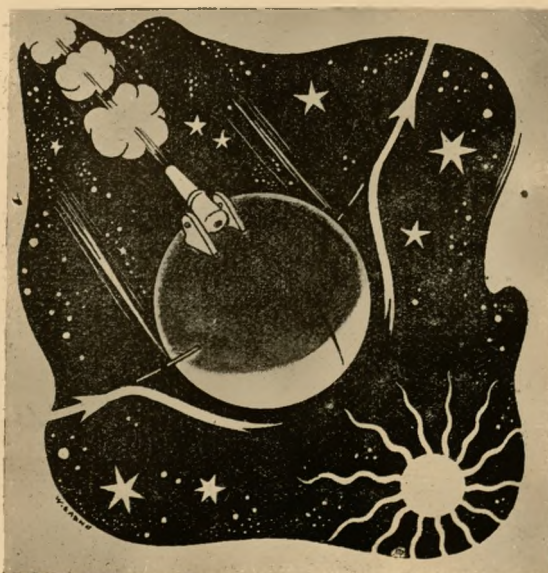
Mała dziewczynka skacząc, zmienia orbitę ziemską.

od Słońca. Znajdziemy się wtedy w dość bliskim sąsiedztwie Wenus.

Śniegi znikną z powierzchni Ziemi; trochę śniegu pozostanie jedynie w okolicach biegunów. Mieszkańcy okolic równikowych będą musieli niezwłocznie opuścić miejsce swego obecnego zamieszkania, jeśli nie chcą być żywcem usmażeni. Murzyni zamieszkają w Europie i Stanach Zjednoczonych; my, biali, będziemy musieli przenieść się w okolice podbiegunowe i tam zacząć nowe życie.

Rok nasz zmniejszy się wtedy o kilkadziesiąt dni. Pory roku będą znacznie szybciej na-

Strzelając z działa o północy z okolic równika w kierunku przeciwnym obiegowi Ziemi, zbliżamy Ziemię do Słońca.





Człowiek, biegnąc wzdłuż równika, może skracać bądź wydłużać dobę.

stępowały po sobie. Człowiek dwudziestoletni będzie jeszcze dorastającym chłopcem o głosie oscylującym między dyszkantem a basem. Wiekiem przeniesienia na emeryturę będzie chyba setka.

*

Możemy również według naszego gustu zmieniać szybkość obrotu Ziemi koło osi. Człowiek biegnący wzdłuż równika w kierunku z zachodu na wschód opóźnia nieco obrót Ziemi, ponieważ nogami swoimi popycha Ziemię w kierunku przeciwnym do jej obrotu (rys. 3). Gdyby biegł w kierunku ze wschodu na zachód — przyspieszałby obrót Ziemi. Najlepszy szybkobiegacz może przedłużyć lub skrócić dobę o $5 \cdot 10^{-24}$ sekundy (piątka na 24 miejscu po przecinku). Ale musi biec bez przerwy. Z chwilą, gdy będzie kończył swój bieg, hamując, przywróci początkowy stan rzeczy. I znów obrót będzie trwał dobę. Mnóstwo pociągów i statków, pędzących wzdłuż równika i równoleżników, może jeszcze bardziej skrócić lub wydłużyć dobę. Z chwilą jednak, gdy te pociągi i statki staną, obrót Ziemi wróci do swojej pierwotnej szybkości.

Chcąc wprowadzić trwałe zmiany w ruchu obrotowym Ziemi, trzeba szybkobiegacza i pociągi zastąpić pociskami, które po wyrzuceniu nie będą spadały na Ziemię. Będziemy wyrzucali je poziomo z prędkością nie mniejszą, niż 12 km/sek. Wtedy siła odrzutu powiększy lub zmniejszy szybkość obrotową Ziemi, zależnie od tego, czy będziemy strzelali w kierunku zachodnim, czy wschodnim.

Niedługo więc rada mężów stanu różnych krajów będzie obradowała nad tym, czy obrót Ziemi przyspieszyć, czy opóźnić.

Zwolennicy przyspieszenia obrotu Ziemi będą prawdopodobnie uzasadniali swoje żądania w sposób następujący: Skrócenie dnia i

nocy zmniejszy wybitnie dobowe wahania temperatur na całej powierzchni Ziemi. Mniej będzie chorych na przeziębienie. Zmniejszy się zużycie budynków i urządzeń, wystawionych na działanie czynników zewnętrznych. Ale to wszystko jest drobnostką wobec pewnych innych korzyści. Oto wskutek szybszego obrotu powiększy się, zwłaszcza na równiku, działanie siły odśrodkowej, która działa w kierunku przeciwnym do kierunku siły ciężkości. Wobec tego wszystkie ciała będą ważyły znacznie mniej, niż obecnie. To zmniejszenie ciężaru ciał w miarę, jak będziemy się przesuwali ku biegunom będzie coraz mniejsze; na samym biegunie ciężar ciał w ogóle nie ulegnie zmianie.

Obecnie, gdy czas obrotu Ziemi wynosi 24 godzin, wartość siły odśrodkowej na równiku wynosi około 0,4% siły ciężkości. Wartość tej siły odśrodkowej wzrasta proporcjonalnie do kwadratu prędkości; a więc jeśli skrócimy dobę np. 10 razy, siła odśrodkowa na równiku będzie stanowiła 40% siły ciężkości. To znaczy, że przy dobie trwającej $2\frac{1}{2}$ godz. ciała na równiku będą ważyły około 2 razy mniej, niż obecnie. Ciała znajdujące się na większych szerokościach geograficznych będą ważyły więcej, np. w Europie środkowej około $\frac{3}{4}$ obecnej wagi.

Każdy człowiek, według gustu, będzie mógł dobierać ciężar swego ciała, przenosząc się w okolice bliższe lub dalsze od równika.

Mężowie stanu zwrócą chyba uwagę na pewną rzecz niebezpieczną: proces przyspieszania obrotu Ziemi należy wykonać dość ostrożnie; nie wolno przekroczyć prędkości, przy której ciała na równiku przestałyby w ogóle ważyć. Czas trwania doby $1\frac{1}{2}$ godziny, jest tą szybkością graniczną. Przy dobie trwającej krócej, wszystkie ciała na równiku mają siłę odśrodkową większą, niż siła ciężkości; wobec tego samorzutnie wylatują w przestrzeń. W najlepszym przypadku zboczywszy trochę w swym locie, trafiają do okolic, leżących nieco dalej od równika (gdzie siła od-

Gdyby doba trwała mniej, niż $1\frac{1}{2}$ godz. — mieszkańcy równika zamieniliby się w meteory.



środkowa jest mniejsza, niż siła ciężkości) i lądują na głowy tubylców Europy i Ameryki północnej. W gorszym przypadku odlatują w przestrzeń bez nadziei powrotu. Stają się prawdziwymi ciałami niebieskimi (rys. 4 i 5). Niektórzy szczęśliwcy trafią na księżyc, jednak ogromna większość rozproszy się w przestrzeni międzyplanetarnej w charakterze meteorów.

Należy więc wybrać rodzaj komisji nad kontrolą ruchu Ziemi. Komisja ta ma zapobiec wykorzystaniu obrotu Ziemi dla celów wojennych. Istotnie, jakieś państwo leżące na północy i mające zatarg z krajem leżącym na równiku może pocichu ustawić gdzieś na równiku (na bezludnej wyspie) działo, strzelające bezustannie w kierunku zachodnim. Przyspieszając w ten sposób obrót Ziemi, może dojść do tego, że jego nieprzyjaciel, wraz z całym dobytkiem wyleci częściowo w przestrzeń, częściowo zaś na wrogie terytorium, gdzie na niego będą już czekały gotowe obozy koncentracyjne.

Oprócz tego inne „naturalne” przykrości spotkają ludzkość. Wskutek szybszego obrotu, kształt kuli ziemskiej ulegnie zmianie. Wprawdzie lądy jako twory stałe nie ulegną przekształceniu, natomiast powierzchnia wód przyjmie kształt elipsoidy obrotowej, znacznie silniej spłaszczonej, niż to jest obecnie. Okolice równikowe Ziemi (te właśnie, gdzie człowiek tak chciałby się dostać ze względu na wydatne zmniejszenie ciężaru swego ciała) znajdą się pod wodą. Morza i oceany zakryją całą Afrykę i Amerykę południową. W okolicach podbiegunowych nastąpi znaczne obniżenie poziomu wód, tak że zniknie Morze Północne, Bałtyk i Ocean Lodowaty. Dzisiejsze równiny stają się niesłychanie wysokimi płaskowyżami. Wierzchołki Tatr stęgają dwudziestu kilku kilometrów nad poziom morza.

Nie koniec na tym. W szerokościach geograficznych pośrednich, np. w Europie, kierunek pionu przestaje być prostopadły do powierzchni Ziemi (ściślej mówiąc do powierzchni lądów). Nowy kierunek pionu jest przecież wypadkową siłą ciężkości, która w dalszym ciągu jest skierowana do środka Ziemi i siły odśrodkowej, obecnie bardzo dużej (rys. 6). Ta wypadkowa nie jest już prostopadłą do powierzchni Ziemi.

Tak np., gdy czas obrotu Ziemi będzie wynosił $2\frac{1}{2}$ godz., kierunek pionu będzie tworzył w Europie kąt około 20° z kierunkiem prostopadłym do powierzchni lądów. To znaczy, że wszystkie istniejące budowle należy zwalić i wykonać nowe, pochylone pod odpowiednim kątem w kierunku północy (na półkuli północnej), a w kierunku południowym na półkuli południowej. Drzewa, szosy, pojazdy mechaniczne, wszystko to powinno stać „krzywo” (rys. 7). Przedmiot pozostawiony na gładkiej szosie

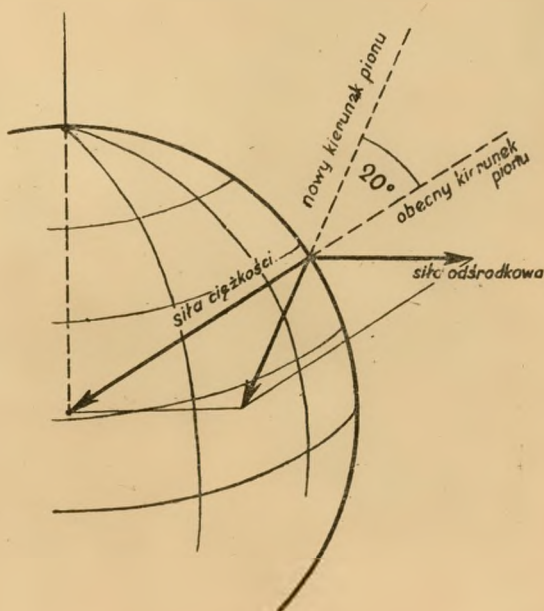


Naukowa ekspedycja do obozów koncentracyjnych (coś dla Niemców).

będzie samorzutnie pędził na południe; gdzieś w okolicy równika stworzy się coś w rodzaju składu rzeczy zagubionych, lub pozostawionych samych sobie (rys. 8). Ludzie mieszkający na gładkich równinach będą się czuli tak, jakby mieszkali na stoku górskim. W czasie ślizgawicy będą zjeżdżali na butach lub na siedzeniu wprost na równik. Podczas zimy olbrzymie lawiny będą pędziły z północy i południa w kierunku równika. Te wszystkie okropności przewyższają chyba znacznie korzyści, jakie by wynikły z przyspieszenia obrotu Ziemi. Sądzę, że z tego powodu wniosek o przyspieszenie obrotu Ziemi upadnie.

Znajdą się jednak i tacy, którzy będą chcieli zwolnić ruch obrotowy Ziemi. Szczególnie nęcącą rzeczą byłoby zrównanie doby z rukiem. Będziemy mieli wtedy na jednej półkuli Ziemi wieczny dzień, na drugiej — wieczną

Geofizyka na opak.



noc. Ludzie zechcieli-
by mieszkać oczywiście
na półkuli dzien-
nej, bo i ciepło i moż-
na całą dobę handlo-
wać. Na półkulę noc-
ną udaliby się tylko
złodzieje, zakochani i
astronomowie.

Wskutek tej zmiany
kształt Ziemi stanie
się bardziej zbliżony
do kuli, niż obecnie.
To znaczy, że na rów-
niku poziom wód ob-
niży się o jakieś dzie-
sięć kilometrów i tyle
samo mniej więcej
podniesie się na bie-
gunach. Innymi sło-
wy, woda zniknie wo-
góle z okolic rów-
nikowych. Nastąpi to,
co według stare-
go testamentu już
miało kiedyś miejsce
przy ucieczce Żydów
z Egiptu: morze rozstąpi
się i można będzie
przejść z Egiptu do Ameryki po dnie morskim.
Archipelag malajski zamieni się w łańcuch wy-
sokich gór. Znikną natomiast pod wodą Gren-
landia, Szpicbergen, Alaska i część Kanady.

Największą chyba tragedią będzie zupełne
pozbawienie okolic równikowych wody. Bę-
dą one jedną olbrzymią pustynią. Chyba, że
zaopatrzy się je w jakiś olbrzymi system iry-
gacyjny. Sądzę jednak, że prostszą znacznie
sprawą jest odrzucenie tego projektu i pozo-
stawienie obrotu Ziemi takim, jaki on jest
obecnie.

Ostatni dzień obrad nad ruchem Ziemi bę-
dzie poświęcony sprawie kierunku osi obrotu
Ziemi. Wiemy, że oś ziemską nie jest prosto-
padła do płaszczyzny drogi Ziemi dokoła Słoń-
ca. Wskutek tego mamy trochę kłopotów z po-
rami roku i trochę kłopotów przy egzaminach
z kosmografii. Czy nie warto wobec tego usta-
wić oś obrotu Ziemi prostopadłe do płaszczy-
zny jej orbity?

Gdyby Ziemia nie miała ruchu o-
brotowego, przesunięcie osi Ziemi
mogłoby nastąpić jako odrzut
przy wyrzucaniu pocisku w prze-



Do nowego pionu ziemi trzebaby się było przyzwy-
czaić.

strzeż w kierunku po-
łudnika. Trzeba o pół-
nocy strzelać pozio-
mo w kierunku pół-
nocnym. Wskutek od-
rzutu Ziemia obraca-
łaby się w kierunku
wskazany strzałką.
Całą tę sprawę nieco
komplikuje to, że Zie-
mia posiada obrót. W
związku z tym owo
strzelanie trzeba wy-
konywać nie o półno-
cy, lecz nad ranem
(lub wieczorem); ci,
którzy znają teorię
bąka, łatwo to zrzuci-
mieją.

Z chwilą, gdy oś
ziemską ustawi się
prostopadłe do pł-
aszczyzny orbity, na
całej Ziemi nastąpi
wieczna wiosna. Słoń-
ce wszędzie będzie

wschodziło w punkcie wschodu i w ciągu dnia,
trwającego dokładnie dwanaście godzin, za-
kreślało zawsze tę samą drogę na niebie. Sło-
wa: lato, zima, jesień i wiosna znikną ze
słownika.

Jakże nudne wtedy będzie życie. Zawsze
jednakowa pogoda, jednakowe stroje, jedna-
kowy krajobraz, jednakowe rozrywki i spor-
ty, jednakowe choroby, jednakowe jadłospisy...
Miejmy więc nadzieję, że ten projekt, podob-
nie jak i wszystkie poprzednie upadnie.

Członkowie konferencji rozjadą się z prze-
konaniem że najlepiej jest tak, jak jest.

Wynik ten był do przewidzenia. Ludzkość
wychowała się w pewnym środowisku kos-
micznym, nic więc dziwnego, że w nim, czuje
się najlepiej. O tym warto jednak pamiętać,
bo: „...Przez cały ciąg historii ludzkiej (pisze
G. K. Chesterton w **The Defendant**) przebiega
dziwne prawo, że ludzie mają zawsze skłonno-
ści do niedoceniań swego otoczenia, do nie-
doceniań swego szczęścia... Najbardziej pow-
szecznym zaćmieniem pamięci ludzi
jest zapomnienie o tym, że żyją na
gwieździe. Trzeba, żeby o tym sobie
przypominali“. I to właśnie było ce-
lem niniejszego artykułu.



Przyrównnikowe spotkanie amatorów szybkiego obrotu ziemi.

»ELEKTROSIŁA«

NAJWIĘKSZE GENERATORY ŚWIATA

*agregat większy
od areny cyrkowej*

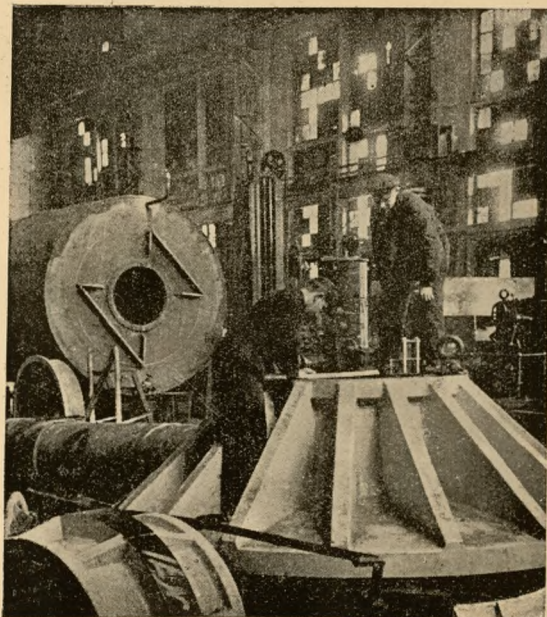
Poraz pierwszy na początku 1920 roku zaczęto budować w Leningradzkich Zakładach Budowy Maszyn „Elektrosiła” skomplikowane maszyny elektryczne.

Inżynierowie - konstruktorzy zakładów wyprodukowali dla nowych elektrowni radzieckich tak potężne generatory, które nie mają równych sobie ani w Ameryce, ani w Europie.

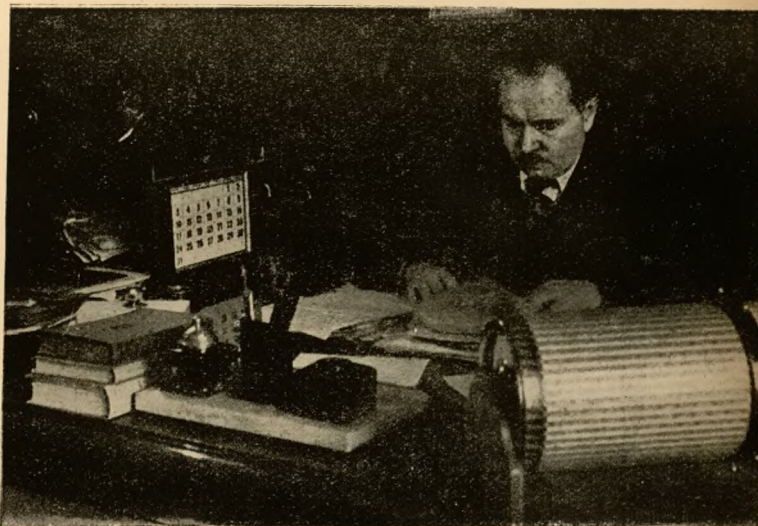
Zainstalowany w górnym biegu Wołgi w Elektrowni Rybińskiej hydrogenerator „Elektrosiła” rozmiarami swymi obala nasze zwykłe wyobrażenia co do rozmiarów maszyn. Wystarczy wskazać, iż dla wysyłki części i połączeń czołowych generatora na miejsce montażu wypadło zużyć ponad 80 wagonów i platform kolejowych. Waga ogólna generatora wyniosła — 1.200 ton, a waga samego tylko rotora — 575 ton. Średnica zewnętrzna agregatu długości 15 metrów przekracza średnicę areny cyrku leningradzkiego.

Przy tworzeniu maszyny tej udało się konstruktorom pozytywnie rozwiązać dziesiątki trudnych i skomplikowanych zadań technicznych. Za wzór tej twórczości może posłużyć konstrukcja łożyska sztorcowego. Jest to swego rodzaju podstawa, utrzymująca zawieszony pionowo rotor generatora. Na wspólnym z nim wale znajduje się rotor turbiny. Niezależnie od tego, z olbrzymią siłą działa reakcja strumienia wody spadającej na łopatki turbiny.

*) fot. S. i. B.



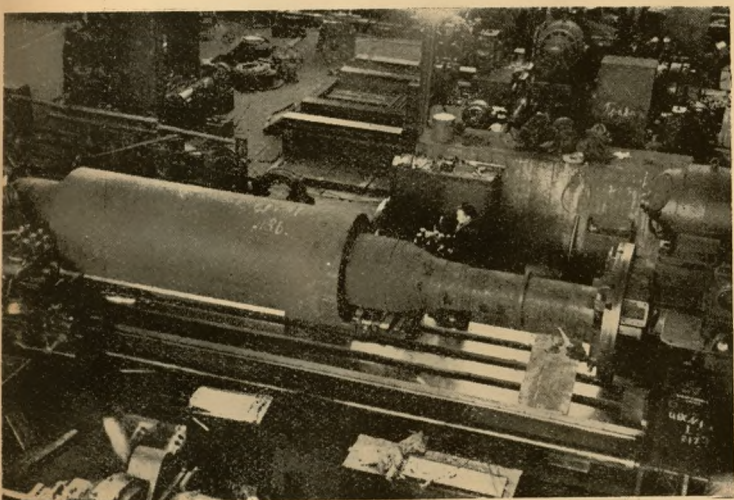
Zakłady produkują turbogeneratory dla Skiwskiej elektrowni państwowej, moc 30.000 KW. Na zdjęciu kontrola części turbogeneratorskiej.



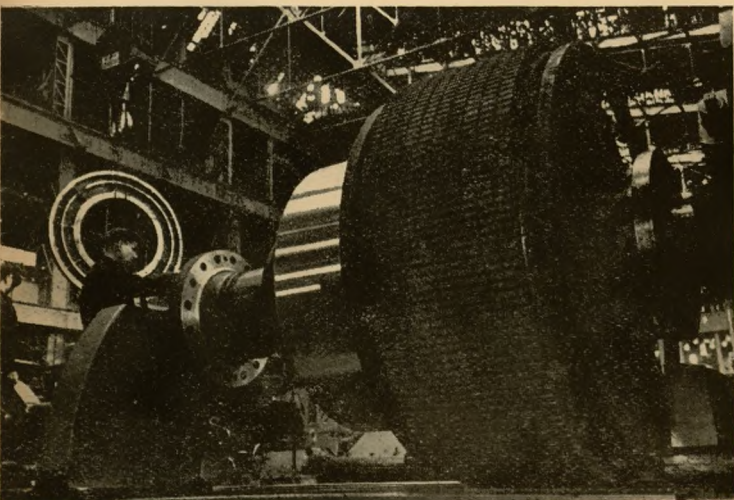
Naczelný inżynier fabryki Dymitr Jefremow uzyskał Premię Stalinowską za stworzenie turbiny parowej i generatora o mocy 100 tysięcy kilowatów przy 3000 obr./min., zainstalowanej w Elektrowni Czelabińskiej.



Przygotowanie złomu metalowego.



W dziale turbogeneratorów. Obróbka wału turbogenera-
tora o mocy 50 tys. kilowatów.



Przetaczanie kolektora motoru dla walcowni.

Wszystkie te siły wytwarzają łącznie olbrzymie ciśnienie — 2.220 ton. Dla porównania należy wskazać, iż największy hydrogenerator amerykański wytwarza ciśnienie na łożysko w wysokości zaledwie 1350 ton. Specjaliści fabryczni „Elektrosiły” stworzyli całkowicie nową konstrukcję łożyska, zdolnego do wytrzymania takiego obciążenia.

Wiele nowych nad wyraz interesujących zdobyczy-techniki współczesnej znalazło zastosowanie w „Elektrosiły”, że wskażemy tu na swego rodzaju unikat - generator o mocy 100 tysięcy kilowatów i o 3 tysiącach obrotów na minutę, zbudowany dla Elektrowni w Czela-
bińsku. Coprawda podobne generatory spotkać można w Ameryce i w Europie, lecz obracają się one z szybkością tylko 1500 obrotów na minutę.

Podwajając szybkość obrotów generatora specjaliści „Elektrosiły” poczynili duży krok naprzód, zmniejszając wagę ogólną i rozmiary generatora. I tak np. rotor turbiny waży obecnie o 40 ton mniej.

We wszystkich większych elektrowniach radzieckich spotkać można obecnie potężne generatory produkcji „Elektrosiły”, która obecnie zajęta jest wytwarzaniem maszyn dla zniszczonych w czasie wojny a odbudowywanych obecnie elektrowni.

„Elektrosiła” wykonuje teraz cały szereg terminowych zamówień, — w związku z czym ma nader szerokie perspektywy dalszej pracy. Kierownictwo zakładów zamierza w szybkim czasie, a w każdym razie przed rokiem 1950 podwoić produkcję hydrogeneratorów i turbogeneratorów. Prócz tego przewidziane jest techniczne przygotowanie zakładów do rocznej produkcji ponad 200 wielkich maszyn elektrycznych, stosowanych w walcowniach, produkcja silników i generatorów dla przemysłu węglowego i innych gałęzi gospodarki narodowej, a ponadto produkcja ponad 1000 silników o mocy od 300 do 1000 kilowatów.

Równocześnie „Elektrosiła” rozpoczyna organizację masowej produkcji aparatury automatycznej i półautomatycznej dla wszystkich maszyn produkowanych przez siebie. Dla tej gałęzi produkcji budowane są nowe oddziały fabryczne oraz nowe typy aparatury.

Zasadniczym dążeniem fabryki jest wytwarzanie maszyn odpowiadających wszystkim wymaganiom techniki współczesnej, a więc oszczędnych i całkowicie pewnych w eksploatacji.

„Elektrosiła” jako wielki warsztat wytwórczości technicznej ulega stałym rekonstrukcjom i ulepszeniom. W budowie jest właśnie wielki oddział hydrogeneratorów oraz specjalne laboratorium, to też w ciągu najbliższych lat na koszty rekonstrukcji zakładów przewidziane jest wydatkowanie sumy 200 milionów rubli.

Amerykanin do Anglika

O ANGIELSKIM CHARAKTERZE

LEWIS MUMFORD

Znam waszą Anglię wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie można podać ogólnej charakterystyki, któraby pasowała jednocześnie do Anglika, Szkota, Walijszyka i Irlandczyka. Kiedy myślę o charakterze Anglika, mam więc na uwadze tę część właściwości, która wywarła niezatarte piętno na waszych urządzeniach i instytucjach.

Tak się składa, że zsumowałem sobie to w czterech swoistych cechach waszego krajobrazu. Oto one: mur, „ha-ha”, wijące się drogi i strzyżone drzewa.

Zaraz postaram się wyjaśnić to nieco tajemniczo brzmiące zestawienia.

Gdyby natura nie знаła muru - płotu, Anglik na pewno wymyśliłby go. Dla Amerykanina, przybysza z otwartych przestrzeni najbardziej rzucającą się cechą angielskiego krajobrazu jest właśnie ów mur. Wygląda rozmaicie. Raz jako przyjemna, zielona gęstwina głogu, innym razem jako potężna bariera z kamieni czy cegieł, groźnie czasem najeżona szpikulcami. Ale jedno ma wspólne: jest to znak granicy, której nie wolno przekroczyć; prywatnego władztwa, którego nie wolno naruszyć; królestwa, do którego wejście ograniczone jest do jedynej furtki, pieczołowicie otwieranej i zamykanej.

Wy Anglicy jesteście, wszystko jedno, czy to fizycznie, czy psychicznie ludźmi, do których trudno jest dostać się.

Mur dzieli wasze oblicze publiczne od prywatnego, życie zewnętrzne od życia wewnętrznego (tak bogatego i skomplikowanego). Podejrzewam, że w każdym z was życie toczy się skrycie, nim wykwitnie niespodzianie dziwnym kwiatem na skale w kształcie Shakespeare'a, Blake'a, Lewisa Carroll'a lub Dickensa. I nie tylko pojedynczy Anglik otacza się, o ile możliwe, swoim prywatnym murem, robi to tak samo każda klasa, każdy zawód. Dzięki tym murom macie poczucie bezpieczeństwa, lecz za przywilej ten płacie tak, jak żółw płaci za swoją skorupę: gdy mur pada, czujecie się straszliwie bezradni. Na pewno nie jest potrzebne, by obcokrajowiec, jak ja na przykład, oznajmiał wam, że za naszego życia na tym świecie mury zaczęły się rozpadać i rozpadają się nadal. Sami uczyliście się tej lekcji w czasie ostatniego „blitz-krieg'u”. Ja sam domyśliłem się tego, oglądając Belgravia i Blomsbury, zanim jeszcze miałem okazję pogawędzić z byłymi członkami obrony przeciwniczej. Bariery upadły. Konieczność nakazała prze-

kształcić ogrody dla niewielu w ogrody dla wielu. Zdążyłem już jednak zaobserwować, że niektóre z tych barier pojawiły się znowu. Stawiam wam przyjazne pytanie: Czy rzeczywiście macie zamiar restytuować owe mury i bariery, czy też może macie zamiar zrobić co innego, mianowicie pozostawić nadal zburzone tak cudownie w czasie wojny mury między klasami, między jednostkami, między waszym życiem publicznym i prywatnym? Możecie odpowiedzieć na to pytanie, planując nowe miasta w sposób właściwy lub powtarzając stare wzory miast, dających wyraz klasowego podziału.

Ale w charakterze Brytyjczyka jest jeszcze inny rodzaj muru znacznie potężniejszego, niż ten widzialny, mianowicie: „ha-ha”.

Nie wykluczone, że nie wiecie, co ten wyraz oznacza. Jest to urządzenie, wymyślone przez ogrodników, a znajdujące się zazwyczaj w majątkach wielkich magnatów, stosowane wtedy, gdy chce się wzbronić dostępu do posiadłości, nie psując widoku wznoszeniem muru lub żywopłotu.

Ha-ha to gwałtowne obniżenie poziomu, nie za bezpieczne żadną barierką, ani widocznym znakiem. Jeśli nie wiesz, że jest przed tobą ha-ha, a spadek może wynosić kilka centymetrów, jak i kilka metrów, możesz spaść i złamać kark.

Jest to więc arystokratyczny odpowiednik muru-płotu. W społeczeństwie uzyskujemy te same rezultaty przez tworzenie różnych poziomów między dwójgim ludzi, czy dwiema klasami. Ani ci na górze, ani ci na dole, nie mogą nawet na moment zignorować różnicy poziomów.

Nie znajdujemy śladów tego „ha-ha” w planach, ani przewodnikach. Dlatego też rozjątrząją obcokrajowców. Trzeba doświadczeń całego życia, aby obcokrajowiec zorientował się, gdzie się one ukrywają i jak blisko depcze niebezpiecznej krawędzi i aby niespodziewanie nie znalazł się w powietrzu.

„Ha-ha” czyni charakter Anglika i jego politykę tak zagadkową dla reszty świata. Wy sami zgadzacie się zresztą na te niewidzialne bariery. Przypuszczalnie wyrosły one z dawnych walk między Saksonami i Normanami, Purytanami i ich przeciwnikami, właścicielami ziemskimi i chłopami, pomiędzy arystokratami i przemysłowcami. Wasza wolność, która rzeczywiście istnieje, wasza demokracja, również rzeczywiście i wasze poczucie fair play, które jest ze wszystkich cech najmocniej zakorzenione, usunęły więk-

szość z przeszkód we współdziałaniu wewnątrz i na zewnątrz waszego kraju. Z wyjątkiem „ha-ha”.

A jednak dopóki nie usuniecie „ha-ha”, wykonacie tylko łatwiejszą połowę pracy w tym waleniu murów.

Mistrzowie okrężnych dróg.

Upostaciowanie innej cechy Anglika upatruję w wiążących się krętych angielskich drogach. Sądzę, że są one wynikiem zdrowego stanowiska politycznego, potwierdzonego historią, że najdłuższą drogą między dwoma punktami jest właśnie linia prosta. Wy, Anglicy, jesteście mistrzami kluczenia...

Czasem te wasze kołowania i powolność wystawiają na próbę nerwy innych narodów zwłaszcza, że samoloty i bomba atomowa otworzyły nowe perspektywy, niewspółmierne z waszymi krętymi drogami. Błąd taki popełnił wasz stary mąż stanu, najbardziej planem reprezentatywny, a w każdym razie najbardziej czczony, gdy apelował do Stanów Zjednoczonych o unię wyłącznie w obrębie świata, mówiącego po angielsku.

Widzicie, propozycje te przysły akurat w momencie, kiedy my sami ocknęliśmy się w sposób dostateczny, by pragnąć jako naród współpracy na szerszej płaszczyźnie (na płaszczyźnie sugerowanej planem Barucha, kontroli energii atomowej), na płaszczyźnie szerszej, aniżeli jakikolwiek sojusz.

Nigdy nie podzielałem poglądu H. G. Wells'a, że świat będzie uratowany przez grupę mędrców i lotników, którzy wydrą władzę motłochowi, niskim i brutalnym istotom, pełzającym ciągle po powierzchni naszej ziemi.

Wierzę natomiast, że świat dopóty będzie źle rządzony, dopóki nie przejdzie do porządku dziennego nad przeszkodami, stawianymi przez nasze żółwie drogi i dopóki nie przeniesie się w zupełnie inny wymiar, wymiar wspólnoty światowej i współpracy światowej.

Wreszcie, by skończyć z charakterem Brytyjczyka, przechodzę do kwestii strzyżonego drzewa.

Dla mnie jest to symbol pewnego okrucieństwa, coś, co jest sprzeczne z waszym jak najbardziej łagodnym i ułatwiającym życie brytyjskim sposobem bycia.

Gdy William Morris ujrzał nad Tamizą rząd ostrzyżonych wierzb, klął jak przewoźnik. Obcinanie gałęzi wydawało mu się brutalnym aktem profanacji. A jed-

nak chirurdzy-ogrodnicy wiedzą, że przez obcinanie staremu drzewu niepotrzebnych gałęzi mogą stworzyć możliwości regeneracyjne. A jednak są wypadki, kiedy tę chirurgię posuwacie za daleko. W okresie Rewolucji Przemysłowej obciąłście stare konary angielskiego życia, poniechaliście średniowiecznych zwyczajów, zapomnieliście o poezji elżbietańskiej. W ten sposób stworzyliście nowy organizm, podobny do ogołoczonego pnia.

Wyrosły z niego nowe gałęzie: maszyny, zysk, handel zagraniczny: nudne, desperackie, przerażające życie, które prowadzicie.

Jakkolwiek purytaniezizm i dustrializm przyniósł korzyści zarówno moralne, jak i praktyczne, to były one jednak tak dalece drastycznymi operacjami chirurgicznymi, że niemal zdeformowały sam charakter angielski.

Uratowały was prawdopodobnie: piwiarnia i ogródek. I jedno i drugie zakonserwowane i w miniaturowej formie.

Czy powrót do pełnego życia?

Ciągle strzyżecie wasze drzewa, czasem w sposób tak okrutny, że zasługuje to istotnie na klątwy Morris'a. Lecz, o ile się oczywiście nie mylę, nie jesteście dziś już nadal tak skłonni do strzyżenia waszych instytucji społecznych i ludzi.

Zwyczaje średniowieczne, niemal zapożyczone w początkach wieku XIX odżyły z powrotem. Myślicie znów o pełnym życiu, nie mając pod tym mianem na myśli wyłącznie wydajności. Przekonaliście się, że najbardziej niepozorny człeczyna z pośród was może zamienić się, gdy sytuacja tego wymaga, w bohatera. No, a jeśli tak, to dlaczego jego dzieci nie mogłyby się stać poetami czy uczonymi, dyplomataami czy kapitanami przemysłu? O ile rzecz prosta, nie zostałyby zbyt wcześnie otoczone murem, lub trzymane na uwięzi przez „ha-ha”. Kończę. Wydaje mi się, że charakter angielski znów zaczyna pączkować. Jeśli wytrwacie na tej drodze, przyszła generacja może odzyskać swe kształty oryginalne. Być może, że nie odrodzą się już płoty na około prywatnych parków, że być może zniknie nawet ha-ha. Lecz mówiąc to, czuję, że jestem na krawędzi prorocstwa, przeto czas najwyższy dla człowieka skromnego skończyć.

FIZYKA NA TROPIE NOWEGO ŹRÓDŁA ENERGII

Jak wiemy, wszelkie ciała dzielą się — ze względu na wielkość oporu, jaki stawiają przewodzonemu prądom elektrycznym — na przewodniki i izolatory. Podział ten jest o tyle sztuczny, że granica między izolatorami i przewodnikami jest nieokreślona: nie znamy przewodników idealnych, których opór równałby się zeru — przeciwnie: między metalami np., które zaliczamy do przewodników, istnieją indywidua o dużych stosunkowo oporach; z drugiej strony — nie ma izolatorów, które by nie przewodziły prądu w ogóle. Jest to więc podział ilościowy, a nie jakościowy. Wspólną cechą przewodników i izolatorów jest posiadanie oporu.

W r. 1911 H. Kamerlingh-Onnes, przeprowadzając badanie zależności oporu rtęci od temperatury, zaobserwował nowe, zdumiewające zjawisko: w temperaturze 4,2° abs. (— 269° C czyli w temperaturze ciekłego helu) opór elektryczny rtęci znika całkowicie. Znikanie to miało charakter raptowny i zachodziło w wąskim przedziale temperatur, rzędu 0,01° C. Poniżej tej temperatury (t. zw. „temperatury progowej”) opór rtęci pozostawał równy zeru. Podwyższenie natomiast temperatury powyżej wartości progowej niszczyło zjawisko, przywracając opór normalny. Zjawisko to nazwał uczony „nadprzewodnictwem”, a ciała w temperaturach niższych od temperatury progowej — „nadprzewodnikami”.

Zapoczątkowane przez H. Kamerlingha-Onnesa badania kontynuowane były przez wszystkie laboratoria niskich temperatur. W wyniku badań odkryto około 20 nadprzewodników wśród czystych metali. Stwierdzono ponadto, że nadprzewodnictwo występuje w niektórych stopach; jest rzeczą ciekawą, że istnieją stopy nadprzewodzące, których składniki aż do najniższych osiągalnych temperatur nadprzewodnikami nie są.

Niestety, badania te mogły być do niedawna udziałem tylko szczególnie wyposażonych laboratoriów niskich temperatur. Ostatnie miesiące przyniosły odkrycie, które nada badaniom nad nadprzewodnikami żywsze tempo i niewątpliwie przeniesie zagadnienie to z laboratoriów najniższych temperatur na arenę techniki i życia codziennego.

Prace uczonych amerykańskich, dotyczące roztworów metali alkalicznych w amoniaku, dały niesłychanie interesujące wyniki: roztwory te, poddane bardzo szybkiemu chłodzeniu do temperatury — 180° C, zestalały się w całej objętości — tworząc ciemnoniebieski, o metalicznym połysku, roztwór stały. Badania oporu elektrycznego okazały, że roztwory te są nadprzewodzące i pozostają w tym stanie aż do temperatury topnienia, tzn. mniej więcej od —80° C do —90° C. Te właśnie stosunkowo bardzo wysokie temperatury, opalone całkowicie pod względem technicznym, w których roztwory (np. sodu w amoniaku) są jeszcze nadprzewodnikami, są największą rewelacją odkrycia. Obalają one całkowicie przypuszczenia, że zjawisko nadprzewodnictwa związane jest z najniższymi osiągalnymi temperaturami i pozwalają mieć nadzieję, że zjawisko może istnieć i dla temperatur „pokojowych”. Jasną jest rzeczą, że zastosowanie nadprzewodników na skalę techniczną da człowiekowi nowe potężne narzędzie.

Już H. Kamerlingh-Onnes stwierdził, że wobec braku jakiegokolwiek oporu w nadprzewodnikach, prąd elektryczny raz w nich wzbudzony trwa bez

najmniejszego osłabienia tak długo, jak długo ciało pozostaje nadprzewodnikiem tzn. jak długo znajduje się poniżej temperatury progowej. W przewodnikach natężenie prądu zanika wskutek istnienia oporu bardzo szybko. Następuje przy tym przetworzenie energii prądu elektrycznego na ciepło (tzw. ciepło Joule'a).

Taki „wieczny prąd” można wzbudzić w nadprzewodniku w ten sposób, że ciało wykazujące cechy nadprzewodnika poddajemy w temperaturze wyższej od temperatury progowej działaniu pola magnetycznego. Jeśli teraz obniżymy temperaturę poniżej progu i wyłączymy pole, w nadprzewodniku powstanie „wieczny prąd”. Możliwość wzbudzania takich prądów może być wykorzystana dla celów utylizacyjnych. E. Justi, pracując w temperaturze — 250° C i związanych z tak niską temperaturą niesłychanie ciężkich warunkach przestrzennych, potrafił zbudować elektromagnes (zdolny unieść bity żelaza o ciężarze 7 kg), którego uzwojeniem był nadprzewodnik w kształcie pierścienia; w pierścieniu tym płynął prąd wieczny o natężeniu 600 Amp! Elektromagnes taki pracuje bez żadnych strat, charakterystycznych dla zwykłych elektromagnesów (ciepło Joule'a).

O użyciu nadprzewodników dla celów budowy elektromagnesów, które by znalazły zastosowanie w technice, można mówić już dziś bez cienia fantazji: decydująca tu będzie kwestia opłacalności, a wydaje się, że zaoszczędzenie nieuniknionych strat w elektromagnesach zwykłych pokryje z naddatkiem koszty chłodzenia nadprzewodnika do temperatury minus kilkudziesięciu stopni Celsiusa i ew. izolacji cieplnej.

Użycie nadprzewodników jako uzwojeń w elektromagnesach nie jest jedynym nasuwającym się zastosowaniem. Wszędzie tam, gdzie tak bardzo straty energii dają się we znaki — a więc w wypadkach, gdzie chodzi o przewodzenie prądów o bardzo dużych natężeniach (ciepło Joule'a jest proporcjonalne do kwadratu natężenia prądu) nadprzewodniki oddać mogą nieocenione usługi. Dziś zresztą, w epoce rekordowego tempa, w której odkrycie reakcji łańcuchowej rozpadu jąder uranu dzieliło od powstania bomby atomowej zaledwie 6 lat, pokusić się można o śmielsze horoskopy.

Kto wie, czy najbliższe lata nie przyniosą nam nadprzewodników w temperaturach pokojowych, w których potrafimy wzbudzać prądy o natężeniach milionów amperów. „Załadowany” tak nadprzewodnik byłby lekkim, poręcznym w obsłudze rezerwuarem energii — rezerwuarem, który bez żadnych kłopotów można by transportować np. samolotem. Szybkie ogrzanie takiego rezerwuaru powyżej temperatury progowej mogłoby spowodować gwałtowny wybuch, będący czymś w rodzaju „bomby atomowej nr. 2”.

Na zakończenie warto wspomnieć o jeszcze jednym niesłychanie interesującym zjawisku, związanym z występowaniem nadprzewodnictwa. Okazuje się, że nadprzewodniki są doskonałymi osłonami magnetycznymi: ciało, otoczone nadprzewodnikiem, jest idealnie izolowane od wpływów pola magnetycznego. Ponieważ, jak stwierdzono, pole magnetyczne opóźnia (w sensie obniżenia temperatury progowej) występowanie stanu nadprzewodzącego i przy dużych natężeniach pola niszczy istniejące nadprzewodnictwo — użycie osłon magnetycznych może mieć w przyszłości bardzo ważne znaczenie jako czynnik zabezpieczający przyszłe rezerwuary energii przed ew. wybuchem.

AUTORZY ARTYKUŁÓW zamieszczonych w numerze

ALEKSANDER BOCHEŃSKI

przed wojną publicysta „Buntu Młodych”, „Polityki” i „Słowa Wileńskiego”. Autor kilku książek politycznych. W najbliższym czasie nakładem „Panteonu” ukażą się jego studia nad naszym dziejopisarstwem pt. „Dzieje głupoty w Polsce”.

FRANCISZEK KSAWERY WALTER

dr. med., profesor dermatologii U. J., Rektor U. J., członek czynny i sekretarz Wydziału Lekarskiego Polskiej Akademii Umiejętności, członek Państwowej Rady Zdrowia, członek honorowy Tow. Dermatologicznego: czechosłowackiego, jugosłowiańskiego i węgierskiego, członek korespondent Tow. Dermatologicznego w Paryżu. Autor szeregu prac z zakresu nauki o chorobach skórnych i wenerycznych, oraz z dziedziny historii i filozofii medycyny. M. in. „Nauka o chorobach wenerycznych”, „Rzeźączka”, „Wit Stwos, rzeźbiarz chorób skórnych”, „Przyczyna śmierci Króla Stefana Batorego” i in...

KAZIMIERZ MICHAŁOWSKI

profesor archeologii klasycznej Uniw. Warszawskiego. Dziekan wydziału humanist. U. W., członek czynny Warsz. Tow. Naukowego, kierownik polsko-francuskiej ekspedycji archeologicznej w Edfu w Dolnym Egipcie w latach 1936 — 1939. Ważniejsze prace: „Explorations Archéologique de Delos”, „Les portraits hellénistiques et romains”, „Tell Edfou” (I — 1937, II — 1938), „Delfy” (W-wa 1935).

TADEUSZ SINKO

profesor filologii klasycznej U. J. Ogłosił od roku 1900 kilkadziesiąt większych prac z zakresu fi-

logii klas. patrystyki greckiej i humanistyki polskiej. Dziełem jego życia jest duża „Literatura grecka”, której tom I (w dwu częściach) wyszedł w Krakowie (1931 i 1932), tom II w druku, tom III w przygotowaniu do druku.

ZYGMUNT MYŚLAKOWSKI

profesor pedagogiki i socjologii wychowania U. J., członek Naukowego Tow. Pedagogicznego. Ważniejsze prace: „Pedagogika ogólna”, „Totalizm czy kultura”, wspólnie z F. Grossem „Pamiętniki Robotników” i „Kultura Proletariatu”.

WŁADYSŁAW TATARKIEWICZ

profesor Uniw. Warszawskiego, członek czynny Pol. Akad. Umiej., V-prezes Tow. Nauk. Warszawskiego, redaktor „Przeglądu Filozoficznego”. Historyk filozofii, znawca teorii i historii sztuki, zwłaszcza architektury, autor podstawowego podręcznika „Historia Filozofii” i in.

WŁODZIMIERZ ZONN

asystent Uniw. Warszawskiego, w latach 1938 — 1939 astronom Obserwatorium na Pop Iwanie, autor szeregu artykułów w prasie fachowej i popularnej.

LEWIS MUMFORD

Amerikanin, socjolog, autor między innymi znakomitej trylogii: „Technika i cywilizacja”, „Kultura miast” i „Przeznaczenie człowieka”.

DYMITR JEFREMOW

profesor, inżynier naczelny fabryki „Elektrosiła”. laureat Premii Stalinowskiej.

Książki nadesłane

JAN DEMBOWSKI: „Psychologia zwierząt” Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, 1946 r. str. 365.

LEOPOLD STAFF: „Wiersze wybrane” Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, 1946 r. str. 181.

WŁADYSŁAW TATARKIEWICZ: „Historia filozofii” Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” i „Zakład Narodowy im. Ossolińskich”, tom pierwszy: Filozofia starożytna i średnowieczna. str. 415.

ALEKSY TOŁSTOJ: „Droga przez mękę” Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, część pierwsza trylogii Siostry, 1946 r. str. 375.

JERZY PUTRAMENT: „Święta kulo” Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, 1946 r. str. 175.

JERZY PYTLAKOWSKI: „Powstanie mokotowskie” Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, 1946 r. str. 111.

JANINA BRONIEWSKA: „Siostrzeńcy ciotki Agaty” Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, 1946 r. str. 107.

WIKTOR JAKUBOWSKI: „Słownik rosyjsko-polski i polsko-rosyjski”, część pierwsza rosyjsko-polska. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, 1946 r. str. 430.

SIR JAMES JEANS: „Niebo” Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, 1946 r. str. 188, 46 tablic, 2 mapki nieba.

HASIŃSKI M., LEY D., MADEJA I., PIETER J., RYBICKI P., SKOWRON ST., ZBOROWSKI J.: „Elementy Nauk Pedagogicznych” Wydanie II, Wydawnictwo Instytutu Pedagogicznego w Katowicach, 1946 r. str. 299.

JULIAN HOCHFELD: „My Socjaliści” Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza”, 1946 r. str. 297.

HELENA RADLIŃSKA: „Książka wśród Ludu” Warszawska Spółdzielnia Księgarsko-Wydawnicza „Światowid”, 1946 r. str. 423.

B. DANIELEWSKI, J. KOLIPIŃSKI, A. ROGALSKI. „Niemcy rozgromione” Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1946 r. str. 326.

BENEDYKT ELMER: „Winowajcy klęski wrześniowej” Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza”, W-wa 1946 r. str. 62.

DR JÓZEF PIETER: „System pedagogiczny Johna Devey'a” Wydawnictwo Instytutu Pedagogicznego w Katowicach, 1946 r. str. 83.

DR ADAM PRÓCHNIK: „Demokracja Kościuszkowska” Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, W-wa 1946 r. str. 206.

DR ADAM PRÓCHNIK: „Kim był Tadeusz Kościuszko” Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, W-wa 1946 r. str. 29.

REDAKTOR: TADEUSZ UNKIEWICZ

Wydawca: Spółdz. Wyd. „Czytelnik”

Redakcja: Warszawa, Wiejska 14 tel. 86 694

Administracja: Warszawa, Wiejska 16 tel. 85 794

Ceny ogłoszeń na wewnętrznych stronach okładki: — $\frac{1}{4}$ str. :zł 4,000; $\frac{1}{2}$:zł 2,400; $\frac{1}{4}$:zł 1,400; $\frac{1}{8}$:zł 800.
Warunki prenumeraty: miesięcznie z przesyłką pocztową :zł 30. Cena egzemplarza :zł 30.